



ATSAM

TOM II

MONOMU

Spis treści

Rozdział 0.....	3
Rozdział 1.....	29
Rozdział 2.....	37
Rozdział 3.....	46
Rozdział 4.....	54
Rozdział 5.....	64
Rozdział 6.....	75
Rozdział 7.....	84
Rozdział 8.....	93
Rozdział 9.....	103
Rozdział 10.....	112
Rozdział 11.....	122
Rozdział 12.....	131

Rozdział 0

Rozdział 0 to zebrane fragmenty z „Life is Cheap”, których akcja miała miejsce w Brazylii. Dotyczyły głównie Jacka Hetfielda i Josha. Zamieszczam, bo spora część historii „Atsah” w drugim tomie się tam przeniosła. Można pominąć :)

Jack Hetfield rozsunął zasłony i otworzył drewniane okiennice. Do pokoju wdarło się poranne, lecz już nieznośnie nagrzane powietrze. Pomimo wczesnej pory ulice miasta były już zatłoczone. Pokrzykiwania kupców i przekupek mieszały się z odgłosami wystawionych na sprzedaż zwierząt i porykiwaniem przestarzałych silników.

– Zaczyna się nowy, wspaniały dzień – stwierdził mężczyzna, wsadzając pistolet z tyłu, za pasek od spodni. Pod marynarką był niewidoczny.

– Jak tam chcesz – odburknął mu jeden z lokalnych chłopaków, który właśnie zbierał się z łóżka. – Szef znowu pytał, gdzie jest rudy.

– I co mu powiedziałaś?

– Że to twoja sprawa, a nie moja.

– Dobrze – skwitował Jack, a potem odpalił papierosa.

– On nie był tego samego zdania.

Hetfield spojrzał na chłopaka, a potem poklepał się dwoma wyprostowanymi palcami po policzku.

– Stąd ta szrama? – spytał.

Młody Indianin odruchowo przykrył ranę dłonią. Wciąż był jeszcze nagi. Jego ubranie zostało w łazience po wczorajszym wieczorze.

– Wiesz, jaki jest.

Jack już nic nie odpowiedział. Odwrócił się z powrotem w stronę okna i wypuścił dym przez nos. Josh to było najmniejsze z jego zmartwień, co tylko potwierdziły słowa, które wypowiedział chłopak po wyjściu z łazienki:

– Po mieście węższą tajniacy z Interpolu. Podobno szukają przemytników panter, ale i tak uważaj.

Indianin nie czekał już na odpowiedź, tylko zabrał z okrągłego, wiklinowego stolika swoje kluczyki, portfel i broń, a potem wyszedł z mieszkania prosto w południowy żar. Jack Hetfield odprowadził go spojrzeniem swoich zielonych, tak unikatowych w tej części świata oczu.

– Josh – powiedział na głos, gdy został w pokoju sam.

Jeśli nic się nie zmieni, będzie musiał w końcu przestać grać na zwłokę i go zabić.

– Głupi dzieciaku – mruknął, a potem zgasił niedopałek w kryształowej popielniczce leżącej na parapecie.

W sali gier ze stołem bilardowym na środku i automatami ustawionymi pod ścianami czekało na niego dwóch mężczyzn. Obaj zaliczali się do ludzi określanych w Brazylii mianem „pardo”, co oznaczało, że w ich żyłach płynęła mieszana krew. Wyższy i chudszy z mężczyzn siedział na stole bilardowym i palił skręta. Miał jasnobrązową skórę i czarne, lekko skośne oczy. Był naprawdę bardzo szczupły i bardzo wysoki. Przywodził na myśl wodną trzcinę. Uwagę przyciągały nie tylko jego postura oraz liczne tatuaże, ale także, a może przede wszystkim strój i fryzura. Krótkie, sięgające ramion dredy miał koloru fioletowego. Jasnoróżowa koszula z nadrukami pistoletów tworzyła z nimi świetnie dopasowaną, ale jednocześnie niepokojącą według Josha kombinację.

Tak, może ten facet prezentował się znacznie bardziej niepozornie niż jego towarzysz stojący obok, ale to raczej on był tutaj szefem. Bo w tej dzielnicy, gdzie ludzie w biały dzień chodzili z karabinami przełożonymi przez ramię, ubierać się w ten sposób mógł tylko ktoś zupełnie pozbawiony instynktu samozachowawczego lub ktoś, kto nie musiał nikomu niczego udowadniać.

– Och, naprawdę ma piegi! – zawołał mężczyzna w fioletowych dreadach na widok Josha. – Urocze.

Jego przyjemny dla ucha głos o ciepłej barwie był lekko zachrypnięty. Prawdopodobnie od ciągłego palenia zioła, pomyślał Josh. Dostrzegł też złoty implant w miejscu górnego kła mężczyzny. Mafia.

Jego towarzysz zaśmiał się gardłowo. Był znacznie masywniej zbudowany. Miał trochę ciemniejszą skórę i grube dredy sięgające pasa. Kilkudniowy zarost okalał jego pełne, masywne usta. Na piersi skrzyło mu się kilka złotych naszyjników wysadzanych diamentami, ale to nie one najbardziej przykuwały uwagę, a oczy mężczyzny – nietypowo jasne, niemalże żółte jak u pantery. Niebezpieczne i hipnotyzujące jednocześnie.

Mężczyzna w różowej koszuli zeskoczył ze stołu i podszedł do Josha. Objął go ramieniem, a potem wypuścił z ust obłok białego dymu.

– Rozluźnij się. Nie ma co się tak spinać – powiedział po angielsku ze śpiewnym akcentem. – Chyba mój posłaniec nie był wobec ciebie nieuprzejmy?

– Nie.

– Dobrze, dobrze.

Skręta oddał swojemu towarzyszowi, który od razu się zaciągnął. Wciąż obejmując Josha ramieniem, przeszedł przez pomieszczenie do starej, odrapanej lodówki. Wyciągnął z niej pomarańczową oranżadę w szklanej butelce i podał zdeorientowanemu chłopakowi.

– Niezatruta. – Zaśmiał się.

Josh, chociaż w ogóle nie miał ochoty, potulnie odkręcił zakrętkę i upił kilka łyków. Spojrzał przy tym przez okno. Budynek, w którym teraz byli, znajdował się na samym szczycie wzgórza. Pod nim stało tysiące podobnych, krzywych bud pokrytych kolorowymi graffiti. Budowane były jedne na drugich, wodę do nich ciągnięto rurami z leśnych źródeł, a prąd nielegalnymi złączami, poplątanymi sznurami niekończących się kabli, pobierano z miejskiej sieci.

Oficjalnie na mapach Rio de Janeiro fawele, dzielnice biedy nie istniały, tak jak i miliony ich mieszkańców. Większość slumsów budowana była na pokrytych lasem wzgórzach, które otaczały stolicę Brazylii. Tutaj rządzą bossowie narkotykowi. Oni ustalali wielkość czynszu, oni decydowali, kto może prowadzić tu sklep, stragan, czy restaurację i czy w razie choroby zostanie udzielona mu pomoc lekarska. Gangi ciągle prowadziły między sobą walki o strefy wpływu. W codziennych strzelaninach ginęły zupełnie przypadkowe osoby. Policja zapuszczała się tu tylko po to, aby pobrać haracz za ochronę lokalu lub kolejną łapówkę od mafii.

Większość dzieci z faweli nie chodziła do szkoły, bo i po co. Ona nie zapewni ci pracy. Nie, kiedy pochodziłeś ze slumsów. Tu młodzi chłopcy żyli marzeniami o zostaniu piłkarzem, a dziewczęta tancerkami. Kiedy już zdali sobie sprawę, że nigdy się stąd nie wyrwą, zaczęli sprzedawać narkotyki lub swoje ciało. Albo jedno i drugie. A zyski z tego czerpali ludzie tacy jak oni, pomyślał Josh, wracając spojrzeniem na dwóch mężczyzn. W takim właśnie miejscu wylądowali z Jackiem, uciekając przed sprawiedliwością i tu ich drogi się rozeszły.

– Do czego jestem wam potrzebny? – spytał.

Mogło chodzić o trzy rzeczy. Prawie codziennie ktoś prośbą, a częściej groźbą próbował przekonać go do pracy w burdelu. Podobno jego nietypowa w tych stronach świata uroda budziła duże zainteresowanie. Jednak łapankami do domów uciech nie zajmowali się ludzie na wysokich pozycjach w gangach, więc to raczej nie o to chodziło. Zostały jeszcze dwie opcje.

– Do niczego nie jesteś nam potrzebny, biały szczurze – odparł milczący dotąd mężczyzna w długich do pasa dreadach.

– Falco, o co te nerwy? – skarcił go jego towarzysz i posłał Joshowi przepraszający uśmiech. – I co to za określenie? A ty niby czemu zawdzięczasz te ślepie, przez które lecą na ciebie wszystkie laski, co? Białej krwi. Twoja siostra ma blond włosy. Ją też nazywasz białym szcurem?

– Moja siostra jest stąd.

– On też jest teraz stąd. Nie ma innego wyboru, tak jak i my.

Mężczyzna odszedł parę kroków i oparł się łokciem o stół bilardowy. Pokręcił deprimująco głową, patrząc na Falco.

– No co za zaciętrzewieniec – rzucił. – Przepraszam cię za niego. Dzisiaj jest trochę... Nie wiem. Nie poruchałeś dzisiaj, czy co?

Falco zagapił się na swojego towarzysza. Po chwili wrzucił niedopałek do szklanki z wodą i ruszył w stronę wyjścia.

– Pierdolę to – burknął, nim wyszedł z budynku na prowizoryczny taras z pojedynczą, uschniętą palmą w doniczce.

– No szalony – parsknął jego towarzysz, wzruszając ramionami. – Szalony. No ale wracając do interesów... – Znów spojrzał na Josha, a z jego łagodnej w wyrazie

twarzy, pomimo tatuaży na szyi i koło oczu, nie schodził uśmiech. – A chodzi... Jak mu tam jest tak naprawdę? Jack? Jack Hetfield, prawda?

Więc znają nawet jego prawdziwe personalia, pomyślał Josh. Mimo to odetchnął z ulgą. Bał się, że wezwali go przez działalność człowieka, u którego się zatrzymał i któremu postanowił pomóc.

– Ja i on... Nie jesteśmy... Nie działamy już razem – odparł.

– Wiem, wiem. Zapewne domyślasz się, że gdyby tak było, rozmawialibyśmy zupełnie inaczej. Jednak wiem też, że możesz do niego dotrzeć. Wpłynąć może.

– Wpłynąć? – powtórzył Josh.

Nikt nie mógł wpłynąć na Jacka Hetfielda. Nawet on. Gdyby to potrafił, ten chłopiec nadal by żył. A oni byłiby razem.

– Och, po twojej minie widzę, że wiesz, o co chodzi. Powiem szczerze, że mam z Jackiem Hetfieldem problem.

– Bo pracuje dla Barbosy?

– Żeby tylko pracował. – Westchnął mężczyzna. – Wtedy byłby tylko kolejnym człowiekiem przemocowanym do spluwy. Jeden w tą, jeden w tamtą. Chodzi o to, jak pracuje. Barbosa to idiota. Muł z klapkami na oczach. On i jego ludzie są bardzo brutalni, ale dość łatwi do rozgryzienia. Działają prosto, zawsze według tych samych zasadach. Prowadziliśmy bitwy o wpływy i będziemy prowadzić, tak już jest zbudowany ten świat... Ale Jack Hetfield nie jest idiotą i to rodzi problem. Wykształcony, inteligentny, biały Amerykanin zawsze rodzi problem w miejscu takim jak to. Zaburza równowagę. A gdy jeszcze jest tak bezwzględny... Można o nas powiedzieć wiele złych rzeczy. Sądzę, że prawie wszystkie, ale mamy tu pewne zasady. Ja i Barbosa dotąd ich przestrzegaliśmy. Przede wszystkim nie mordowaliśmy kobiet i dzieci.

– Serio? – przerwał mu Josh, nie mogąc się powstrzymać. – Codziennie giną tu niewinni ludzie.

– Nie zaprzeczę – odparł mężczyzna. – Jednak to w przeważającej części przypadkowe ofiary, które pojawiły się w złym miejscu, o złym czasie. Tak przynajmniej dotąd było... Barbosa zmienił jednak ostatnio sposób działania i mam nieodparte wrażenie, że za namową Jacka Hetfielda.

Josh zacisnął powieki. Jack, jęknął w duchu. Gdy uciekali z Teksasu, myślał, że to wszystko będzie inaczej wyglądało. Że Jack będzie inny, gdy już nic go nie krępowało. Gdy nie było już Benjamina Hetfielda. Sądził, że wyjadą ze Stanów, znajdą bezpieczne miejsce i będą po prostu żyć razem. Jack był jednak jak wściekły pies spuszczonego z łańcucha. Nadal toczył pianę z pyska. Po latach ograniczeń i upokorzeń chciał wreszcie zająć należne mu miejsce samca alfa. I był zdolny zrobić wszystko, by to osiągnąć. Naprawdę wszystko.

– Gdybym mógł go powstrzymać, to bym to zrobił – powiedział. – I bylibyśmy razem.

Jego rozmówca sięgnął do kieszeni swojej różowej koszuli i wyciągnął z niej kolejnego skręta. Włożył go do ust, a potem odpalił.

– Po prostu – zaczął, gdy wydmuchał już biały obłok dymu – gdy naśle na niego Falco, przynajmniej jeden z nas straci najlepszego przyjaciela. Dlatego radzę ci spróbować jeszcze raz do niego przemówić.

– A nie dlatego, że Jack psuje ci interesy, podpowiadając Barbosie?

– Jedno nie wyklucza drugiego – odparł mężczyzna z uśmiechem. – Możesz nie wierzyć, ale nie lubię przemocy. Chcę oglądać stąd ulice wypełnione masą kolorowych, roztańczonych podczas karnawału ludzi, a nie spływające krwią. Nie chcę też odbierać nikomu ukochanych. Wiem, jak to boli.

Josh spojrział na niego zaskoczony. Tutaj, w dzielnicach nędzy zarządzanych twardą ręką mafii, wśród wszechobecnego kultu macho, przyznanie się do pewnych rzeczy było jak wyrok śmierci.

– Idź już i przekaż moją wiadomość Hetfieldowi. Zegar tyka.

– Tak.

Josh kiwnął głową i minął mężczyznę, który odprowadził go spojrzeniem skośnych oczu. Na ustach wciąż gościł mu uśmiech.

– I pozdrów Mnicza – rzucił, gdy chłopak był już przy drzwiach.

Więc jednak, pomyślał Josh. Obejrzał się na mężczyznę. Wahał się chwilę, ale w końcu zapytał:

– To naprawdę pozdrowienia, czy jednak ostrzeżenie?

Mężczyzna zaśmiał się pod nosem. Pokiwał głową, wznosząc lekko wąskimi ramionami.

– Niech tylko nie przesadza – powiedział.

Josh kiwnął jeszcze raz głową, tym razem w wyrazie wdzięczności i wyszedł na zewnątrz. Na tarasie wciąż czekał Falco. Obrzucił chłopaka nieprzyjemnym spojrzeniem żółtawych oczu.

– Dacnis wieczorem organizuje imprezę – powiedział. Ręką wskazał na betonowe boisko do koszykówki wciśnięte między budynki kilka poziomów niżej. – O jedenastej.

Joshowi nie pozostało nic innego, jak znowu kiwnąć głową. Takim ludziom się nie odmawiało. Dacnis, powtórzył w myślach. To chyba była nazwa jakiegoś bajecznie kolorowego ptaka żywiącego się nektarem i owocami z brazylijskich lasów. Musiał przyznać, że imię to dziwnie pasowało mu do mężczyzny, którego dzisiaj poznał.

Minął Falco bez patrzenia w jego stronę i zbiegł krzywymi schodami w dół. Przedzierał się pomiędzy tłumem ludzi wąskimi, zabudowanymi uliczkami. Budownictwo dzielnicy było chaotyczne, a budynki co jakiś czas zawały się pod naporem tych wybudowanych wyżej. Ziemia na wzgórzach otaczających Rio czasami osuwała się sama z siebie, dlatego nigdy nie powstało tu regularne miasto. Przedostał się na główną ulicę faweli, szedł nią parę minut, a potem, po upewnieniu się, że nikt go nie śledzi, skręcił w jedną z węższych i bardziej zamaskowanych uliczek. Tak dotarł do rozpadającego się budynku zbudowanego w głównej mierze z przerdzewiałej blachy. To tutaj człowiek nazywany Mniczem udzielał schronienia kobietom, które uciekły z burdeli lub od agresywnych partnerów. Josh postanowił mu pomóc. Może dlatego, że te młode dziewczyny tak bardzo przypominały mu Tracy.

Najmłodsza z trzech kobiet przebywających razem z nim w jednym z tych asymetrycznych, trzeszczących przy najmniejszym wietrze, skleconych z byle czego pudełek, które nazywano tu domami, podała mu plastikową miskę z zieloną papką przygotowaną z jakiejś nieznannej Joshowi rośliny. Na migi pokazała, aby przyłożył ją do opuchlizny na twarzy. Tak, na lód nie było co tu liczyć. Josh podejrzliwie

spojrzał na zawartość miski, ale nabrał trochę mazi na palce i posmarował policzek pod lewym okiem. Syknął, gdy dotknął obolałego miejsca, ale zaraz poczuł przyjemnych chłód. Ziołowa papka naprawdę działała. Podziękował dziewczynie po portugalsku, bo tyle umiał powiedzieć, a ona uśmiechnęła się promiennie. Tak jak pozostałe dwie kobiety była uciekinierką.

Przed czym uciekały? Jednym słowem można było powiedzieć, że przed rzeczywistością. W tym konkretnym przypadku przed ojcem, który chciał oddać dziewczynę do burdelu, ponieważ narobił sobie długów u mafii. Pół godziny temu zaś wpadł tu i siłą chciał zabrać ją z powrotem. Dobrze, że był pijany, bo inaczej Josh mógł sobie z nim nie poradzić. Facet był wielki.

To, iż odnalazł ich kryjówkę wśród milionów podobnych ruder, było znakiem, że nadszedł najwyższy czas znaleźć nowe schronienie. Przenosili się wraz z Mnichem i kobietami, którym akurat udzielali schronienia, co parę tygodni. Wymieniali jedną ruderę na drugą zwykle za małą dopłatą. Ludzie chętnie się zamieniali, jeśli mieli przez to bliżej do pracy albo chcieli zmieniać lokalizację, bo ich stosunki z gangsterami zarządzającymi daną strefą nie były najlepsze.

Josh z miejsca pomyślał o Dacnisie i tym jego człowieku o oczach pantery. Obawiał się, że ich ludzie będą go nagabywać, ale na razie nic szczególnego się nie działo. Nawet na tej imprezie, na którą musiał przyjść, nie interesowano się nim szczególnie. Z Dacnisem, który cały czas otoczony był przez swoich ludzi, nie zamienił nawet słowa. Może dlatego nie wypełnił jeszcze jego rozkazu.

Wychylił się i wyjrzał przez otwarte drzwi na wzgórza wokół Rio de Janeiro porośnięte lasem krzywych domów u podnóża i prawdziwą dżunglą u szczytów. Na dachu każdego budynku znajdował się przynajmniej jeden zbiornik na wodę. Ściany z czerwonych cegieł były najczęściej nagie lub pokryte kolorowym graffiti. Za kanalizację służyły tu wykopane w ziemi rowy, którymi nieczystości spływały na ulicę lub do rzeki. I właśnie gdzieś tam był Jack. Może właśnie zmywał ze swoich dłoni krew? – pomyślał gorzko Josh.

Potrząsnął głową, aby odgonić niepotrzebne myśli. Długie kosmyki rudych włosów opadły mu na twarz, więc zaczesał je za ucho. Zastanawiał się nad ścięciem włosów i ich przefarbowaniem, aby bardziej wtopić się w tłum. Przez bardzo jasną

skórę, gęste piegi i wielkie, błękitne oczy nadal by się odznaczał, więc nie miało to większego sensu.

Niedługo potem wrócił Mnich. Dla Josha i wszystkich innych mieszkańców faweli rosły, łysy mężczyzna pozostawał zagadką. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia, wieku, tego, skąd pochodził i dlaczego wybrał taką drogę życia. Josh nie miał nawet pojęcia, w jaki sposób Mnich pozyskiwał pieniądze na ich utrzymanie. Rzadko w ogóle się odzywał, często wychodził na wiele godzin bez słowa uprzedzenia, a potem wracał z pieniędzmi. Gdy przebywał w domu, zwykle siedział w rogu po turecku i najprawdopodobniej medytował jak prawdziwy mnich.

Josh wytłumaczył mężczyźnie sytuację, który jedynie kiwnął głową, potwierdzając, że przyjął to do wiadomości. Nim chłopak wyszedł, podał mu z butelkę wody mineralnej z plastikowej reklamówki, z którą przyszedł. Wyciągnął z niej też jakieś jedzenie zawinięte w srebrną folię i podał kobietą, które rzuciły się na nie jak wygłodniałe psy. Josh uśmiechnął się na ten widok i wyszedł na ulicę. Natychmiastowo uderzył w niego żar, nieznośna duchota i smród tego miejsca. Jak zwykle na zewnątrz aż roiło się od ludzi. Chłopcy odziani jedynie w spodenki i podrobione czapki z daszkiem znanych marek lawirowali między dorosłymi z posępnymi minami, przekrzykując się kopiąc przed sobą sponiewieraną piłkę.

Josh postanowił ruszyć w górę faweli, bardziej ku jej środkowi, aby oddalić się od granicy z teren należącym do Barbosy. Zastanawiał się, dlaczego Dacnis przymykał oko na działania Mnicha, mimo że mu szkodziły. Doszedł do wniosku, że to była kolejna część gry. Większość kobiet, którym udzielali schronienia, pochodziła z terenów Barbosy. Jego gang był bardziej brutalny w swoich działaniach, w tym zarządzaniu burdelami. Kobiety czuły się także bezpiecznej na terenie zarządzanym przez wrogą grupę. Fama o tym, że Dacnis pozwalał w swojej dzielnicy ukrywać się dziwkom, które uciekły Barbarosie, na pewno rozeszła się już wśród ludzi, ośmieszając tego drugiego.

Szedł już dobre kilkadziesiąt minut, gdy wśród przechodniów mignęła mu sylwetka współpracownika Dacnisa, Falco. Jego szerokie plecy z długimi do pasa dreadami co chwilę pojawiały się znikwały w tłumie, ale nie mogło być mowy o pomyłce. Ludzie mijając go, milkli i schodzili mu z drogi. Josh szedł przez jakiś czas

za nim, obserwując go. Przez to potrafił kilka osób, którzy nie szczydzili mu przy tym kilku przekleństw po portugalsku. Josh był już przyzwyczajony do tutejszej kultury, czy raczej jej braku, więc nie zwracał na to większej uwagi. Gdy nagle stanął w miejscu jak wryty, rosły, wytatuowany mężczyzna omal go nie przewrócił.

Josh zagryzł wargę, patrząc na dziewczynkę, która podążała za Falco. Dopiero teraz ją dostrzegł. Nie widział jej twarzy, ale po posturze ocenił, że miała jakieś dwanaście lat. Dwanaście! Gdy dojrzał, że na ramieniu niosła szkolną torbę, aż coś ścisnęło go w środku. Od razu przypomniał sobie o Tracy. W pewnym momencie zaczął jej nienawidzić, ale teraz już tak nie czuł. Ona też była przecież ofiarą rzeczywistości, w jakiej przyszło jej żyć i radziła sobie z nią tak, jak umiała. Nie wiedział, co do końca mężczyzna chciał zrobić z dziewczynką, ale nie mógł na to pozwolić. Może miała zostać jego kochanką, a może nową pracownicą domu uciech. Nie było to tutaj ani rzadkie, ani bardzo szokujące. Nawet czternastolatki rodziły tu dzieci. Jedno było pewne. W tym świecie członek gangu nie wychodzi wieczorem ze swoją córką, by zjeść razem coxinę* na mieście.

Właśnie przez to zupełnie inne postrzeganie świata, inną wrażliwość nie mógł zostać z Jackiem. Ruszył przez tłum, a gdy od mężczyzny dzieliło go już kilkanaście kroków, ten niespodziewanie odwrócił się i wycelował do niego z broni. Ludzie rozpierchli się na boki, uciekając z linii strzału. Josh stanął w miejscu jak wryty.

– Ja... – chciał coś powiedzieć, ale w tedy rozległ się ogłuszający huk wystrzału.

Z całej siły zacisnął oczy i przestał oddychać. Czekał na potworne cierpienie, wyobrażał sobie, jak dławi się własną krwią i pada na ziemię przeszyty kulą. Mijały kolejne sekundy, a on czuł jedynie ból w uszach i słyszał nieznośny pisk. W końcu zdecydował się otworzyć jedno, a potem drugie oko. Najpierw ujrzał dziewczynkę, która właśnie przestała przyciskać dłonie do uszu. Patrzyła przed siebie wzrokiem wyjałowionym z jakichkolwiek emocji. Obok niej stał Falco, który z wykrzywionymi ustami przyglądał się lufie swojego pistoletu. Popatrzył na wytatuowanego mężczyznę stojącego obok i powiedział coś do niego po portugalsku.

– *Skrzywiona, czy co? Drugi raz mi się kula omsknęła.*

– *To śmieć Barbosy. Najlepiej, gdy są martwi.*

– *Prawda. Ale od trupa nic się nie dowiemy.*

Towarzyszący Falco gangster wskazał w kierunku, gdzie stał Josh, więc chłopak odwrócił się za siebie. Jacyś ludzie, po tatuażach można było wywnioskować, że są członkami mafii, podnosili właśnie z ulicy ciało młodego mężczyzny. Falco burkliwym, podniesionym głosem mówił coś do nich. Najpewniej wydawał im rozkazy.

– Biały szcurze.

Josh oderwał wzrok od ciała zastrzelonego mężczyzny i z napięciem odwrócił się z powrotem, aby spojrzeć na Falco. Ten wciąż miał w dłoni pistolet i mierzył nim w chłopaka.

– Biały szcurze – powtórzył – ten śmieć Barbosy śledził ciebie. Co na to powiesz? Jak mi za to odpłacisz?

Śledził mnie? – powtórzył w myślach Josh. To równie dobrze mógł być człowiek nasłany przez Jacka lub za jego wiedzą. Tylko po co? By go zabić? Josh zacisnął swoje kształtne wargi w wąską linię. Wszystko było nie tak. Po ucieczce mieli rozpocząć nowe życie z dala od tego całego brudu. Handlować garnkami, jak to mawiał Jack. A wylądowali tutaj, w samym środku piekła.

– Szcurze! – warknął Falco. – Mówię do ciebie!

Josh, wyrwany z zamyślenia, spojrzał znów na mężczyznę, który mierzył go nieprzyjemnym wzrokiem swoich żółtawych oczu. Był zrezygnowany tym wszystkim. Podbite oko puchło coraz bardziej, gangster mierzył do niego ze spluwy, żar lał się z nieba, ulicą spływały ekskrementy, a on miał po prostu dość.

Gdy wzruszył lekko ramionami, rozdrażniony Falco uniósł pistolet i go odbezpieczył.

– Myślisz, że kim jesteś?! – warknął rozdrażniony. – Nikim! Tutaj nic nie znaczysz, biały psie!

– Och, cicho! Nie strasz go! – zawołała niespodziewanie towarzysząca mu dziewczynka, tupiąc przy tym nogą.

Podeszła do zaskoczonego Josha i ujęła w dłoń pasmo jego długich włosów.

– Są jak metal – powiedziała z mocnym akcentem. – Nawet się błyszczą. Są jak... nie pamiętam nazwy...

– Miedź? – podpowiedział Josh.

– Tak, jak miedź! I masz piegi. I oczy jak ocean. Śliczny jesteś – stwierdziła.

– Miriam! – zawołał Falco, ale bez śladu poprzedniej złości w głosie. Bardziej z rezygnacją. – Wracaj tutaj!

– Jest śliczny – powtórzyła dziewczyna, nic sobie nie robiąc ze słów Falco. – Mogę go mieć?

Josh popatrzył na nią zdziwiony. Dopiero teraz zwrócił też uwagę na jej ubrania. Były nowe i markowe, podobnie jak różowy plecak, który miała przewieszony przez jedno ramię.

– Więc masz na imię Miriam? – spytał. – Ładnie.

– Wcale nie – zaprzeczyła dziewczyna, krzywiąc się. – Papa wybierał. Ty pewnie znasz go jako Dacnis. I mów mi Mira. Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią.

Dziewczynka była córką szefa gangu. Josh był zaskoczony także dlatego, że Dacnis w jego ocenie nie wyglądał nawet na trzydzieści lat. Co prawda, nie mógł być tego do końca pewien, bo przecież „Black don’t crack”**. Zresztą, to że miałyby kilkunastoletnie dziecko jeszcze przed trzydziestką, nie było tutaj czymś aż tak wyjątkowym.

– Gdzie szłaś? – dopytał jeszcze.

– Hm? Wracałam, że szkoły. Tam. – Palcem wskazała za Josha. – Tam chodzę do szkoły.

Chłopak odwrócił się. W oddali, u podnóża wzgórza, na którym wybudowano slumsy, znajdowało się właściwe Rio de Janeiro. Dziewczynka wskazywała właśnie tam, czyli musiała chodzić do dobrej szkoły.

– Starczy tego! – Falco podszedł do nich i chwycił Miriam za wyciągniętą dłoń.

– Nie rozmawiaj z nim.

– Nie dotykaj mnie! – rozkazała dziewczyna, wrywając mu się. – I nie rozkazuj mi!

Mimo swoich butnych słów, pomachała Joshowi na pożegnanie i ruszyła powrotem w górę ulicy.

– Zegar tyka – powiedział Falco do Josha, nim ruszył jej śladem. Warknął jeszcze coś po portugalsku do swoich ludzi.

Życie ulicy mimo świeżej krwi, która nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w ziemię, powróciło już do swojego starego rytmu. Josh przez chwilę śledził jeszcze wzrokiem oddalającą się dwójkę, a potem ruszył w drogę powrotną. Miał na dziś dość wrażeń.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, ukazując białe zęby. Jej lekko skośne i ciemne jak u ojca oczy błyszczały, gdy obejrzała się za siebie.

– *Falco* – zwróciła się do mężczyzny już po portugalsku – *naprawdę go chcę. Papa mi pozwoli, prawda? Wtedy go złapiesz? I przyprowadzisz?*

– *Po co ci ten biały szczur?* – mruknął mężczyzna. – *Ale tak. Jeśli pozwoli.*

Jack strzepnął popiół do popielniczki i ponownie zaciągnął się papierosem. Było tak strasznie duszno, pomimo otwartych okien i kilku pracujących na pełnych obrotach wiatraków. Siedział rozparty na zniszczonej kanapie i przyglądał się grze. Kilku mężczyzn, wszyscy bez koszulek, z chudymi ciałami pokrytymi tatuażami i z diamentowymi kolczykami w uszach tłoczyło się wokół stołu bilardowego. Reszta siedziała na kanapach, pijąc alkohol i paląc zioło. Był wśród nich także Barbosa. Zajmował miejsce obok Jacka, przy otwartych na oścież oknach z popękаныmi szybami. Chociaż pochodził stąd, podobnie jak Jack nie przepadał za upałem, a mimo to zawsze ubierał się na czarno. Dlatego ta część faweli, która była pod jego jurysdykcją, także prezentowała się dość smętnie. Bossowie narkotykowi mieli tu taką władzę, że nawet wpływali na sposób ubioru ludzi zamieszkujących slumsy. Mieszkańcy graniczącego z ich terenu ubierali się w znacznie bardziej wymyślne stroje, pełne barw, tak jak miał to w zwyczaju główny wróg Barbosy, a przez to także Jacka, Dacnis.

Hetfield spojrział na zegarek, a potem na twarz Barbosy. Mężczyzna nie wydawał się być w humorze, co nie wieszczyło dobrze ludziom czekającym za drzwiami. Dochodziła ósma wieczór, więc strażnik wpuścił pierwszego interesanta. To był młody chłopak. Mógł mieć nie więcej niż piętnaście lat, ocenił na oko Jack. Był bardzo szczupły. Gdy szedł, pod ciemną skórą grały mu mięśnie. Pomimo młodego

wieku, miał już na ramieniu tatuaż. Popatrzył krótko na Jacka czarnymi oczami, gdy go mijał, a potem stanął przed Barbosą. Ten kiwnął na swojego człowieka, który wyciągnął za paska pistolet. Włożył go do plecaka dzieciaka, który ten ściągnął z ramienia.

– *Wiesz?*

– *Wiem.*

I to wszystko. Chłopak zapiął plecak, nałożył go z powrotem na ramię i wyszedł z sali. Jack pokręcił głową. Dzieciakowi dopiero sypał się pierwszy wąs.

– Coś nie tak? – spytał Barbosa.

– Zastanawiałem się tylko, czy sobie poradzi – odparł Jack.

– To będzie dla niego test.

Test, powtórzył w myślach Jack. Jego też poddali próbie. Teraz miał już dwie rzeczy, przez jakie dręczyły go wyrzuty sumienia. To, co zrobił Joshowi w tej przeklętej przyczepie oraz zabicie tamtego dzieciaka. Gówniarza, który postanowił handlować na lewo towarem Barbosy. Jack zdał test, ale stracił Josha i resztkę człowieczeństwa.

Następny był starszy mężczyzna. Otyły i spocony. Stary pijak, który całe życie spędził najprawdopodobniej na hazardzie i biciu żony, ocenił Jack. Było tu takich od groma. Na twarzy miał świeżą ranę, która goiła się bardzo brzydko. Gdy stanął przed Barbosą, przełknął ślinę. Zaraz też upadł na kolana, gdy pchnął go podążający za nim członek gangu.

– *Więc, co masz mi do powiedzenia? Mieliśmy umowę, prawda?*

– *Tak...* – potwierdził mężczyzna, nie patrząc Barbosie w oczy. – *Ja... dotrzymam!*

– *Termin minął wczoraj* – przypomniał gangster nad nim stojący.

Barbosa pochylił się ku mężczyźnie, a gdy ten uniósł twarz, wydmuchał mu na nią smugę białego dymu.

– *Pieniądze albo twoja córka. Taka była umowa. Moi ludzie jej szukali, ale nagle jakby się rozplynęła.*

– *Ona... uciekła* – przyznał mężczyzna – *ale znalazłem ją. Poszedłem po nią, ale...*

– *Ale?* – powtórzył Barbosa. Potem stopą ozutą w kłapek przejechał po ranie na twarzy mężczyzny. Ten nawet nie drgnął, tylko znów przełknął ciężko ślinę. – *Ale ktoś ci obił twój pijacką mordę. Kto?*

– *Mnich. Dzieciak.* – Kiwnął głową na Jacka. – *Nie stąd.*

Jack przymknął na krótki moment oczy. Wiedział, co to znaczyło. Nie musiał nawet patrzeć w stronę Barbosy. Wystarczył mu jego gardłowy śmiech.

– No proszę – podłapał Barbosa. – Kto by się spodziewał? Prawda, Jack?

– *Już któryś raz wpięprzają się w nasze sprawy* – dopowiedział członek gangu stojący obok.

Barbosa kiwnął na niego, aby wyprowadził kłęczącego mężczyznę z pokoju, a potem dał mu jeszcze lekcję na przyszłość. Znów spojrzał na Jacka.

– Chyba miałeś rozwiązać tę sprawę?

– Rozwiążę.

Przez całą noc padało, więc powietrze o poranku było bardzo rześkie. Świat wydawał się też choć trochę czystszy. Josh siedział u progu wejścia do ich prowizorycznego domu i patrzył przez otwarte drzwi na wschodzące słońce. Za gęstymi, kłębiastymi chmurami rozblęśla czerwona poświata. Z każdą sekundą coś mu obcego ścisnęło Josha w klatce piersiowej coraz mocniej. Świat musiał być piękny, zanim ludzie go zbrukali, pomyślał.

Odwrócił się, gdy usłyszał za sobą szmer. Trzy kobiety, które znalazły tu schronienie, właśnie podnosiły się ze swoich prowizorycznych posłań. Najmłodsza z nich pomachała Joshowi dłonią na przywitanie, a on odpowiedział słabym uśmiechem. Potem kobiety przygotowały skromny posiłek z zapasów, które kurczyły się w zastraszającym wręcz tempie. Podczas tych czynności i samego śniadania cały czas mówiły coś do siebie, niemal wesoło szczebiocząc. Josh nie mógł pojąć, jak mogły być tak szczęśliwe w takiej sytuacji. Sam jadł w zupełnej ciszy. Zresztą i tak rozumiał tylko co piąte słowo.

Po śniadaniu jedna z kobiet wyciągnęła ze swojej torby, w której znajdował się cały jej dobytek, kilka kolorowych spinek do włosów i ozdób w kształcie rajskich kwiatów. Na ich widok jej towarzyszki aż zaklaskały w dłonie z podekscytowania.

Wzajemnie zaplotły swoje czarne, długie włosy i wpięły w nie spinki. Wyglądały jak niewinne nastolatki, które jeszcze nie wiedzą, jak okrutne potrafi być życie.

Josh uśmiechnął się już szczerzej na ten widok, a potem wrócił do oglądania nieba. Czerwień zaczęła ustępować czystemu błękitowi. Patrzył na nie oczami o niemal takiej samej barwie. Dziewczyna, którą ostatnio bronił przed ojcem, usiadła obok niego, a potem delikatnie dotknęła jego jeszcze opuchniętego policzka. Potem uniosła drugą dłoń i pokazała Joshowi, co chowała w dłoni. To była niebieska frotką. Chłopak popatrzył na nią, a potem na twarz dziewczyny zaskoczony. Ta kiwnęła głową.

– Ach, niech będzie – zgodził się Josh, domyślając się, o co chodzi.

Dziewczyna klasnęła w dłonie i pobiegła w głąb pokoju po szczotkę. Przeczesywała jego rude włosy z dużą dozą delikatności. To było przyjemne uczucie. Nikt nigdy wcześniej tego dla niego nie robił. Dziewczyna zaplotła jego włosy w długi warkocz i obwiązała niebieską, błyszczącą frotką. Efekt swojej pracy pokazała mu w pękniętym lusterku.

– Dziękuję – powiedział Josh. – Jest bardzo ładnie.

Niedługo potem wrócił Mnich. Znow zniknął na wiele godzin i wrócił z jedzeniem i pieniędzmi. Josh nie miał pojęcia, jak mężczyzna je zdobywał. Nie pytał, bo i tak nie dostałby żadnej odpowiedzi. Raz tylko Mnich napomknął, że „wielu ludzi darzy go szacunkiem”, cokolwiek miało to znaczyć.

Josh uznał, że zmarnował już dość czasu. Skoro wrócił Mnich on mógł udać się na kolejne poszukiwania nowej kryjówki dla nich. Wstał z podłogi z ciężkim sapnięciem. Od wielu dni, w zasadzie odkąd drogi jego i Jacka się rozeszły, zastanawiał się po co to wszystko robi. Mnich powiedział kiedyś, że życie składa się z długich okresów oczekiwania i tych krótkich, ulotnych momentów, na które czekamy. Nie wytłumaczył już jednak, czym były te *momenty*. On całe czekał wytrwale na to, aby uciec z Teksasu wspólnie z Jackiem. I to się udało. To w takim razie musiał być jeden z tych momentów. Ale teraz był tutaj, sam. I nie wiedział, na co miał czekać. Nie czuł, żeby coś jeszcze, coś dobrego, gdzieś tam, w nieokreślonej przyszłości było. Czekano na niego.

– Wyglądasz na zmęczonego. Dzisiaj zapowiada się na wyjątkowo upalny dzień. Zostań w chacie.

Josh miał już wychodzić, ale zatrzymał go głos Mnicha. To było zaskakujące, że mężczyzna powiedział na raz więcej niż jedno zdanie. Na jego pucułowatej twarzy gościł pogodny uśmiech.

– Wszyscy powinniśmy odpocząć – kontynuował, po czym powtórzył to samo po portugalsku, kierując słowa do kobiet. – Niech to będzie dzień wytchnienia dla nas wszystkich.

– Ja... powinienem iść. Muszę znaleźć nowe miejsce dla nas.

– Na wszystko jest czas i na wszystko jest miejsce – odparł Mnich wciąż tym samym tonem filozofa. – Widzę, że coś cię dręczy więcej niż zwykle. Jesteście moimi podopiecznymi, obiecałem się wami opiekować.

– Nie jestem twoim... Nie musisz mnie chronić – odparł Josh.

– Oczywiście, że jesteś.

– To jakieś bzdury! – zawołał i wyszedł z domu zdenerwowany.

Nie był pewien, co go tak poirytowało. Zaczął iść ulicą w górę faweli. Przez wczesną porę nie było jeszcze wielu przechodniów. Przystanął, gdy ujrzał swoje odbicie w kałuży. Pierwszy raz w życiu naszała go refleksja, że jest ładny, może nawet więcej, ale w ogóle go to nie cieszyło. Nie miał nic więcej ponad to. Nawet Mnich traktował go na równi z kobietami, które ratował z rąk sadystycznych ojców, mężów i właścicieli burdelu.

Zamyślony w pierwszym momencie nawet nie zwrócił uwagi, że jeszcze czyjeś odbicie pojawiło się w kałuży. Młody chłopak, o rdzennych rysach stanął za Joshem. Zaśmiał się gorzko na widok jego równego warkocza związanego niebieską frotką przetykaną srebrnymi, błyszczącymi nitkami. Taki niewinny, taki piękny.

– O ja, jacyś to jesteśmy *pretty, pretty, pretty* – powiedział głosem przesiąkniętym drwiną. – Mógłbyś chociaż udawać mężczyznę.

Uniósł rękę i wycelował z broni w głowę Josha.

– Daj mi chociaż zobaczyć tą twoją słodką mordkę, póki jeszcze ją masz.

Poprzedniego wieczoru

Jack nie mieszkał na stałe w faweli. Zresztą nawet Barbosa tego nie robił, mimo że stamtąd pochodził i tym właśnie przekonywał do siebie ludzi. „Hej, jestem taki jak wy. Też nienawidzę władzy, która udaje, że nie istniejemy i policji, która nami gardzi”. Może na początku to była prawda. Teraz Barbosa, gdy nie miał nic do załatwienia w faweli, popijał drinki leżąc na materacu powoli dryfującym po basenie znajdującym się na jego rozległej posesji z białą willą. Jack noce spędzał w Rio, w małym mieszkaniu wypełnionym roślinnością w podwieszanych na ścianach doniczkach. Oczywiście nie on je urządził, ale wystrój całkiem przypadł mu do gustu. W tym wiklinowe meble, a przede wszystkim brak tych szkaradnych, wypchanych zwierząt z paciorkowymi oczami, w których lubował się jego ojciec. A przede wszystkim, w ich zabijaniu.

Na niebie dawno zawisł już Księżyc w pełni, gdy Jack wrócił do mieszkania i opadł na kanapę. Rozpiął kilka guzików szarej koszuli, odsłaniając swoją umięśnioną klatkę piersiową. Jego skóra nabrała ciemniejszej barwy, mimo że rzadko wychodził na słońce bez ubrania. Młody Indianin wyszedł z kuchni z dwiema szklankami wypełnionymi po brzeg lodem i jakimś czerwonym drinkiem. Podał Jackowi jedną, a potem usiadł obok niego na kanapie.

– Ja jestem zbyt łatwy do rozpoznania, więc musisz jutro udać się na teren Dacnisa i znaleźć kryjówkę Mnicha. I rozwiązać tę sprawę raz, a dobrze – powiedział do niego Hetfield.

Siedział z odchyloną na zagłówek głową. Jego policzki pokrywał kilkudniowy zarost. Wyglądał na zmęczonego. W palcach obracał przyjemnie chłodną szklankę.

– Mówiłem, że tak będzie – odparł chłopak, obserwując go.

Językiem przejechał wzdłuż dolnej, spierzchniętej do upału wargi. Upił jeszcze kilka łyków, po czym odłożył szklankę na stojący obok kanapy stolik. Wyciągnął także za paska spodni pistolet i położył go obok. Nachylił się do Jacka. Pełnymi ustami musnął jego zarośnięty policzek, a dłoń wsunął pod materiał rozpiętej koszuli mężczyzny. Pomasażował go po klatce piersiowej. Jack sapnął głośniej, na razie nie reagując. Gdy chłopak chciał posunąć się dalej i usiąść mu na udach okrakiem, szarpnął go za długie włosy i odsunął od siebie.

– Co jest?! – syknął chłopak wyraźnie zły. – Myślałem, że chcesz.

– No proszę. Zdarzyło ci się pomyśleć, ale wnioski wyciągnąłeś złe – zakpił Jack. – Popracuj nad tym jeszcze.

Młody Indianin aż cały się najeżył. Warknął niezadowolony.

– Więc ściągnąłeś mnie tu tylko po to, aby wydać rozkazy? Mogłeś, kuźwa, zadzwonić! – syknął.

Jack spojrzał na jego zmarszczoną teraz w wyrazie gniewu twarz. Chłopak miał charakterystyczne dla Indian rysy twarzy. Lekko skośne, wąskie oczy i szeroki nos. Jackowi trudno było ocenić, czy był ładny, czy brzydki. Dla niego wszyscy tutaj wyglądali tak samo. Był tylko pewien, że młody członek gangu nie miał w sobie nic, co przyciągnęłoby jego spojrzenie na dłużej. Wybrał go, bo był pewnym typem, a w tym świecie, w którym przyszło mu teraz żyć, nie można było ryzykować.

Chciał znaleźć w tym chłopaku to coś. Po to go tu teraz wezwał. Patrzył na jego śniadą twarz, a przed oczami miał jedynie wielkie, błękitne ślepią tego głupiego dzieciaka. Jego jasną skórę pokrytą tysiącem piegów, drobny nos, pełne usta i falujące włosy w kolorze miedzi. I ten jego debilny uśmiech, gdy patrzył na Jacka. Głupi dzieciak.

– Zajmij się tym – powiedział tylko, a potem znów odchylił głowę na zagłówek i przymknął oczy.

– Pieprzony impotent! – syknął chłopak, a potem wstał gwałtownie z kanapy. Chwycił swój pistolet i wcisnął za pasek spodni. Nawet nie próbował go jakoś specjalnie ukrywać.

Jack nie zareagował. Nawet na niego nie spojrzał, co rozłościło chłopaka jeszcze bardziej.

– Wal się!

Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi z zamiarem wyjścia, ale zatrzymał go głos Jacka. Rzadko wołał go po imieniu. Odwrócił się, by ujrzeć, że mężczyzna patrzy na niego jednym okiem. Jego zieleń aż przyprawiła chłopaka o dreszcze.

– Tak? – zapytał z nadzieją.

– Dzieciaka masz przyprowadzić do mnie żywego.

– Pierdol się!

Jack skrzywił się, gdy chłopak trzasnął z całej siły drzwiami. Sięgnął do swoich włosów, by rozplątać kucyka. Nie chciało mu się nawet iść do łazienki. Dziś zaśnie chyba na kanapie, jeśli sen w ogóle przyjdzie.

Miał na imię Juliano, ale nikt go tak nie wołał. Nie był kimś wartym zapamiętania, a więc jego imię także takie nie było. Nigdy nie marzył o karierze piłkarza, jak większość dzieciaków z faweli. On śnił o zostaniu fryzjerem. Chciał czynić ludzi pięknymi. Chciał, żeby jego matka stała się piękna i wreszcie się uśmiechnęła. Ten świat, zresztą jedyny, jaki znał, był okrutny dla ludzi takich jak on. Musiał więc im udowodnić, że jest taki jak wszyscy, a nawet bardziej niż oni. Jego dłoń przyzwyczała się więc do trzymania broni zamiast grzebienia, a on za jej pomocą czynił ludzi jeszcze brzydszymi, zamiast ich upiększać.

Sam chciał pozwolić sobie na to, aby być pięknym. Tutaj nie było to możliwe.

Obecnie

Josh uniósł powoli ręce do góry, skupiając się na tym, aby nie wykonać przypadkiem jakiegoś gwałtownego ruchu. Nie odwracał się. Gdy poczuł, jak coś zimnego dotyka tyłu jego głowy, wszystko w nim zamarło. Przestał mrugać, oddychać. Czuł, jakby nawet jego krew przestała krążyć w żyłach. Zadrżał, gdy poczuł, jak dłoń tego człowieka muska jego szyję, a potem plecy, by zatrzymać się na warkoczu.

– Hm, ładna ozdóbka – stwierdził gangster, chwytając za błękitną frotkę. – Co ty na to, żebym dał ją Jackowi jako pamiątkę po tobie, co? Będzie sobie do niej walił w samotne wieczory.

– Nie rozu...

– Oczywiście, kuźwa, że rozumiesz! – syknął mężczyzna i odbezpieczył broń. – Wszystko dla ciebie, co?

Więc chodziło o coś prywatnego? Może mężczyzna był kochankiem Jacka. Teraz ta myśl nappełniła Josha nadzieją. Jeśli przyszedł tu tylko dla niego, to Mnichowi i kobietom nic się nie stanie, pomyślał.

– *Zostaw go!* – Do uszu Josha dobiegł kobiecy krzyk. Z przerażeniem popatrzył w stronę, skąd dochodził. – *Ty potworze! On nic nie zrobił!*

To była Maria, najmłodsza z ukrywających się u nich kobiet. Mnich usiłował powstrzymać ją przed wyjściem z chaty. Teraz trzymał ją za ramiona i próbował odciągnąć. Josh patrzył na całą scenę jeszcze bardziej przerażony niż do tej pory.

– *Zamknij się, suko!*

Gangster odjął broń od jego głowy i wycelował ją na wyciągniętej ręce w kobietę. Josh kątem oka zdążył jedynie wyłapać, jak pociąga za spust. Raz, drugi, trzeci. Wszystkie kule dosięgły dziewczyny, a ta zwiotczała w rękach Mnicha, brudząc jego ubranie krwią.

Josh odwrócił się i wycelował palce w oczy Indianina. Mężczyzna porażony bólem próbował go odepchnąć. Broń znów wystrzeliła, ale tym razem kula przebiła jedynie ścianę pobliskiego budynku. Josh z impetem wbił kolano w krocze mężczyzny, a potem złapał go za głowę i w nią także uderzył. Oszołomiony przeciwnik na chwilę stracił kontrolę nad sytuacją. Upadł na jedno kolano, a Josh wykorzystał moment, by wyrwać mu broń i odrzucić jak najdalej. Nagle poczuł przeszywający ból w brzuchu. Przez moment myślał, że się posikał, ale to krew wypływała z ciętej rany. Po chwili poczuł też metaliczny posmak w ustach. Gangster ciął jeszcze raz Josha w brzuch nożem, który wyciągnął z kieszeni. Nim chłopak upadł, ostrze musnęło jego twarz.

Indianin przejechał dłonią po swoich oczach i kroczu, a potem rozejrzał się za swoją bronią. Już jej nie było. Ktoś musiał ją zabrać, a on miał jeszcze misję do wypełnienia. Przeklął w duchu, ale z tego, co wiedział, Mnich nie uznawał broni.

Dwie kobiety przylgnęły do siebie w rogu domu. Przerażone i zapłakane patrzyły na ciało Marii leżące w kałuży krwi przed progiem. Mnich kazał im uciekać, ale żeby to zrobić trzeba mieć nadzieję, że się uda. One były jej pozbawione już wcześniej.

Młody gangster zaczął iść w stronę Mnicha, który stał wciąż przy ciele dziewczyny. Ubranie opiekuna Josha poplamione było krwią. Stał wyprostowany, z dłońmi uniesionymi na wysokości klatki piersiowej, gotowy do walki. Indian podbiegł do niego i ciął nożem. Mnich uniknął ataku i chwycił chłopaka za nadgarstek. Drugą,

rozprostowaną dłonią uderzył go w spód podbródka, a potem kopnął w brzuch. To odrzuciło chłopaka na kilka kroków w tył.

– *Zakończmy to* – powiedział Mnich. – *To co robisz, to nie jest dobra ścieżka.*

– *Pieprzenie!* – wysyczał chłopak, zastanawiając się, co zrobić.

Mężczyzna miał nad nim przewagę siły. Znał się na sztukach walki znacznie lepiej niż on. Ale był też głupi.

– *Okej, odejdę. Puścisz mnie wolno?*

– *Tak* – potwierdził Mnich.

Młody gangster parsknął, uśmiechając się krzywo. Popatrzył za siebie, na rudowłosego chłopaka leżącego w kałuży.

– *Wszyscy jesteście idiotami.*

Uniósł jeszcze ręce do góry, dając znać, że rezygnuje z dalszej walki i odwrócił się na pięcie. Zdołał przejść jedynie kilkanaście kroków, gdy sam padł na ziemię niedaleko Josha. Kula trafiła go w głowę.

Po chwili przystanął przy nim Falco. Na stopach miał japonki. Ubrany był w spodnie do kolan z kwiecistym wzorkiem i luźny bezrękawnik. Wyglądał jak turysta na wakacjach. Indianinowi nie poświęcił dłużej niż sekundy swojej uwagi. Skupił się za to na Joshu. Jeden z jego ludzi przykucnął przy chłopaku i sprawdził mu puls. Pokiwał głową.

Falco spojrział w stronę Mnicha, który stał w odległości kilku kroków. Za nim, w progu rozpadającego się domu, dwie przerażone kobiety patrzyły to na ciało Marii, a to na Josha.

– *Żyje* – powiedział Falco – *jeszcze. Co powinienem zrobić?*

– *Pomóż mu* – powiedział Mnich.

Człowiek Dacnisa zaśmiał się pod nosem.

– *To w ogóle nie brzmiało jak prośba. Bardziej jak rozkaz. Dawne przyzwyczajenia, co?* – parsknął. – *Na kolana.*

Mnich bez zwlekania wykonał jego polecenie. Upadł na kolana.

– *Dobrze.* – Przez twarz Falco przemknął uśmiech. Zwrócił się do trzech ludzi, którzy stali za nim: – *Zabierzcie dzieciaka. Ma przeżyć.*

Gdy mężczyźni wykonali rozkaz, zostali z Mnichem sami, nie licząc dwóch kobiet i ciała dziewczyny oraz Indianina. Wszyscy przechodnie już dawno opuścili ulicę, by nie zostać w nic wmieszonym.

– *Więc jak powinienem to rozegrać?* – spytał Falco. Jego żółte oczy wydawały się płonąć. – *Puścić was przez wzgląd na dawne lata?*

Mnich uśmiechnął się lekko.

– *To byłoby miłe z twojej strony.*

Falco także odpowiedział podobnym uśmiechem.

– *Wiesz, że tak nie może być. Są zasady* – powiedział. – *Właśnie. Użyjmy jednej z tych, którą sam stosowałeś w dawnych, dobrych latach, gdy byłeś jednym z nas.*

Skierował lufę pistoletu na Mnicha, a potem kobiety za nim.

– *Ty czy one?*

– *One* – odpowiedział bez zastanowienia Mnich.

– *Niechaj i tak będzie* – zgodził się Falco, a potem pociągnął za spust.

Otwór w czole Mnicha napełnił się krwią, a jego oczy wywróciły się białkami do góry. Upadł na twarz. Nim umarł, jego ciałem targnęły jeszcze krótkie drgawki. Falco poświęcił mu chwilę, a potem jego wzrok padł na dwie kobiety.

– *To go właśnie zgubiło* – powiedział lodowatym głosem. – *Przestrzegaj zasad.*

Następnie padły jeszcze dwa strzały.

Budził się tylko na krótkie momenty pełne bólu. Nie miał pojęcia, gdzie jest, ani co z nim robią ludzie, których widział nad sobą, gdy otwierał oczy. Na przemian ukazywała mu się twarz starszego mężczyzny z wąsem, drugiego – znacznie młodszego i z kolorowymi dreadami oraz dziewczynki. Zdawało mu się, że zna dwie ostatnie osoby, ale nie umiał sobie przypomnieć skąd. Gdy zasypiał zmożony bólem i gorączką, pod powiekami znowu i znowu widział te same sceny. Wciąż od początku, jak w jakimś zaklętym kręgu.

Miejscowy chłopiec, może trzynastoletni, który pracował już dla mafii. Jak wiele innych dzieciaków ze slumsów, pozostawionych samym sobie zajmował się dilerowaniem. Może chciał być sprytniejszy niż reszta, a może był bardziej

zdesperowany, więc zrobił to, czego nie powinien. Oszukał mafię i zatrzymał większą część zysku dla siebie, niż mu na to pozwolono.

Barbosa pokazał mu chłopca, gdy ten pomagał swojej siostrze prowadzić kram na ulicy. Jack zdał test bez mrugnięcia okiem. Gdy poprawiał spadające na twarz jasne włosy, siostra zastrzelonego chłopaka wciąż jeszcze krzyczała.

Dlatego musiał odejść. Wiedział od samego początku, gdy spotykali się w czerwonym Cadillacu deVille, że to nie jest prawdziwy Jack. Tak jak pies przypięty łańcuchem ujadł wściekle i toczył pianę z pyska, ale od środka drążyło go poczucie beznadziejności i ubezwłasnowolnienia. Jednak ogniwa w końcu się rozwarły i Josh miał nadzieję, że teraz przyjdzie mu zobaczyć prawdziwego Jacka. I nie mylił się. Rzeczywistość jednak okazał się bardziej przerażająca od najgorszego koszmaru. Teraz już nic nie hamowało Jacka Hetfielda.

Znów się przebudził. Teraz jednak jego głowa wydawała się znacznie lżejsza. Najbardziej dokuczała mu zdrętwiała ręka, w którą wkłuty miał wenflon. Przez plastikową rurkę do jego krwi powoli skapywała substancja, która odganiała ból. Wreszcie był na tyle przytomny, by rozejrzeć się po pomieszczeniu, w którym leżał. Nie rozpoznawał go.

Nie miał za to problemów z rozróżnieniem dwóch męskich głosów dochodzących zza drzwi. Jeden z nich należał do lidera tutejszego gangu, Dacnisa, a drugi do jego prawej ręki. Właśnie pod wpływem tego głosu układającego się teraz w słowa po portugalsku, których Josh nie potrafił zrozumieć, wydarzenia z tamtego dnia do niego wróciły. Wszyscy nie żyli. Mnich, Maria i dwie inne kobiety. Użyźnili skażoną glebę Rio de Janeiro swoją krwią i to była jego wina.

Z jego obolałego ciała wyrwał się szloch, a oczy napełniły łzy. Zakrył je dłonią. Już nie mógł więcej. Nie miał już siły. Potrzebował, żeby ktoś się nim zajął. Dał oparcie, bo on nie mógł już stać sam prosto. Na całym świecie jednak nie ma i nie było takiej osoby. Nie była to Tracy i nie był to Jack. Teraz to rozumiał.

Jack. Tyle razy wymiał to imię z utęsknieniem, ale tym razem padło z innych ust. *Ele deve morrer.* Musi umrzeć. To Josh rozumiał bez problemu.

Drzwi zostały otwarte i do pokoju weszli trzej mężczyźni. Dacnis, starszawy lekarz z teczką pod pachą i Falco. Na jego widok wargę Josha zadrgała. To on. Ten

potwór ich zabił. Nawet przy tym nie mrugnął, jakby ich życie nie było nic warte. Josh z odrazą spojrział na ciemną twarz mężczyzny. On i Jack byli tacy sami.

– Poznajesz mnie? – spytał Dacnis po angielsku.

Josh nie odpowiedział. Nieruchomym wzrokiem wgapiał się w sufit.

– Nie rozkazałem mu tego – powiedział mężczyzna, a Falco parsknął.

Dacnis odwrócił się i spojrział na niego zimno.

– Chyba masz coś do roboty?

Falco przewrócił swoimi niemal żółtymi oczami, ale jednak wyszedł z pokoju bez żadnego już słowa. Lekarz chwycił nadgarstek Josha, aby zbadać mu puls i zaświecił mu małą latarką w oczy. Później powiedział coś po portugalsku do Dacnisa, spakował swoje rzeczy do teczki i również opuścił pomieszczenie.

Gangster usiadł na brzegu łóżka. Dłonią przeczesał rude włosy chłopaka. Nie zareagował, gdy Josh strzepnął jego rękę.

– Przykro mi.

– I co mi to da? – spytał gorzko Josh.

– Nic.

Drzwi znów się otworzyły i do pokoju weszła kilkunastoletnia dziewczynka. Była bardzo podobna do swojego ojca. Podeszła do łóżka i klasnęła w dłonie.

– Żyje! – ucieszyła się. – Teraz z nami zostanie. Prawda, papo?

– Na pewno póki nie wyzdrowieje – odparł mężczyzna. – Potem nie będziemy mogli go zatrzymać. To będzie musiała być jego decyzja.

Dziewczynka zrobiła nadąsaną minę. Spojrzała na Josha z błyskiem w oku.

– Zostaniesz, prawda? – spytała. – U nas będzie ci dobrze. Papa jest silny, więc nikt cię nie skrzywdzi.

Josh odwrócił głowę. Nie obchodziło go, co się z nim stanie.

– Mira, daj mu wypoczywać.

Łóżko skrzypnęło, gdy Dacnis uniósł się z niego. Josh wciąż nie patrzył w ich stronę, gdy opuszczali pokój. Słyszał tylko nadąsany głos dziewczynki. Nie wiedział, jak długo leżał bez ruchu. Gdy w końcu ścierpnięta szyja zmusiła go do odwrócenia się, zauważył na komodzie telefon komórkowy. Wcześniej go tam nie było. Chyba lekarz zapomniał go zabrać, gdy pakował swoje rzeczy do teczki.

Mógł zadzwonić. Pamiętał przecież numer. Mógł ostrzec Jacka, jednak nie poruszył się nawet o milimetr. Przy ich pierwszym spotkaniu Dacnis powiedział, że jeśli naśle na Hetfielda Falco, to przynajmniej jeden z nich straci *przyjaciela*. Co za nietrafiony dobór słów. Tak, może Josh nie straci *przyjaciela*, jednak świat stanie się lżejszy o co najmniej jednego potwora.

Spojrzał jeszcze raz na telefon, a potem znów odwrócił głowę.

Równowaga.

*Coxinha – brazylijskie pierożki z kurczakiem.

***Black don't crack* – slang oznaczający, że po czarnoskórych nie widać tak bardzo upływu czasu, jak po innych rasach. Ich skóra nie marszczy się tak bardzo itp.

Rozdział 1

Pogoda wyjątkowo dzisiaj dopisała. Było przyjemnie ciepło i wreszcie przestał padać deszcz. Josh i Mira wykorzystali okazję i przenieśli się z codziennymi lekcjami na przestronny balkon. Siedzieli przy stoliku zawałonym książkami do nauki angielskiego i popijali kakao.

– Dalej nie łapię, kiedy mam użyć „Going to”, a kiedy „Present Continuous” do wyrażania przyszłości – poskarżyła się dziewczynka i wydeła usta, spoglądając na zadanie z podręcznika, nad którym teraz pracowali.

Dobrze mówiła po angielsku, ale dotąd uczyła się głównie przez oglądanie telewizji i gry. Czasów i form używała instynktownie, nie znając ich teoretycznych podstaw. Josh pomagał jej w nauce na polecenie Dacnisa, chociaż sam nie należał nigdy do orłów w żadnej dziedzinie, nie tylko w angielskim. Ojciec Miry uznał jednak, że samo to, iż był to jego ojczysty język, wystarczy. Albo po prostu dał Joshowi jakiegokolwiek zajęcie, gdy pozwolił mu tu zamieszkać po tym, jak Mnich i kobiety zginęły, a chłopak znów został sam.

Gdy właśnie miał odpowiedzieć dziewczynce, na balkon wszedł Dacnis, a za nim ktoś, przez kogo serce Josha przestało na moment bić. Przez tę krótką chwilę myślał, że właśnie zobaczył Jacka. Za Dacnisem bowiem podążał wysoki, biały mężczyzna o zielonych oczach i blond włosach zaplecionych w kucyk.

Josh skarcił siebie w myślach. To nie mógłby być Jack. Nie było takiej możliwości, aby przekroczył próg domu Dacnisa żywy. Josh przyjrzał się dokładniej mężczyźnie. Tylko na pierwszy rzut oka przypominał Jacka. Po trochę dłuższym przyjrzeniu prezentował się już tylko jako marna podróbka Hetfielda. Jego włosy były jedynie farbowane na blond, a policzki, których kości nie były tak dobrze ukształtowane jak u Jacka, pokrywał kilkudniowy, niezadbany zarost. No i Jack nigdy nie ubrałby tak niegustownej, hawajskiej koszuli w kwiaty.

Jednak tym, co odróżniało ich najbardziej, było spojrzenie. Kolor oczu rzeczywiście mieli identyczny i biła z nich podobna buta, ale Josh widział we wzroku

tego mężczyzny kłamstwo. Za pierwszą warstwą kryła się jeszcze druga. Strach. Jack się nie bał.

– *Papa!* – ucieszyła się dziewczynka i natychmiast podbiegła do ojca, prawie się na niego rzucając.

Ten poklepał ją po głowie i pogładził po policzku z łagodnym uśmiechem. Gdyby nie liczne tatuaże, które miał nawet na twarzy, mógł teraz uchodzić za przykładowego ojca i członka społeczeństwa, a nie gangstera, który twardą ręką rządził całą fawelą.

– *Byłaś dzisiaj grzeczna?* – spytał swoim zachrypniętym od ciągłego palenia zioła, ale przyjemnym głosem. – *Czy może sprawiałaś Joshowi problemy?*

– *Byłam grzeczna! A Josh jest moim przyjacielem! Nie jest takim gburem jak Falco!*

Mężczyzna uśmiechnął się rozbawiony tym komentarzem.

– *No już dobrze. Skoro byłaś grzeczna, to możesz zabrać Josha na dół, aby obejrzeć prezent, który tam na ciebie czeka.*

Dziewczynka zapiszczała i klasnęła w dłonie. Podbiegła do Josha, by chwycić go za rękaw i pociągnąć za sobą. Gdy mijali Dacnisa i nieznanego mężczyznę, chłopak rzucił temu drugiemu jeszcze przelotne spojrzenie. Nie wiedział, kim jest, ani po co tu przyszedł, ale jego pojawienie się budziło w Joshu złe przeczucia.

Gdy zostali sami na balkonie, Dacnis oparł się o barierkę i spojrzał na morze krzywych domów, czy bardziej bud skleconych z byle czego, które rozciągało się poniżej. Wiatr poruszał lekko jego krótkimi dreadami, które pofarbowane były teraz na czarno z czerwonymi końcówkami. Jeszcze niedawno były fioletowe. Na szczupłe ramiona zarzuconą miał kolejną z fantazyjnych koszul w pastelowych kolorach. Ta była łososiowa, a przyozdabiały ją liczne, nadrukowane głowy królików, które były logiem Playboya.

– Kto by pomyślał, że wrócisz tak szybko, Johnny? – rzucił do mężczyzny stojącego obok. Zaraz dodał ironicznie: – Falco się ucieszy.

– *Aż się nie mogę doczekać* – mruknął w odpowiedzi Johnny.

Jeszcze tego mu brakowało do tego wszystkiego. Nie miał teraz siły myśleć o niczym. Czuł się jak śmieć. Był wykończony. Falco i jego niezrównoważenie psychiczne były teraz jego najmniejszym problemem.

– Wiesz, że zawsze jesteś u mnie mile widziany – kontynuował Dacnis – ale z tego, co mi powiedziałaś, sytuacja się zmieniła. Wiesz, że do końca życia będę ci wdzięczny i obronię cię, ale ten twój Ahiga to nie jest jakaś tam płotka. Wypadałoby, abyś...

– Abym znów zasłużył na twoją wdzięczność? – domyślił się Johnny. Dokładnie tego się spodziewał, przychodząc w to miejsce. Tutaj niczego nie można było dostać za darmo. – Co to ma być?

Dacnis spojrział w dół, na mały, wybetonowany plac przed domem, gdzie Mira właśnie głaskała po pysku swojego nowego kucyka. Kilka kroków za nią stał chłopak, którego rude, błyszczące w południowym świetle włosy zaplecione były w gruby warkocz.

– Jack Hetfield – powiedział.

Johnny zmarszczył brwi, szukając kogoś takiego w pamięci.

– Nie słyszałem o nim – odparł jednak po chwili.

– To nowy nabytek Barbosy – wytłumaczył Dacnis. – Irytujący, bo inteligentny. Barbosa najwyraźniej słucha jego rad, bo nagle zaczął przewidywać nasze ruchy. Musi zniknąć, zanim bardziej nam nabruździ.

– Zwykle Falco zajmował się takimi sprawami – zauważył Johnny.

Dacnis zaśmiał się gardłowo.

– Powiedzmy, że mamy trudne dni – skomentował rozbawiony. – Nie pali się do roboty. Wolę go teraz bardziej nie irytować.

Johnny podążył za jego spojrzeniem, które znów padło na tego piegowatego chłopaka. No tak, pomyślał. Falco nie mógł być zadowolony z jego obecności przy Dacnisie. *Biały szczur*, na Johnny'ego też tak zwykł wołać.

– A dzieciak? – spytał. – Co to za jeden?

– Nie musisz zawracać sobie tym głowy – odparł przywódca gangu. – Ale jemu też ulży, jeśli Jack Hetfield zniknie. Chociaż pewnie będzie mnie za to nienawidził do końca życia.

W tym momencie na balkon wszedł trzeci mężczyzna. Był to Falco, prawa ręka Dacnisa. Jego najwierniejszy, a zarazem najbardziej wściekły z psów.

– *Co on tu robi?* – spytał, obrzucając pogardliwym spojrzeniem swoich oczu żółtych niemal jak u kota Johnny’ego. – *Kolejny szczur. Masz jakieś dziwne, nowe hobby - zbieranie ścierwa z ulicy?*

Dacnis spojrzał na niego, unosząc brew. Westchnął cicho.

– *Znowu nie poruchałeś?* – zapytał, dobrze wiedząc, że tylko go tym bardziej rozjuszy.

Falco patrzył na niego przez chwilę w milczeniu, by w końcu głośno sapnąć przez nos.

– *A pierdolę to!* – syknął i wyszedł, przedtem ostentacyjnie plując na podłogę balkonu.

Dacnis uśmiechnął się do siebie, odprowadzając go spojrzeniem swoich wąskich, czarnych oczu, po czym wrócił do oglądania tego, co dzieje się na plac u dołu. Mira właśnie usiłowała nakłonić Josha, aby też pogłaskał kucyka, ale chłopak niezbyt się do tego palił. Dacnis skomentował to lekkim uśmiechem.

– *Jemu kiedyś ta żyła strzeli* – powiedział Johnny – i wtedy przerucha, ale ciebie.

Dacnis zachichotał i wyciągnął z kieszeni swojej różowej koszuli dwa skręty. Jeden podał Nortonowi.

– *Wiem* – odparł, zapalając swojego – a on wie, że to będzie nasz pierwszy i ostatni raz. Bo równałoby się to z tym, że przestałby mnie szanować. I cała reszta też. Takie tu panują zasady. W tym piekle, w którym ja zasiadam na tronie. Tak już po prostu tu jest.

Wydmuchał smugę białego dymu i objął jeszcze raz wzrokiem dzielnicę nędzy rozciągającą się na wzgórzach Rio de Janeiro.

– *Popatrz, jaki ten świat dziwny* – powiedział, podając zapalniczkę Johnny’emu. – *Niby ja tu jestem królem, a nawet nie mogę się pieprzyć, z kim mi się podoba.*

– *Ty to masz problemy* – skomentował blondyn, przewracając oczami i zapalił ogień.

Przymknął na chwilę powieki, rozkoszując się ciepłem słońca i kojącym dymem, który wciągnął do płuc. Oczywiście wyrzucił stary telefon i wszystkie inne elektroniczne urządzenia, przez które mógłby zostać namierzony. Miał już jednak nową komórkę, a w niej zasięg. Do tej pory nie sprawdził jednak portali informacyjnych ze swojego rodzinnego miasta.

Oni wszyscy mogli już nie żyć. Ryan, ta jego pyskata koleżanka i ten wielki Indianiec. Matka, ojciec i bratowa. Wszyscy mogli nie żyć, a on stał na balkonie w Rio de Janeiro i palił skręta.

Raphael wciąż jeszcze nie doszedł całkiem do siebie. Nadal był osłabiony. Lotu samolotem w ogóle nie pamiętał. Przespał cały, jeśli można to było nazwać snem. Po prostu urwał mu się film. Teraz był tutaj. W Rio de Janeiro, w pokoju na najwyższym piętrze luksusowego hotelu. Z balkonu mógł zobaczyć panoramę miasta – morze drapaczy chmur wypierające dżunglę, złote plaże i błękitny ocean, a dalej dzielnice nędzy.

Na balkonie spędził tylko krótką chwilę. Nie miał humoru na podziwianie widoków. Nie miał humoru na nic, nawet na życie. Rzucił się na przestronne łóżko. Padł na nie bezwładnie niczym postrzelony, a twarz schował w poduszce i tak już został.

Płakał. Znowu. To było żalosne, ale przychodziło mu to z taką łatwością. Właściwie nie czuł się na siłach, aby zrobić cokolwiek innego. Nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd pierwszy raz przebudził się w łóżku, w willi Ahigi Ledgera, ale rodzice musieli już go szukać. Zaalarmować służby i sąsiadów. Pewnie wyobrażali sobie najgorsze z możliwych scenariuszy, a on był tutaj – leżał na satynowej pościeli w ekskluzywnym pokoju hotelowym z własną łazienką, w której miał wannę z hydromasażem.

Zupełnie jakby trafił do raj. Uśmiechnął się krzywo na tę myśl i uniósł trochę, aby spojrzeć na przeciwległą ścianę. Znajdowały się tam dodatkowe drzwi. Nie prowadziły jednak na korytarz, a do drugiego pokoju. Właśnie one oddzielały go od Ahigi.

Od rozmowy po przebudzenia Raphaela, nie widzieli się wcale. Nawet w samolocie nie siedzieli blisko siebie. Dopiero tutaj Cherubin zobaczył go znowu. Ahiga powiedział mu, że od teraz ten pokój pozostaje do jego wyłącznej dyspozycji. Może tu robić, co tylko zechce. Nawet z niego uciec.

To ostatnie zdanie wypowiedział, obdarzając Raphaela uśmiechem, w którym kryły się zarówno pogarda jak i wyzwanie.

Uciec? Ale niby jak? Niby gdzie? Raphael przekręcił się na łóżku na bok i popatrzył jeszcze raz na panoramę miasta przez otwarte na oścież drzwi balkonowe. Był w miejscu, którego nie znał. Nie miał pieniędzy, ani telefonu. Co miałyby zrobić, gdyby nawet udało mu się opuścić hotel obstawiony przez ludzi Ahigi? Nie umiał przecież niczego. Był zwykłym, rozpieszczonym licealistą z bogatego domu. Co niby miał zrobić, aby przetrwać? Zostać dziwką? – parsknął w myślach.

Był zamknięty w złotej klatce, a od złego smoka oddzielały go pojedyncze, drewniane drzwi.

Trish od dłuższej chwili nieruchomo leżała na hotelowym, pojedynczym łóżku. W drugą stronę niż powinna, bo ze stopami położonymi na poduszce. W tej jednak chwili było jej dokładnie wszystko jedno. Niemożliwie bolała ją głowa i czuła, jakby do jej powiek przywiązano dwa ciężkie, a do tego rozgrzane do czerwoności kowadła. Próbowwała je przymknąć i chociaż na chwilę usnąć, ale niecichnące odgłosy kłótni zza drzwi skutecznie jej to uniemożliwiały.

W drugim, połączonym z tym, pokoju kłócili się rodzice Pocahontas oraz Jennifer Norton. Matka Ryana miała pretensje do całego świata, tylko oczywiście nie do siebie. Rodzice dziewczyny mówili znacznie ciszej, ale nie ustępowali przy swoim. I bronili swojej córki. Kobieta obarczała winą ich oraz Trish za całą tę chorą sytuację, w której się znaleźli. Dziwiła się, jak mogli nie sprawdzić, z kim dokładnie dziewczyna jedzie w tą idiotyczną podróż.

Trish westchnęła i przewróciła oczami, gdy głos kobiety przeszedł z krzyku w szloch. Rozumiała, że matka Ryana wiele w ostatnim czasie przeszła, zaczynając od tragicznej śmierci męża, mogłaby jednak mieć też jakieś pretensje do siebie. W końcu zgodziła się na to, aby jej syn także pojechał do Teksasu.

W trakcie kłótni z jej ust na temat Atsah, którego widziała w życiu jeden raz, padły słowa takie jak: degenerat, monstrum, czy potwór. A, no i jeszcze „społeczny odpad”. To Pocahontas spodobało się najbardziej. Ciekawe, co kobieta powiedziałaby, gdyby знаła prawdę.

A prawda była taka, że Atsah siedział teraz na posterunku i pewnie niedługo usłyszy zarzuty za coś, czego nie zrobił. Zaś według jej definicji „społecznym odpadem” był jej własny syn.

Trish, która odtąd tępo gapiła się na drzwi, za którymi odbywała się sprzeczka dorosłych, przekręciła się na łóżku, by spojrzeć na Ryana. Odkąd znaleźli się w tym pokoju, chłopak nawet nie ruszył się o centymetr. Nic też nie powiedział. Siedział pod ścianą z podciągniętymi kolanami i nisko spuszczoną głową. Gapił się tępo w lakierowaną podłogę.

Prawdę o tym, co stało się tamtej nocy, znali tylko oni oraz Santa Boy. To on zasugerował Trish, aby nikomu więcej o tym nie mówili. Tak będzie najlepiej, jeśli chcą zachować tajemnicę, więc nawet Sasza nie został uświadomiony. Jak stwierdził Santa, jego kochanek był „dobrym chłopcem”, który w końcu by pękł i poszedł na policję, by powiedzieć prawdę. Lepiej więc było, aby jej nie poznał, tak jak i reszta.

Rodzice Trish i matka Ryana, którzy zostali powiadomieni o zajściu przez policję i w trybie ekspresowym przyjechali do Austin, byli więc przekonani, że podczas imprezy w domu basisty High Death nowy kolega ich dzieci wdał się w bójkę na noże z jeszcze niezidentyfikowanym mężczyzną, w wyniku której ten został śmiertelnie ranny.

I tak miało zostać. Tak było lepiej. Trish do końca nie była pewna, co kierowało Atsah. Dlaczego postanowił poświęcić się dla chłopaka, którego nawet nie zdążył zbyt dobrze poznać? Ona była najlepszą przyjaciółką Ryana, a nie była pewna, czy zdobyłaby się dla niego na coś takiego. Nie, właściwie znała odpowiedź. Oczywiście, że nie.

Jednak ona ceniła swoje życie. Miała przed sobą mnóstwo perspektyw. Wiedziała, że mogła jeszcze dużo z niego wycisnąć. Miała też czystą kartę. Tak samo jak Ryan. Przed nimi drzwi stały otworem. Atsah zaś był już naznaczony przez życie. Siedział już w poprawczaku za bardzo podobną sprawę. Może więc uważał swoje

życie za mniej wartościowe? I pozbawione perspektyw? Dlatego postanowił je poświęcić dla Ryana, w którym może się zadurzył? Ale przecież znali się za krótko, aby to mogła być miłość. Tak przynajmniej wydawało się Pocahontas.

Trish znowu uniosła powieki i spojrzała na skulonego w kącie chłopaka. Powinieneś być mu wdzięczny do końca życia, pomyślała. I powinieneś to życie, które od niego otrzymałeś, wykorzystać jak najlepiej.

– Nie spierdol tego, Ryan – powiedziała na tyle głośno, by jej słowa dotarły do chłopaka. – Proszę cię, nie spierdol tego.

W jej głosie dało się wyczuć desperację. Ona też będzie musiała mierzyć się z tą tajemnicą przez całe życie. Wątpliwości i poczucie winy nigdy jej nie opuszczą. Atsah zapewne pójdzie do więzienia, bo to był dla niego już kolejny raz. Ryan, którego kartoteka była zupełnie czysta, mógłby dostać jedynie poprawczak. To uwierało ją najbardziej.

Ryan też musiał być tego świadomy, a jednak już się nie buntował. Godził się na wszystko milczeniem. Ilekroć ta myśl pojawiała się w głowie dziewczyny, Pocahontas starała się ją odgonić, ale ona nie ustępowała. Wciąż i wciąż wracała. Myśl, że jej przyjaciel był tchórzem. Współczuła mu, ale też trochę nim gardziła.

– Nie spierdol tego – powtórzyła, ponownie spoglądając na Ryana.

Rozdział 2

Jak co dzień rano Josh ukrył się w małym ogrodzie na tyłach domu. Budynek znajdował się w górnej części dzielnicy, która rozciągała się na jednym wzgórzu otaczających Rio de Janeiro. Wyżej była już tylko dżungla. Dom jako jeden z nielicznych tutaj miał głębokie, betonowe fundamenty, które chroniły go przed obsunięciem się wraz z ziemią, co często się tu zdarzało. Woda i elektryczność podciągnięte były nielegalnymi ciągami. Mieli nawet Internet, chociaż bardzo powolny i o niskiej przepustowości.

Kucnął między krzaczkami pomidorów i przyglądał się ich liściom. Poraziła je jakaś choroba objawiająca się ciemnymi plamami. Josh westchnął i zaczął ręcznie usuwać chwasty z grządek. Zrzucał je na stertę, której później użyje do zrobienia kompostu. Opiekę nad ogrodem powierzyła mu jedna z kobiet pracujących w domu Dacnisa, a on był jej za to wdzięczny. Odnajdywał wśród zieleni jakąś namiastkę ukojenia.

Zesztywniał, gdy usłyszał ryk silnika. Nie mógł tego widzieć z tyłów domu, ale nie musiał, aby wiedzieć, że na betonowym placu zaparkował zielony jeep, a wysiadł z niego Falco. Mira już musiała kończyć się ubierać i za chwilę pełna energii wybiegnie przed dom. Tylko Falco jej ojciec darzył na tyle dużym zaufaniem, aby pozwolić mu eskortować dziewczynkę do szkoły w centrum Rio.

Josh rano zaszywał się w ogrodzie albo innej części domu, aby nie trafić na mężczyznę. Nie chciał go widzieć, ani słyszeć jego głosu. Sceny z tamtego dnia wciąż nawiedziły go podczas snu. Widział, jak Maria bez życia, przeszyta trzema kulami, pada w ramiona Mnicha, brudząc jego szatę purpurą. Słyszał, jakby to było wczoraj, lament i płacz pozostałych kobiet.

Gdy pojawił się Falco, Josh leżał dźgnięty w kałuży brudnej wody. Pierwszym, co zobaczył, były stopy ozute w japonki. Mnicha i dwie kobiety, którym mieli wspólnie z nim dać opiekę i bezpieczeństwo, zabił człowiek ze stopami ozutymi w japonki! I w szortach. Ubrany był, jakby wyszedł tylko na chwilę z domu do sklepu,

aby kupić olej do frytek albo papierosy. Jakby to nic nie znaczyło. Ich życie nic nie znaczyło!

Josh odrzucił kolejny pęk trawy i objął się ramionami, nie bacząc na to, że ma brudne ręce. Nienawidził tego, jaki był słaby. Powinien się zemścić, ale wtedy straciłby miejsce, które stało się dla niego namiastką domu. Dla niego, nieznanego nigdy takiego miejsca, to było bardzo wiele. I bardzo nie chciał tego stracić, więc każdego ranka ukrywał się na tyłach posiadłości, aby nie spotkać tego mężczyzny. Nie wiedział, czy byłby zdolny nie dać upustu swojej nienawiści. Nie chciał też widzieć wzroku tego człowieka i słyszeć słów przez niego wypowiedzanych. Były przepelnione pogardą.

– Też się ukrywasz?

Momentalnie wstał, wręcz podskoczył, gdy usłyszał za sobą nieznanego mu głos. Obejrzał się gotowy na najgorszą ewentualność. Tutaj można było się spodziewać wszystkiego. Ujrzał mężczyznę z wczoraj. Znow zrobił na nim straszne wrażenie. Przypominał mu Jacka.

– Jesteś niemową? – parsknął Johnny, przyglądając się chłopakowi.

Chociaż nie byli do siebie podobni, od razu skojarzył mu się z Cherubinem. Może przez te resztki dziecięcości, które jeszcze można było dojrzeć w budowie jego ciała, twarzy i spojrzeniu. Mógł być najwyżej parę lat starszy od Raphaela. Był też wyższy i lepiej zbudowany. To ciało zahartowała praca i życie, ocenił Johnny, prześlizgując się wzrokiem po sylwetce chłopaka. Te jego piegi obsypujące każdy centymetr skóry były niesamowite.

Dzieciak nic nie odpowiedział. W piegowatych dłoniach ścisnął rękawiczki do pracy w ogrodzie i uparcie wgapił się w ziemię. Długie, rude włosy opadły mu na czoło. Johnny uśmiechnął się pod nosem. Tyle było z ich podobieństwa. Cherubinowi morda się nie zamykała.

– Jack.

Gdy wypowiedział to imię, chłopak od razu się ożywił. Uniósł głowę i spojrzał na Johnny'ego wielkimi, rozszerzonymi teraz oczami o tęczęwkach w kolorze głębokiego błękitu. Planował go wypytać, ale ta mina powiedziała mu już

wystarczająco wiele. Chyba nawet nie chciał tego słuchać. Miał już dość smutnych historii.

– Więc Jack Hetfield – powtórzył. – Dacnis kazał mi się go pozbyć.

– Po co mi to mówisz? – spytał chłodno Josh, napinając się.

Ta wiadomość wcale go nie zaskoczyła. Wiedział, że osoba Jacka przysparza Dacnisowi problemów i już wcześniej polecił Falco pozbycie się go. Mimo to i tak coś go ścisnęło w sercu.

Johnny wzruszył ramionami. Sam nie wiedział. Dzieciak może próbował to ukrywać, może zwalczyć, ale nie wychodziło mu to zbyt dobrze. Z tym uczuciem. Jego mina, gdy Johnny wypowiedział to imię, mówiła wszystko.

– Pomyślałem, że może spróbujesz jakoś wykorzystać to, że ci powiedziałem. Mogę trochę poczekać. Dać wam fory.

Josh zmarszczył brwi. Nie rozumiał.

– Co?

– Powinniście jak najszybciej opuścić Brazylię – rzucił Johnny. – Tak będzie najbezpieczniej.

– Och.

Josh znów opuścił głowę, pozwalając swoim włosom swobodnie opaść po bokach jego twarzy. Zaciśnął mocno wargi, czując wzbierające w nim poczucie bezsilności.

– Jack jest zły – powiedział jednak. Już przecież sobie postanowił. – Sam sobie wybrał taki los. To już nie jest moja sprawa.

– Nie wiem za dużo, ale opuściłeś go przez to, co robi? I teraz jesteś tutaj? I tutaj to ci nie przeszkadza?

Johnny kiwnął głową, wskazując na dom. Odgłosy dochodzące od frontowej strony wskazywały, że oprócz zielonego jeepa na betonowy placyku zaparkowało więcej samochodów. Josh wiedział, co to znaczy. Wyszli z nich wytatuowani mężczyźni z pistoletami wciśniętymi za paski spodni. Weszli do domu swojego szefa, aby jak co rano omówić aktualną sytuację w dzielnicach nędzy przez nich zarządzanych.

Josh podążył tam wzrokiem i po chwili wahania ruszył przez ogród. Gdy okrążył dom, jego oczom ukazała się mrożąca krew w żyłach scena, która jednak nie było tu niczym nadzwyczajnym. Po prostu ktoś, kto nie chciał podporządkować się panującym się zasadom, dostawał teraz lekcję pokory.

Dacnis obserwował wszystko z odległości kilku kroków z nieporuszoną, a nawet trochę znużoną miną. Wykrzywił usta w niezadowolonym grymasie, gdy trochę krwi spadło mu na jego biały trampek.

Gdy dojrzał stojącego przy ścianie Josha, zaraz przyjaźnie się uśmiechnął i jakby zupełnie zapomniał o katowanym mężczyźnie. Nie poświęcał mu już ani odrobiny uwagi.

– Coś się stało? – spytał. – Mira już pojechała do szkoły.

Josh pokręcił przecząco głową.

Nie potrzebował słów Johnny'ego. Wiedział to sam od początku, ale starał się wyprzeć to z umysłu, ponieważ jak każdy potrzebował jakiegoś miejsca, gdzie mógł czuć się bezpiecznie. Dlatego wmawiał sobie, że Dacnis jest inny. Miał przecież córkę, którą traktował jak największy skarb. Był pogodny i zabawny. Josh nigdy nie widział, aby używał wobec kogokolwiek przemocy.

Jednak to, że teraz tylko się przyglądał, nie ściągało z niego odpowiedzialności. Ponieważ to on wydał rozkaz. Na nim ciążyła też odpowiedzialność za śmierć Mnicha i kobiet. Może z jego ust nie padł dokładnie taki rozkaz, ale Falco robił tylko to, co uważał za dobre. Dobre dla gangu, któremu przewodził właśnie Dacnis. On był tylko pistoletem, a dłonią pociągającą za spust był właśnie ten kolorowy niczym rajski ptak mężczyzna.

Josh to wiedział. Tylko nie chciał znów zostać sam.

– Nic – odparł cicho i wszedł do domu.

Już postanowił.

– Jack – szepnął, zaciskając pięści.

Chciał go zobaczyć.

Nie mógł opuścić domu teraz. Za dużo osób się wokół niego kręciło. Od razu zostałyby zauważony. Miał czas, aby się spakować. Potrzebował też pieniędzy. Ludzie

Dacnisa mieli go za nikogo, gardzili nim. Nie zwracali na niego uwagi, traktując jak mebel, co teraz mu sprzyjało. Jednemu z nich wyciągnął portfel z porzuconej na krześle bluzy. Z drugim znacznie bardziej ryzykował, ale też się udało. Przepisnął się między tłoczącymi się w korytarzu gangsterami, niepostrzeżenie wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni mężczyzny, który szczególnie nie przypadł mu do gustu. Dużo krzyczał.

Pod wieczór, gdy posiadłość opustoszała, ponownie udał się do ogrodu. Nim zaczął gołymi rękami rozgrzebywać na boki ziemię, rozglądał się wokoło, aby upewnić się, czy na pewno nikt go nie obserwuje. Po chwili kopania wyciągnął małą, drewnianą kasetkę. W jej wnętrzu leżała broń, którą udało mu się ukraść jednemu z gangsterów, gdy spał na podłodze po jednej z suto zakrapianych imprez. Ją też schował do plecaka.

Zamiast iść w dół, do miasta, ruszył w przeciwnym kierunku. Uznał, że najlepiej będzie przez jakiś czas ukryć się w dżungli i przez nią przedrzeć się w rejony zarządzane przez Barbosę, gdzie miał nadzieję znaleźć Jacka. Był zbyt łatwy do rozpoznania, aby ryzykować przedzieranie się przez fawelę. Dopadliby go błyskawicznie i pewnie zrobili z nim to samo, co z tym mężczyzną z dzisiejszego poranka. A Dacnis wszystkiemu przyglądałby się bez słowa, z tym ledwo zauważalnym uśmiechem na ustach. Jak przystało na króla tego świata.

W telewizji były też nieliczne kanały nadające w języku angielskim. Jednak emitowali w nich programy, które w Stanach można było zobaczyć dziesięć lat temu. Nie potrafił się w nich zatopić na tyle, by przestać choć na chwilę myśleć.

A myślał, że zwariuje. Próbował skonstruować jakiś plan, ale wszystko, co przychodziło mu do głowy i budziło nadzieję, zaraz potem blakło. „To się nie uda” pulsowało w jego myślach niczym czerwona lampka alarmowa. Wieczorem jednak był już na tyle zdesperowany, że chwycił się najbardziej absurdałnego pomysłu. Rozbił szklaną butelkę po wodzie i odłamkiem postanowił rozszarpać sobie nadgarstek. Na tyle mocno i głęboko, aby musieli zawieźć go do szpitala. Liczył, że tam uda mu się przekazać personelowi, w jakiej jest sytuacji i że zawiadomią policję.

Bał się, cholernie się bał. Jeszcze niedawno był normalnym, znużonym codziennością dzieciakiem. Ale jaki miał wybór? Usiadł na podłodze i podciągnął rękaw bluzki. Chwycił za szyjkę rozbitej butelki. Wahał się. Nie chciał tego robić. Nie lubił bólu.

Odetchnął z ulgą, gdy rozległ się głośny brzdęk, który wybił go z tego stanu skupienia. Jakby transu. Odłożył butelkę i spojrzał na ścianę, która dzieliła go od pokoju Ahigi. To stamtąd doszedł do jego uszu tamten odgłos. Coś zostało stłuczone. Zaraz usłyszał, jak gangster, który dotąd warował jak posłuszny pies na korytarzu, chciał otworzyć drzwi do pokoju swojego szefa. Musiało nie spodobać się to Ahidze, bo do uszu Cherubina doszła stłumiona przez ścianę wiązanka soczystych przekleństw.

Na podstawie stłumionych przez ścianę odgłosów z korytarza nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością, ale człowiek Ahigi chyba wrócił do swojego poprzedniego zajęcia, czyli warowania jak pies. Raphael nie odważyłby się otworzyć drzwi, które dzieliły go od przywódcy Banitów. Nawet nie wiedział, czy były zakluczone. Tak podstawowe pytanie przyszło mu do głowy, dopiero teraz. Był jednak ciekawy. To nie był odgłos jak przy rozbiciu butelki, czy chociażby szklanki. Rozbiło się coś znacznie większego.

Wreszcie coś odwróciło jego myśli od beznadziejnego położenia, w którym się znalazł. Poczuł w sobie nowe pokłady energii. Zawsze był ciekawski i we wszystko musiał wściubić swój nos. Często nie kończyło się to dla niego dobrze. I zawsze dużo gadał. Najpierw gadał, a potem myślał. Co zwykle też nie kończyło się dla niego dobrze. Dlatego teraz wyszedł na balkon i przelazł przez barierkę oddzielającą ich tarasy. Nie była wysoka, więc nie stanowiło to dla niego trudności, ale samo to, że przelazł nad nią, znajdując się dwadzieścia pięter nad poziomem ziemi i tak przyprawiło go o jeszcze szybsze bicie serca. Był podekscytowany tym, co zamierzał zaraz zrobić.

Gdy znalazł się już balkonie Ahigi, przykucnął, aby nie można go było zobaczyć przez okno i w takiej, skulonej pozycji podpełzł do otwartych drzwi balkonowych. Nim wychylił się na tyle, by móc zajrzeć do wnętrza pokoju, przełknął jeszcze ślinę. Chyba oszalał! Ten człowiek go porwał!

Gdzieś tam jednak w środku tkwiło w nim przekonanie, że Ahiga nic mu nie zrobi.

To, co ujrzał, całkowicie go zszokowało. Podejrzewał, że Ahiga w przyływie wściekłości albo przez nadmiar alkoholu rozbił szybę w barku. Mylił się. Mężczyzna leżał na podłodze wśród odłamków szkła pochodzących ze szklanego stolika, na który najpewniej upadł lub się o niego potknął. Leżał nieruchomo, przyciskając dłonie do twarzy. Cherubin nie mógł przez to zobaczyć jej wyrazu, ale mężczyzna sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

Uznał, że chyba całkiem zwariował, ale zamiast niepostrzeżenie wrócić do siebie, wstał i wszedł do pokoju Ahigi. Nadepnął na kilka odłamków szkła, więc nawet jeśli mężczyzna go nie zobaczył, to na pewno usłyszał.

– Idź, zanim tego pożałujesz – powiedział, gdy Raphael stanął nad nim. – Wracaj do siebie.

– Nie – odparł chłopak. – Przed chwilą byłem bardzo bliski podjęcia sobie żył butelką. Widzisz, ja już żałuję. Chyba nawet tego samego co ty.

To było dzięki! I bardzo, bardzo nierozsądne. Pyskowanie Ahidze było szalenie lekkomyślne, ale Raphael miał już dość nierobienia niczego. Nie czuł się dobrze w poczuciu stagnacji. Nienawidził też samotności. Wolał nawet oberwać, niż wrócić do tej luksusowej celi, gdzie towarzyszyły mu tylko jego chore myśli.

Ahiga odsłonił twarz i spojrzał na niego. Ten wzrok jak zwykle nie zdradzał niczego. Musiał się jednak wstydzić swojej słabości, uznał Cherubin. To musiało być dla niego upokarzające.

Trwało to jeszcze chwilę, nim Ahiga wreszcie się odezwał. Z pewnością wypowiedzenie tego jednego zdania kosztowało go bardzo wiele:

– Pomóż mi wstać.

Więc Cherubin to zrobił. Dał mężczyźnie oprzeć się na swoim ramieniu, co nie było proste ani przyjemne, bo Ahiga ważył znacznie więcej. Pomógł mu dotrzeć do łóżka, na którym usiadł. Ahiga nie odezwał się ani słowem. Omijał też spojrzenie Cherubina.

Później zrobiło się jeszcze bardziej niezręcznie. Raphael stał koło łóżka, nie wiedząc, co ma teraz ze sobą zrobić. Ahiga najwyraźniej nie zamierzał mu ulżyć w rozterkach, bo nadal się nie odzywał.

– To... to ja już może pójdę. Znaczą się, wrócę do siebie – zasugerował i nawet lekko dygnął, nim odwrócił się na pięcie, aby wrócić to samą drogą, czyli przez balkon.

– Skręcisz sobie kark w najlepszym wypadku. A bardziej prawdopodobne, że zostanie z ciebie mokra plama. Użyj drzwi jak człowiek.

„Ach, czyli jednak są otwarte” – przeszło przez myśl Cherubinowi. Posłusznie więc zawrócił. Czuł wzrok Ahigi na sobie, gdy go mijał.

– Jadłeś coś dzisiaj? – padło kolejne pytanie z ust gangstera, gdy Raphael trzymał już w dłoniach klamkę.

– Nie.

– Bo?

– Bo nie wiedziałem, czy mogę.

Prawie podskoczył, podobnie jak jego serce, gdy usłyszał śmiech. Ahiga się śmiał. I nie był to śmiech przepełniony drwiną. Po prostu musiało go to szczerze rozbawić.

To był dziwny dźwięk. I dziwnie było tego słuchać.

Cherubin zdecydował się spojrzeć na mężczyznę. I dobrze, że to zrobił, bo inaczej menu hotelu w twardej oprawie trafiłoby go w głowę. Złapał je dosłownie w ostatniej chwili.

– Zamów sobie coś.

– Dobrze.

Ahiga znowu parsknął.

– Nie przyszło ci do głowy, że gdybym planował się zagłodzić, to nie trudziłbym się z zawlekaniem ciebie tutaj i nie płaciłbym tych końskich kwot za pokój dla ciebie?

– No...

– Nie kończ. – Ahiga machnął dłonią, widząc minę dzieciaka. – I zamów dwie porcje, bo ja też dzisiaj jeszcze nic nie jadłem.

Cherubin uznał, że lepiej będzie nie pytać, co ma zamówić. Wybrał po prostu jeden z gotowych, tradycyjnych zestawów obiadowych, bo nazwy regionalnych dań nie za wiele mu mówiły.

Czuł się dziwnie, jedząc przyniesiony przez służbę posiłek razem z Ahigą. Chociaż odłamki szkła zostały uprzątnięte, to nadal w pokoju brakowało stolika. Chciał ulokować się ze swoją rozłożoną porcją na podłodze, ale Ahiga powiedział, aby przestał się wydurniać. Siedzieli więc razem na łóżku.

Nie rozmawiali ze sobą. Mężczyzna zdawał się zupełnie zapomnieć o istnieniu chłopaka i skupił się na oglądaniu programu informacyjnego. Cherubin poczułby się znacznie lepiej, gdyby także mógł rozproszyć czymś myśli, ale ni w ząb nie rozumiał, co mówiła piękna, hojnie obdarzona przez naturę prezydentka.

– Nie znasz portugalskiego, co? – podłapał Ahiga w pewnym momencie.

– Nie.

– A inny język obcy?

– Nie bardzo – przyznał Cherubin.

Ahiga pokręcił głową i rzucił coś pod nosem, co brzmiało jak „bogate, rozpuszczone dzieciaki”.

Raphael miał świadomość, że lepiej dla niego byłoby, gdyby powstrzymał język, bo mógł go stracić, ale jego charakter zwyciężył:

– Nie ja wybierałem sobie starych! – fuknął. – Wcale się nie prosiłem o bycie „bogatym dzieciakiem”. W ogóle się o to wszystko nie prosiłem! I o to teraz też!

Ahiga oderwał się od oglądania telewizji i spojrzał na chłopaka. Nie wydawał się zdenerwowany.

– I co ja mam ci na odpowiedzieć?

– Nic... chyba nic.

Cherubin zaśmiał się z sam siebie i już całkowicie zrezygnowany po prostu położył się na łóżku. Po chwili poczuł, jak materac się ugina. Ahiga położył się tuż obok. Raphael obrócił się w jego stronę i chwycił za przedramię, podciągając przy tym rękaw koszuli.

– To syndrom sztokholmski? – parsknął cicho.

– A co ja ci takiego zrobiłem?

„Ty właściwie nic” – odpowiedział mu w myślach Cherubin. „To ja sobie zrobiłem”.

Spojrzał na odsłonięte przedramię mężczyzny ozdobione tatuażem złotozielonego gada. Johnny miał dokładnie taki sam.

Rozdział 3

W pokoju zebrało się kilkunastu mężczyzn. W najróżniejszym wieku, począwszy od gołowąsów, a kończąc na siwobrodych seniorach gangu. Mieszkańcy wszystkich możliwych ras, biali, Latynosi, Indianie i czarnoskórzy. Większość wytatuowana nawet na twarzy, obwieszona złotą biżuterią, za którą w razie kontroli skarbowej nie mogliby pokazać paragonu. Z pistoletami wsuniętymi za paskami nisko wiszących na biodrach spodni.

Pili, palili, śmiali się i przekrzykiwali. Na swoich kolanach trzymali skąpo ubrane kobiety. Niektóre dla nich tańczyły. Johnny przyglądał się temu wszystkiemu z boku. Nie czuł się tu zbyt dobrze, ale to nie on tutaj rozdawał karty. Musiał robić to, czego od niego oczekiwano. Wtopić się, jeśli chciał uzyskać poparcie i pomoc od Dacnisa.

Dacnis też tu był. Siedział na centralnie ustawionym w pokoju fotelu. Pił coś, ale niezbyt pośpiesznie. Delektował się białym dymem i samym rytuałem palenia zioła. Jak większość mężczyzn tutaj nie miał na sobie górnej części garderoby. Teraz dokładnie było widać, jaki jest chudy. Jego potężny wzrost jeszcze potęgował optycznie ten efekt. Od szyi, przez ramię, żebra, aż po pępek - po całej prawej stronie jego tułowia i pleców biegły czarnobiałe tatuaże złożone z ornamentów, w większości kwiatowych motywów. W przeciwieństwie do gangsterskich dziar pozostałych obecnych w pokoju mężczyzn te tatuaże wykonane były z dużą precyzją i dbałością o szczegóły.

Człowieka aż nachodziła ochota, aby się nad nimi nachylić i przestudiować każdy szczegół. Rozwikłać labirynt, jaki tworzyły, wędrując po nich palcem zupełnie jak po mapie. Nikt tutaj oczywiście tego nigdy nie zrobił. I nie zrobi. To byłby koniec porządku, jaki tu znali. Król był poza zasięgiem ich brudnych łap. Tyczyło się to nawet Falco. Sam Dacnis ostatnio nawet o tym wspominał podczas rozmowy na balkonie. Jak zwykle wtedy palił, a swoim przymrożonym, enigmatycznym spojrzeniem przeczesywał całe swoje królestwo. Całą dzielnicę nędzy.

Właśnie. Johnny spojrział w kierunku drzwi do salonu. Falco rano pojechał eskortować Mirę do szkoły i od tamtej pory nie pojawił się w willi Dacnisa na szczycie wzgórza. To cieszyło Johnny'ego. Falco obawiał się najbardziej. Miał nadzieję, że mężczyzna pojawi się tu dopiero, gdy odbierze Mirę z zajęć pozaszkolnych. Bał się kociego spojrzenia tego szaleńca. Za każdym razem, gdy ich spojrzenia się spotykały, a działo się to dziwnie często, Johnny'emu przed oczami stawał obraz ostrza przytkniętego do jego szyi i podłużnego rozcięcia nabiegającego krwią. Nie przepadał też za byciem nazywanym *białym szczurem*.

Chociaż, chyba w istocie na lepsze określenie nie zasługiwał. Szczególnie po tym, co ostatnio odwalił. *Biały szczur... biały tchórz*.

Skrzywił się, gdy ponure myśli znów się obudziły. Oni wszyscy mogli już nie żyć. A on... sięgnął ręką po butelkę, z której dotąd niemrawo, bardziej tylko dla zasady, popijał. Przytknął ją do ust i teraz pociągnął znacznie większy łyk miejscowego sikacza pozbawionego walorów smakowych, ale za to bogatego w procenty. Ciurkiem opróżnił jakieś pół butelki. Część spłynęła mu po brodzie pokrytej kilkuniedniowym zarostem, a potem szyi różowym strumieniem, malując fantazyjną ścieżkę na jabłku Adama.

Nie mógł tego widzieć, ale para przymrużonych, zaczerwienionych oczu pilnie śledziła tę wędrówkę rubinowych kropel po spalonej słońcem, a jednak nadal bladej jak na tutejsze standardy skórze.

Kilka godzin później dom Dacnisa opustoszał. Zaś jego właściciel leżał na wiklinowym fotelu z nogą przerzuconą przez oparcie. W kącie siedział Johnny, wciąż zbyt trzeźwy, niż by tego pragnął. Na zewnątrz powoli się ściemniało, a nadal było tak nieznośnie gorąco.

– Zaprowadzę cię do twojej sypialni – zaproponował Johnny, zmuszając się do wstania.

Dacnis nie protestował, gdy chwycił go za ramię i pomógł mu się podnieść. Gdy szli korytarzem, uwiesił się na Johnnym i oparł czoło o jego bark.

– Gdyby Falco to widział... – rzucił rozbawiony, gdy stanęli już przed jego sypialnią.

– To by mnie zajebał – dokończył Johnny, otwierając drzwi.

– Tylko ciebie, niestety.

Johnny rzucił Dacnisowi zdziwione spojrzenie, unosząc przy tym brwi. Posadził go na najbliższym meblu, czyli biurku, bo już mu trochę ciążył. Może był szczupły, ale za to bardzo wysoki, co samo w sobie generowało trochę wagi.

Bił się w chwilę z myślami, ale w końcu postanowił zapytać. Co miał w sumie do stracenia?

– Jest coś między wami?

Dacnis uniósł na niego zamglone oczy. Uśmiechnął się krzywo, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok.

– Mówiłem ci przecież.

Johnny kiwnął głową.

– A faceci tak ogólnie? Nie mówię, że ci stąd. No ale świat jest pełen możliwości – rzucił, kiwając głową w kierunku majaczących za oknem wieżowców Rio de Janeiro.

Nie potrzebował werbalnej odpowiedzi. Mina Dacnisa mówiła sama za siebie. Mężczyzna wsunął się głębiej na biurko i zaparł na dłoniach, odchylając do tyłu. Nadal nie miał podkoszulka, więc jego tatuaże były teraz szczególnie wyeksponowane, gdy tak się wyprostował.

– Zacząłem robić jeszcze za szczeniaka – wytłumaczył, samemu też prześlizgując się wzrokiem po swoim szczupłym, ale ładnie wyrzeźbionym tułowi. – Byłem wtedy zwyczajnym dzieciakiem z dzielnicy nędzy. Nie miałem takich pieniędzy. Teraz jest ten wuefista ze szkoły Miriam... Ten tatuażysta był z gangu oczywiście. Obaj są silni, ale nie dość silni. Są pode mną, a dają im się pieprzyć. To mnie mierzwi w jakiś sposób. Wkurwia mnie to niesamowicie, bo wiem, że to nie jest to, czego tak naprawdę pragnę. Nie wiem, czy to rozumiesz.

Zaśmiał się swoim wiecznie zachrypniętym głosem, przypominając przy tym kota. Mrużył charakterystycznie oczy.

Johnny uśmiechnął się krzywo. Rozumiał.

– W życiu dałem się pieprzyć jednemu facetowi – przyznał.

Dacnis pokiwał głową, odsłaniając w szerokim uśmiechu swoje równe zęby. Część jego własnych, doskonale białych, a część złotych implantów.

– I to był najsilniejszy skurwysyn, jakiego znałeś? – spytał retorycznie. – Całe, pieprzone życie walczyłeś o szacunek i o pozycję? O to, żeby pokazać tym skurwysynom tam, gdzie jest ich miejsce? A on odebrał ci to wszystko, o co tak zaciekle walczyłeś, ot tak. – Pstryknął palcami. – A ty nigdy nie czułeś się bardziej upokorzony? A jednocześnie nigdy nie czułeś się bardziej na miejscu? Tam, pod jego butem?

Johnny potrząsnął gwałtownie głową, chcąc wyrzucić z niej wszystkie te obrazy, które na powrót się w niej rozpleniły. Falco odpalił kolejnego skręta wręcz flegmatycznym ruchem i położył się bokiem na biurku, podpierając się na łokciu. Cały czas nie odrywał przy tym spojrzenia z twarzy Johnny'ego.

– Aż moja ochota żeby poznać osobiście tego twojego Ahigę jeszcze urosła – rzucił rozbawiony.

Dziesięć minut później liczba mężczyzn w pokoju nadal się zgadzała, ale teraz z parą tutejszych, ciemnych oczu nie mierzyła się para zielonych, a żółtych prawie jak u dzikiego kota skrywającego się pośród mroku dżungli.

– *Z Mirą wszystko w porządku?* – spytał Dacnis, w końcu unosząc się z biurka i przenosząc się na łóżko.

– *Tak. Jest u siebie* – odparł Falco, śledząc pilnie każdy jego ruch.

– *Trochę boli mnie głowa. Jak nie masz nic innego do powiedzenia, to wyjdź.*

Falco zmarszczył lekko brwi. Nie odzywał się chwilę, wciąż stojąc jednak w tym samym miejscu. W końcu spytał jednak:

– *Co tu robił ten biały szczur?*

Dacnis obdarzył go przelotnym, rozbawionym spojrzeniem.

– *Pieprzyliśmy się* – rzucił, doskonale wiedząc, jakiej reakcji mógł się spodziewać.

– *Zajebałbym go. Każdego bym zajebał.*

W to Dacnis nie wątpił. Na szczęście dla jego kochanków, potrafił utrzymać swoje sekrety w tajemnicy nawet przed Falco.

Nikt przez ten cały czas nie zwrócił uwagi na brak rudowłosego chłopca. Dopiero Mira podniosła larum, gdy w całej posiadłości nie mogła znaleźć swojego przyjaciela.

Ochroniarze zapytani o niego, z zagubieniem wymalowanym na w większości szpetnych twarzach, wruszcali ramionami. Gdy głębiej się nad tym zastanowili, uświadamiali sobie, że rzeczywiście dzieciak nie kręcił im się dzisiaj pod nogami. Jednak zwykle nie zwracali na niego większej uwagi. Więc i jego brak ich nie zaniepokoił.

Za to dostali po mordach od Falco. Mira wybuchła płaczem i pobiegła do ojca. Ten nie dał po sobie poznać, że histeria dziewczynki spotęgowała u niego ból głowy. Zapewnił ją, że zguba na pewno się znajdzie cała i zdrowa.

Ponad ramionami dziewczynki, skrzyżował swój wzrok z opartym o framugę Falco. Nie musiał niczego mówić głośno. Chłopak miał się znaleźć.

Obudziły go odgłosy rozmowy. Zajęło mu chwilę skojarzenie, gdzie w ogóle się znajduje. Gdy mu się to udało, otworzył gwałtownie oczy.

Poszedł do Ahigi. Zjedli razem późną kolację. Później działo się coś kompletnie surrealistycznego, czego umysł Raphaela dalej nie umiał wytłumaczyć. Położyli się w poprzek łóżka obok siebie... I po prostu tak leżeli, gapiąc się w sufit. Nic nie mówili, ale poczuł wtedy z Ahigą coś na kształt jakiejś nici porozumienia. To nie było dobre określenie, ale sam nie wiedział, jak to inaczej nazwać. A później nie stało się nic.

Teraz Cherubin obudził się z głową złożoną na miękkiej, wypchanej do granic możliwości prawdziwym puchem poduszce, przykryty cienką kołdrą. Zupełnie nie pamiętał, kiedy zasnął. Odważył się wolno i, miał nadzieję, niepostrzeżenie obrócić, aby spojrzeć przez ramię w głąb pokoju. Ahiga siedział w fotelu przy nowym, szklanym stoliku, na którym stała filiżanka, zapewne z kawą. Jakiś mężczyzna, którego Raphael kojarzył z posiadłości gangstera, stał obok. Rozmawiali, a temat mógł być tylko jeden.

– Wiemy, że jakiś czas i to dłuższy, prawdopodobnie kilka lat, ukrywał się w Brazylii. Najprawdopodobniej teraz poszuka azylu u tych samych ludzi. To duże miasto, struktury mafijne są skomplikowane, ale to tylko kwestia czasu, nim go znajdziemy. Trzeba tylko odświeżyć nasze kontakty. Ktoś taki jak Norton nie jest trudny do namierzenia. Szkoda tylko, że mamy tak mało ludzi.

Ahiga westchnął, najwyraźniej dając znać, że przyjął to wszystko do wiadomości. Upił łyk kawy i skierował wzrok na łóżko.

– No możesz przestać już się czaić – rzucił z nutą rozbawienia.

Raphael przeklął w duchu. I co miał teraz niby zrobić? Podnieść się z łóżka Ahigi przy tym facecie? To by wyglądało, jakby spędził z nim noc! I tak już zapewne w ten właśnie sposób zostało to zinterpretowane przez człowieka Ahigi. „Dlaczego właściwie się tym przejmuję?” – prychnął w myślach, gramoląc się z łóżka. Co za różnica, czy w oczach ludzi Ahigi będzie jedynie jego zakładnikiem, czy do tego jeszcze jego dziwką?

– Siadaj – polecił Ahiga, wskazując na drugie krzesło przy stoliku, czym rozwiął niepewność Raphaela a propos tego, co ma ze sobą zrobić.

Omijając wzrok drugiego z mężczyzn, usiadł na wiklinowym fotelu. Ahiga podsunął mu to samo menu, co wczoraj.

– Jeśli brakuje ci ludzi... – szef gangu zwrócił się do swojego podwładnego – to możesz zabrać jego. – Wskazał na Cherubina. – Przyda mu się lekcja życia.

– Co?! – niemal pisnął przerażony tą perspektywą chłopak.

Ahiga rozparł się wygodniej w fotelu. Podparł podbródek o wierzch dłoni, patrząc z ukosa na dzieciaka.

– No przecież miałeś żal do bycia postrzeganym jako „bogaty, rozpieszczony dzieciak” – rzucił, rozbawiony przerażeniem malującym się na ładnej, łagodnej w wyrazie twarzy Cherubina. – Masz teraz szansę to zmienić. Poznać trochę prawdziwego życia. Czy nie o to zawsze ci chodziło? Przecież nie o kasę, gdy dla mnie handlowałeś.

Raphael czuł, że to będzie grube przegięcie i dla własnego dobra powinien na wszystko pokornie się zgadzać, ale jednak zapytał:

– A muszę?

Nie wyobrażał sobie, że miałby całe dni spędzać w towarzystwie oprychów Ahigi. Widział do czego są zdolni. No i na pewno nie darzyli go choćby jakąś namiastką szacunku.

– Zabawny jest, co nie? – rzucił Ahiga do swojego człowieka. Zaraz jednak zwrócił się do Raphaela: – Oczywiście, że nie. Możesz zawsze wrócić do swojego pokoju. Tylko ty i brazylijskie telenowele przez najbliższe kilka tygodni albo miesięcy.

Ta perspektywa też mu się nie podobała. Prawie oszalał po jednym dniu zamknięcia w tamtym pokoju. Nie wyobrażał sobie, żeby miał tam wytrzymać tyle czasu.

– A muszę tam? A nie mogę być u ciebie? – wypalił. Zaraz jednak zreflektował się, co powiedział: – Znaczy się... u pana? Znaczy, no... Boże.

Spuścił głowę i wgapił się w podłogę zażenowany. Mimo to czuł na sobie dwa mocno skonsternowane spojrzenia. Atmosfera jakby zgęstniała, a w pokoju zapadła cisza.

Pierwszy przerwał ją śmiech pracownika Ahigi.

– Czyżby miał szef wielbiciela? – rzucił rozbawiony i poklepał chłopaka po głowie. – Już miałem powiedzieć, że to chuchro będzie nam tylko zawadzać, ale teraz po prostu aż mnie skręca, żeby go zabrać ze sobą. No, no...

– Zamknij się już – warknął na niego Ahiga.

Na tym temat został zakończony. Zarówno podwładny Ahiga jak i Raphael zrozumieli, że lepiej nie kontynuować tego wątku.

Speszony Cherubin zjadł śniadanie, dziabiając w nim smętnie widelcem. Przez cały czas wgapiął się usilnie w porcelanowy talerz. Stresował się, bo Ahiga wciąż siedział tuż obok. Do tego zostali w pokoju tylko we dwójkę po wyjściu tamtego mężczyzny.

– To idziesz, czy nie? – spytał w którymś momencie gangster.

Cherubin znów dziabnął w jajku sadzonym w wydrążonej, świeżo upieczonej bułce. Miał mnóstwo obaw, ale jednocześnie czuł skręcającą mięśnie brzucha ekscytację.

Jego nieokiełznana natura wygrała.

– No – potwierdził, unosząc wreszcie głowę. Obdarzył Ahigę uśmiechem, a w jego ciemnych oczach znów rozblęły te charakterystyczne, figlarne płomyki. – Przecież miałem mu pokazać – przypomniał i wystawił środkowy palec.

Ahiga pokręcił głową, rozbawiony.

– Dziwaczne z ciebie stworzenie – skomentował. – No to jak postanowiłeś, to przygotuj się, bo niedługo wyruszacie.

Półgodziny później rzeczywiście do pokoju wszedł ten sam mężczyzna, co wcześniej. Raphael czekał na niego już odświeżony, ale wciąż w tych samych ubraniach. Dopiero po powrocie do swojego pokoju uświadomił sobie, że przecież nie ma innych.

– No, to ruszaj dupę z tego fotela, gagatku – rzucił podwładny Ahigi. – Czas stawić czoła wielkiemu światu i vatapi* na ostro.

Raphael zrobił, jak mu kazano. Nim opuścił pokój, zatrzymał go głos Ahigi. Odwrócił się w jego stronę.

– Przekaż mu też ode mnie – rzucił gangster z krzywym uśmiechem, także pokazują środkowy palec.

– Pewnie.

– To chwila... – wtrącił się człowiek Ahigi. – To nie mamy go tu przyprowadzić?

Ahiga przez moment patrzył w oczy Raphaela. Chłopak miał wrażenie, że mężczyzna myślami powrócił do ich ostatniej rozmowy w tamtym gabinecie. I że Ahiga przyznał mu rację. Czekał na to, aby zobaczyć Johnny'ego na własne oczy jeszcze raz. Stanąc z nim twarzą w twarz. I może rzeczywiście pozbawić życia, a może wybaczyć.

Teraz zaś był już pewien.

– Nie – odparł. – Znajdźcie go i się go pozbądźcie.

*vatapá – tradycyjne danie kuchni brazylijskiej na bazie raków, ryb i nerkowców.

Rozdział 4

Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Nie miał pojęcia, kim był ten człowiek. Jedyne, czego był teraz pewien to, że musi biec ile sił w nogach i nie oglądać się za siebie. Wiedział to bardzo dobrze, ale i tak co chwilę obracał głowę, by znów skrzyżować spojrzenie ze wściekłym, rozbieganym wzrokiem człowieka, który go gonił. Za każdym razem tracił trochę ze swojej przewagi, więc później zaciskał z całej siły oczy, nabierał haustem powietrza do płuc i przyspieszał, na ile pozwalały mu mięśnie, krzycząc przy tym, bo to w jakiś dziwny sposób pomagało.

Pędził teraz po pomoście skleconym przez mieszkańców faweli z byle czego. Ludzie ustępowali mu drogi, ale nie wyglądali na szczególnie zdziwionych tą osobliwą sceną. Rudowłosego, pokrytego tysiącem piegów chłopaka gonił starszy, miejscowy mężczyzna. W uniesionej ręce trzymał zardzewiałą maczetę do palm, a z jego gardła wydobywało się coś, co bardziej przypominało ryk dzikiego zwierzęcia niż ludzki krzyk.

Josh nie miał pojęcia, skąd ten człowiek miał tyle wytrzymałości. Sam czuł, że powoli zaczyna brakować mu sił. Nie miał też pojęcia, dlaczego ten mężczyzna go gonił. Josh rankiem wydostał się z dżungli i wtopił w tłum w dzielnicy należącej do Barbosy, czyli szefa Jacka. W pewnym momencie usłyszał jakiś wzmożony harmider za sobą, krzyki kobiet i głośne przekleństwa. Nie sądził jednak, że ma to coś wspólnego z nim, więc nie zwrócił na to większej uwagi. Dalej parł przed siebie.

Dlatego całkowicie zaskoczyło go to, gdy nagle ktoś chwycił go za ramię. Gdy się odwrócił, ujrzał właśnie tego mężczyznę, który teraz gonił go z maczetą w dłoni. Josh nie przypominał sobie, aby widział go kiedykolwiek wcześniej. Jednak to wcale nie znaczyło, że mężczyzna nie znał jego. I pewnie wykalkulował, że złapanie Josha może mu przynieść same korzyści. Niezależnie od tego, czy był człowiekiem podległym Barbosie, czy Dacnisowi.

Josh już więcej nie oglądał się za siebie, bo chyba zyskał trochę przewagi. Krzyk mężczyzny wydawał się bardziej odległy. Chociaż pot lał się już z niego

strumieniami, wykrzesał z siebie jeszcze trochę siły i jeszcze przyspieszył. Nie chciał tego zaprzepaścić.

Ale dobrymi chęciami piekło wybrukowano. Natomiast ulice faweli miały postać zwykłego klepiska. Nie było tu żadnego bruku. To, co było natomiast, to naniesiony ludzkimi stopami i kołami samochodów żwir oraz kamienie. O jeden z takich większych odłamków Josh się potknął, a że był rozpędzony, nie miał szans na uratowanie się przed upadkiem.

Nic takiego jednak się nie stało. Na jego drodze ku spotkaniu z gruntem, a potem maczetą wściekłego Brazylijczyka stanął mężczyzna, który teraz odsunął swoje ciemne okulary na czoło i patrzył się na plamę sosu szpecącą jego błękitną koszulę. Później zaś jego wzrok padł na naleśnik z tapioki wypchany mięsem i warzywami, który trzymał w dłoni, a następnie na Josha.

– Zniszczyłeś mi koszulę – powiedział po angielsku bez akcentu, a następnie, nie przejmując się tym, że stoi na środku ulicy pełnej ludzi, wyciągnął broń i wymierzył przed siebie.

Josh zacisnął oczy z całej siły. Chociaż był to już któryś z kolei raz, gdy jego życie znalazło się w bezpośrednim zagrożeniu, za każdym razem bał się tak samo mocno. I za każdym razem tak samo mocno nie chciał umierać.

Chciał za to zobaczyć Jacka.

Krzyczał.

Nie, to nie on. Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie tego.

Otworzył oczy. Za mężczyzną z naleśnikiem w dłoni zobaczył chłopaka w postawionych, farbowanych na złocisty blond włosach. Z mnóstwem kolczyków w uszach. To on krzyczał. Białka jego ciemnych oczu nabiegły krwią.

– Zabiłeś go, do kurwy! Tak po prostu do niego strzeliłeś! To chore! To jest pojebane!

Josh obrócił się i spojrzał na ziemię. Ach, rzeczywiście. U jego stóp leżał mężczyzna z maczetą w dłoni. Martwy. Może kiedyś zrobiłoby to na nim takie wrażenie jak na tym krzyczącym chłopaku.

Z powrotem spojrzął na mężczyznę z naleśnikiem. Ten zdążył schować broń i ponownie nałożyć na oczy okulary przeciwsłoneczne.

– Cóż, nie widziałem go na żywo kilkanaście lat, ale nijak to marchewkowe coś nie przypomina mi Johnny’ego. – Ahiga uniósł jedną brew w pytającym geście. – Prawda, że jestem pojebany. Nie zaprzeczam temu. Ale nie tak, żeby pieprzyć przedszkolaków. A tyle to chuchro mogło mieć maksymalnie lat, gdy ja byłem w szkole średniej.

Siedział rozparty w fotelu z dłońmi zaplecionymi na brzuchu. Uważnym wzrokiem mierzył rudowłosego chłopaka, który nie odezwał się choćby słowem, odkąd znalazł się w tym pokoju.

– Miło wiedzieć, że szef ma dzisiaj dobry humor – rzucił niezrażony tą przemową jego podwładny. Jak dowiedział się dziś rano Raphael, miał na imię Shane. – To faktycznie nie Johnny, ale ktoś, kto w przeciwieństwie do szefa widział go na własne oczy jeszcze dobie tu. Prawda?

– Tak. Chyba tak – potwierdził rudowłosy chłopak, gdy został lekko pchnięty w ramię na zachętę. – Jeśli mówimy o tym samym mężczyźnie. Johnny. Nazwiska nie znam. Blond włosy, farbowane. Zielone oczy.

Na wąskie usta Ahigi wpłynął uśmiech, który nie wróżył niczego dobrego. Na pewno nie dla Johnny’ego.

– Szybko ci poszło – pochwalił swojego człowieka. – A teraz, dzieciaku, mów wszystko od początku. Od tego zależy twoje życie. Chyba to rozumiesz? Gdzie go spotkałeś, kiedy i w jakich okolicznościach? Wszystko.

Josh kiwnął głową na znak, że rozumie. Nie miał wyjścia. Wiedział to bardzo dobrze. Nie miał pojęcia, kim byli ludzie, ale nie musiał, aby zdawać sobie sprawę, że jego życie wisiało na włosku.

Półgodziny później gangster, któremu ubrudził dziś koszulę sosem, wyprowadzał Josha z pokoju. Wewnątrz zostali tylko Ahiga i Raphael.

– Co jest? – spytał ten pierwszy, przypatrując się minie chłopaka.

Dzieciak wyglądał gorzej niż kilka dni temu, gdy dotarło do niego, w jakiej znalazł się sytuacji i że raczej prędko, jeśli w ogóle, nie ujrzy swoich rodziców. Był

teraz blady jak kartka papieru. Pod przygasłymi oczami, w których zwykle igrały te irytujące, a jednocześnie tak ciężkie do zgaszenia płomyki, miał wyraźne sińce. Cały wydawał się jakiś przygarbiony i jeszcze mniejszy niż zwykle. Jak marna podróbka jego samego.

Z jakiegoś powodu to rzuciło się w oczy Ahidze od razu po wejściu chłopaka do pokoju. I z jakiegoś równie niewytłumaczalnego powodu strasznie go to irytowało. Nie dawało spokoju. Przez całą rozmowę z rudowłosą skarbnicą wiedzy jego wzrok mimowolnie podążał w stronę wciśniętego w najdalszy kąt Cherubina.

Dzieciak irytował go, gdy gęba mu się nie zamykała. Dziś przekonał się, że irytował go jeszcze bardziej, gdy w ogóle się nie odzywał.

– No powiedz coś – polecił, gdy nie uzyskał żadnej odpowiedzi. – A jeszcze rano miałeś tyle do gadania...

Uśmiechnął się zadowolony, gdy chłopak wreszcie jakoś zareagował. Spiał się cały, przypominając teraz najeżonego yorka.

– Bo rano jeszcze nie widziałem człowieka, któremu mózg wypływa przez dziurę w czole! – warknął Cherubin, znów nie mogąc utrzymać na wodzy emocji, chociaż powinien przy tym człowieku.

– Ach, o to chodzi – mruknął Ahiga. – Po prostu... kiedyś przestanie to na tobie robić wrażenie. Teraz musisz po prostu ochłonać.

– Ochłonać?! – powtórzył podniesionym głosem chłopak. Słowa gangstera wydały się przynieść odwrotny efekt. Na pewno nie pomogły mu się uspokoić. – Proszę bardzo! Już idę ochłonać!

Obrócił się na pięcie i wyszedł na balkon. Wspiął się na metalową barierkę i stanął na dolnym z dwóch poziomych prętów, rozpościerając ramiona.

– Co ty, kurwa, wyrabiasz?! – krzyknął na niego Ahiga wyraźnie zdenerwowanym głosem.

– Jak to co?! – odparł Cherubin, odwracając do niego twarz, przez co lekko się zachwiał. – Przecież kazałeś mi się przewietrzyć. No to się wietrzę!

– Złaź stamtąd natychmiast!

Cherubin zamiast posłuchać, pokazał Ahidze język.

– Bo co?! – parsknął. – Bo wielki pan gangster mi każe? Pierdolę to! Pierdolę to wszystko! Nie chcę być tego częścią!

Nie nadawał się do tego wszystkiego. Całe życie nienawidził bycia „chłopcem z dobrego domu”. Teraz zaś, gdy go utracił, nie pragnął niczego bardziej, niż do niego wrócić. Uśmiechnął się, gdy któryś raz z rzędu w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin poczuł łzy spływające mu po policzkach.

Totalnie się do tego nie nadawał.

Zamknął oczy i przygryzł dolną wargę. Chociaż już teraz trudno było mu utrzymać równowagę, wyciągnął stopę i oparł ją o zewnętrzną barierkę, by na niej stanąć.

Była znacznie bardziej śliska, niż się spodziewał. Zamachał gwałtownie rękami, ale nic to nie dało. Nie był przecież ptakiem. Orłem. To mogło skończyć się tylko w jeden sposób. Po kilku przeciągających się w nieskończoność sekundach, jego ciało uderzyło o podłoże.

Czuł ból. W łokciu i kolanie, a przede wszystkim wzdłuż szczęki. Językiem posmakował własnej gorzko-słodkiej krwi. Po chwili, gdy został uderzony pięścią jeszcze raz, ból rozlał się także po policzku.

– Pojebało cię do reszty?! – warknął Ahiga, trzepiąc chłopakiem niczym szmacianą lalką. – Kurwa...

Potrzebował chwili, aby jego ciało ochłonęło. Serce waliło mu w klatce piersiowej jak oszalałe. Pierwszy raz od sam nie pamiętał jak dawna, czuł, że je ma. Spojrzał przez otwarte drzwi balkonowe na fotel, na którym jeszcze przed momentem siedział, a potem na swoje nogi.

Przybiegł tu.

Musiał tu przybiec. Inaczej by nie zdążył powstrzymać tego idioty.

Ale jak?

Nie biegał od... bardzo dawna. Odkąd ostatni raz widział Johnny'ego.

Drgnął, gdy poczuł dotyk na policzku.

Spojrzał na chłopaka, który już usiadł na balkonowych płytkach, a teraz wpatrywał się w niego rozwartymi do granic możliwości oczami i dotykał jego twarzy palcami.

– Ty płaczesz... – szepnął chłopak.

Ahiga parsknął pobłaźliwie, słysząc ten idiotyzm. Ale zaraz znów to poczuł. Podążył swoją dłonią w to samo miejsce, gdzie znajdowała się już dłoń Cherubina. To nie mogła być prawda.

To była tylko pojedyncza, zabłąkana łza. Za to z obu ciemnych oczu złotowłosego Cherubina skapywały już prawdziwe strumienie. Teraz to Ahiga położył dłoń na jego bladym policzku i obtarł go kciukiem.

– I czego ryczysz, głupi dzieciaku? – spytał, jakoś nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Nie wiem – przyznał Cherubin, mimowolnie przyciskając policzek do szorstkiej, ciepłej dłoni.

Miał nadzieję, że coś się wydarzy. Coś *zostanie zrobione*, a on będzie mógł po prostu się temu poddać. Popłynąć z prądem, a później mieć wymówkę, że to przecież nie on zainicjował. I że nie mógł przecież odmówić. Nie jemu. Był przecież nikim wobec jego potęgi.

Ku jego zawodowi nic jednak się nie stało. Szorstka dłoń pozostała dokładnie w tym samym miejscu. Nie poruszyła się nawet o milimetr, jakby jej właściciel nie mógł się zdecydować.

Więc Cherubin zdecydował. No przecież miał prawo, nie? Był zmęczony, przerażony i sam. A tego ostatniego nienawidził najbardziej.

Rozłoszczony tym, że sytuacja nie rozwijała się po jego myśli, strzepnął dłoń Ahigi ze swojej twarzy z głośnym plasknięciem. Mężczyzna posłał mu skonsternowane spojrzenie. Raphael fuknął rozeźlony i zmrużył oczy, w których na nowo zapłonęły iskry. Przygryzł dolną wargę, jeszcze chwilę bijąc się z myślami. Czuł, że serce znowu mu przyspieszy jak jeszcze chwilę temu, gdy stał na balkonowej barierce.

Wgramolił się na uda Ahigi, oplatając je własnymi i objął go rękoma wokół karku. Uśmiechnął się pod nosem, widząc dezorientację w jego oczach. Przymknął swoje własne i wycisnął na jego ustach pocałunek. Na szczęście po chwili stagnacji Ahiga go oddał. Jego dłoń znów zawędrowała na twarz Cherubina. Kciukiem zahaczył

o jego dolną wargę, ciągnąc szczękę w dół. Potem wepchnął mu język do ust, nadając pocałunkowi nowego wymiaru.

Raphael sapnął przez nos, głębiej wsuwając się na uda mężczyzny. Nie wiedział, co ma robić oraz na ile może sobie pozwolić. Odetchnął z ulgą, gdy to Ahiga rozpoczął działanie. Zsunął się z pocałunkami na szyję chłopaka, a dłonie wsunął pod jego podkoszulek. Przejechał po jego bokach, trochę boleśnie dociskając palce do żeber. W końcu chwycił go w pasie. Miał albo bardzo duże dłonie albo dzieciak był naprawdę szczupły.

Odchylił głowę, by objąć spojrzeniem całą jego twarz. Trącił nosem drobny podbródek chłopaka, zatapiając twarz w zgięciu jego szyi.

– Nie wiem, czy bliżej ci do chochlika, a może rzeczywiście do cherubina – szepnął, składając pocałunek na jego jabłku Adama – ale niezaprzeczalnie masz jakąś magiczną moc.

Cherubin zaśmiał się radośnie na to stwierdzenie. O ile jeszcze przed chwilą jego ciało było całe napięte, to teraz czuł, jakby uleciało z niego powietrze. Chociaż to przyjemne, ekscytujące mrowienie pod skórę, przez które zawijał palce stóp, jeszcze nabrały na intensywności, on zapadł się w tych szerokich, obejmujących go ramionach.

Nie pojmował, jak Johnny mógł czuć się w nich jak w pułapce. Jak mógł chcieć z nich uciec? On nigdzie nie czuł się bezpieczniej.

Jakoś podnieśli się z balkonowej podłogi, wciąż się obejmując i przenieśli się na łóżko. Nie miało teraz znaczenia, kto komu bardziej pomagał. Razem tam dotarli i razem na nie opadli. Raphael aż wierzgnął, gdy Ahiga zawisł nad nim i zębami chwycił jeden z jego okrągłych kolczyków. Pociągnął za niego dość mocno. Potem zagłębił się językiem w jego ucho.

– O, łaa – sapnął.

Podobało mu się to, co czuł. Chciał też zobaczyć, więc zaczął rozpinąć koszulę mężczyzny. Ten mu na to pozwolił, lekko się unosząc. Cherubin na początku uśmiechnął się na to, co ukazało się jego oczom. Ahiga miał ładnie wyrzeźbioną klatkę piersiową. Miał na niej wytatuowany jakiś napis, chyba w nawaho. Był lepiej

zbudowany od Johnny'ego. To z jakiegoś powodu budziło w Cherubinie uczucie satysfakcji.

Jednak gdy czarna koszula Ahiga już całkiem opadła, mina Raphaela zrzędła. Na przedramieniu mężczyzna miał jeszcze jeden tatuaż. Ten mu się nie podobał.

– Och. – Ahiga wnet pojął, z czego wynikała zmiana w zachowaniu chłopaka. – Nie...

– Są takie same – mruknął Cherubin, podążając palcem wzdłuż złotozielonego ciała węża. – Masz dokładnie taki sam tatuaż jak on.

– Pomyśl o tym w ten sposób. To nie ja zrobiłem sobie taki tatuaż jak on. To on zrobił sobie taki tatuaż jak ja. Podązał za mną i mnie naśladował. W sumie, był nic nie wartym psem bez własnego zdania. Ugryzł jednak rękę, która go karmiła i poniesie za to karę.

Raphael nadął policzki, niezbyt pocieszonym tym, co usłyszał.

– Więc ja też tym będę? – spytał. – Psem?

Ahiga uśmiechnął się i przytknął palec wskazujący do drobnego nosa chłopaka, unosząc go w zabawny sposób.

– Umm... Przypominasz mi bardziej kota – stwierdził. – A koty to indywidualiści, chodzą własnymi ścieżkami... No i kot to symbol szatana, więc poprzednia zagadka też się rozwiązała.

Pstryknął go w ten zadarty nos i pocałował jeszcze raz, nie dając chłopakowi czasu na dalsze rozterki. Ścisnął przez materiał wypukłość w jego spodniach. Raphael sapnął, nie spodziewając się takiej zagrywki. Zaraz poziom jego zaskoczenia urósł do wręcz niebotycznego poziomu, bo o to Ahiga zsunął się lekko, rozpiął jego spodnie, wyciągnął penisa i bez ociągania, czy choćby słowa, włożył go do ust.

Cherubin nie podejrzewał nawet, że szef gangu lubi ciągnąć druta. To wydawało się nie pasować do jego pozycji. Sądził, że to on będzie tu usługiwał. Ahiga jednak zdawał się nie mieć takich rozterek.

– Dupa w górę – zakomenderował, gdy wypuścił na chwilę twardniejący, pociemniały jak policzki chłopaka członek z ust. Zrobił to specjalnie z obscenicznym, głośnym cmoknięciem. – A spodnie w dół.

Raphael wykonał polecenie i uniósł się trochę na dłoniach, żeby Ahiga mógł zderzyć mu nogawki džinsów z ud. Dzieła dokończył sam, skopując z siebie spodnie. Ściągnął też podkoszulek. Był teraz całkiem nagi.

Gdy Ahiga ponownie umościł się między jego nogami, co dało mu świetny widok na muskularne, szerokie plecy mężczyzny, pomyślał jeszcze raz, że Johnny to prawdziwy idiota.

Ahiga nie tylko ssał go i lizał, co jakiś czas schodząc także na ściągnięte jądra, ale także podszczypywał zębami. Z wyczuciem, ale Raphael za każdym razem wierzył jak dziki koń i mimowolnie zaciskał uda na głowie gangstera.

Ahiga wyraźnie sycił się wszystkimi reakcjami chłopaka, włączając w to odgłosy, przed których wydawaniem nie mógł się powstrzymać. Penis nie był jakiś szczególnie duży, ale podobało mu się jak żywiołowo i szybko reagował. W końcu jego posiadaczem był kilkunastoletni chłopak. Złotowłosy Cherubin.

Sięgnął do własnych spodni, rozpinając je i wydobywając z nich członek. Przejechał wzdłuż niego dłonią, wydając z siebie sapnięcie pełne ulgi. Spojrzał na penis prężący mu się teraz przed twarzą. Pstryknął w niego palcem, jak jeszcze chwilę temu w zadarty nos Raphaela. Chłopak zasyczał, a potem zachichotał spazmatycznie. Na jego jasnej skórze błyszczały krople potu, a na szczycie penisa kropla preejakulatu.

– Połóż się na boku – polecił Ahiga.

Cherubin posłał mu zdziwione i trochę niepewne spojrzenie, ale wykonał polecenie. Mężczyzna pochylił się nad nim i pocałował przy uchu, przeczesując jeszcze palcami farbowane na blond włosy. Odchylił jeden ze szczupłych, niemal białych pośladków chłopaka i wsunął między nie swojego uprzednio nawilżonego śliną penisa. Zamruczał pochlebnią, gdy Raphael wypiął się, pomagając mu lepiej się umościć.

Chłopak zasyczał przez zęby, gdy poczuł, jak penis ociera się o jego skórę, docierając aż do jąder, które nawet trochę uniósł. To go niemal parzyło. Czuł teraz wszystko tak surrealistycznie wyraźnie. Jakby się naćpał! Nawet włosy Ahigi na swoich pośladkach.

– Boże, ale masz mały tyłek – skomentował Ahiga, gładząc go po biodrze.

Chwycił go za penisa i zaczął miarowo stymulować. Cherubin nakrył jego dłoń swoją własną, chcąc też w tym uczestniczyć. Nie trzeba mu już było wiele. Był rozpalony i doświadczał dla siebie czegoś zupełnie nowego. Doszedł niedługo później, przygryzając przy tym dolną wargę i desperacko zaciskając powieki. Czuł, jakby uszło z niego coś więcej oprócz spermy z fiuta i powietrza z płuc. Zrobiło mu się tak jakos lżej na duszy.

Ahiga wykorzystał ten naturalny lubrykant. Zagłębił się ubrudzoną dłonią między uda chłopaka. Wyobrażał sobie przy tym, że jego jasna skóra tam jest przyjemnie zaróżowiona. Cherubin uczynnie odpowiadał na jego ruchy. Chwycił go pod szczęką i po kilku mocniejszych pchnięciach doszedł. Docisnął przy tym czoło do karku chłopaka.

Sapnął głośno przez noc i pocałował go w policzek, odchylając jego głowę.

Chyba jakiś diabeł podkusił go, żeby to zrobić. Właściwie nie jakiś, a ten mały chochlik, który zawsze dziarsko się uśmiechał, ukrywając strach, gdy przekraczał drzwi jego gabinetu.

Nie mógł się powstrzymać i zabrał go tu ze sobą. Wiedział, że to głupota, ale nie mógł się powstrzymać. Straszyl go i straszyl, ale tak naprawdę planował go oddać w nienaruszonym stanie jego rodzicom, kiedy się już nim nacieszy. Z daleka.

– Kurwa.

Rozdział 5

Tak jak mu polecono, Johnny udał się do największego pokoju w domu, którego właściciel czekał już tam na niego. Dacnis siedział na stole bilardowym i pił coś kolorowego z wysokiej szklanki do połowy wypełnionej kruszonym lodem. Nie wyglądało na to, aby był dzisiaj w dobrym humorze. To nie zdarzało się często. Nie okazywał tego też w jakiś oczywisty sposób. Jak miał to w zwyczaju, zmrużonymi, lekko skośnymi oczami patrzył na dzielnicę rozciągającą się poniżej jego willi.

Po prostu się dzisiaj nie uśmiechał.

– Mira jest zrozpaczona – rzucił jakby w powietrze.

– Przykro mi.

– Ta...

Dopiero teraz obdarzył Johnny'ego spojrzeniem. Chwycił pistolet, który leżał dotąd obok, na blacie, i przesunął go po zielonym płótnie stołu bilardowego w stronę blondyna. Norton nie miał innego wyboru, więc go przyjął. Zważył w dłoni, opuszkami palców zbadał wszystkie zagłębienia. Pozwolił nieznośnemu chłodowi stali przedostać się przez jego ciało aż do żył. Nie podobało mu się to, co czuł, trzymając w dłoni pistolet.

Zachciało mu się wymiotować.

– Tylko nie denerwuj Falco, bo spuszczonej ze smyczy jest całkowicie poza jakąkolwiek kontrolą.

Johnny uniósł brew i spojrzał zdziwiony na Dacnisa.

– Co? Falco...

– Teraz macie ten sam cel. Dzieciaka znajdziecie tam gdzie Hetfielda. Pierwszego sprowadźcie z powrotem, a drugiego się pozbadźcie. Nie rób takiej miny, Johnny. – Uśmiechnął się Dacnis. – Powinieneś się cieszyć, że już nie musisz brudzić sobie rąk. Bądź tylko grzeczny i nie pyskuj Falco, a wszystko powinno skończyć się dobrze. Może nawet nie będziesz musiał tego używać.

Uśmiechnął się tym razem szerzej, ukazując zęby, w tym złote implanty. Wyciągnął rękę i objął smukłymi palcami lufę pistoletu, który Johnny wciąż jeszcze ważył w dłoni.

– Pamiętasz w ogóle, jak się tym posługiwać? – spytał, unosząc jedną z brwi. – Do czego chociażby służy ten otwór?

Zmrużył swoje ciemne, wąskie oczy tak, że zostały tylko dwie wąskie linie, przez które przedostawało się jego enigmatyczne spojrzenie. Uśmiechnął się szeroko, powodując pojawienie się dołeczków na policzkach, po czym przytknął lufę pistoletu do warg.

Johnny spał się, czując jak jeszcze eskaluje to, jak bardzo denerwowała go ta cała sytuacja. Jednak spróbował nie dać tego po sobie poznać. Chciał uciec wzrokiem od ust mężczyzny w bok, ale nie był zdolny się do tego zmusić. Dacnis miał w sobie jakiś dziwny magnetyzm. I miał tego pełną świadomość. To przynajmniej Johnny'emu mówiło jego spojrzenie. Ciemne oczy gangstera śmiały się z niego, a jednocześnie go pochłaniały, wciągały niczym czarna dziura. Pod tym względem Dacnis przypominał mu trochę Raphaela. Miał w sobie *to coś*. Jakiś rodzaj zwierzęcego magnetyzmu. Jednak skala była zupełnie inna.

Pewnie dlatego, że Dacnis miał władzę i siłę. Był umięśnionym, wytatuowanym od stóp do głowy kawałkiem bezwzględnie, gdy trzeba było, skurwiela. Był królem. I żeby wdrapać się na swój tron i na nim utrzymać, szedł po trupach. A teraz, uśmiechając się przy tym bezczelnie, wtykał końcówkę języka w lufę pistoletu.

Johnny spał się cały. Z jakiegoś powodu oprócz ekscytacji czuł także zdenerwowanie, które urosło wręcz do kosmicznego poziomu, gdy spojrzenie Dacnisa wreszcie go uwolniło. To wcale nie pozwoliło mu się trochę uspokoić, a wręcz przyniosło odwrotny efekt, bo czarne oczy mężczyzny skupiły się teraz na innym punkcie, który znajdował się na plecami Johnny'ego.

Nie musiał się odwracać, aby wiedzieć, kto stanął w drzwiach.

Falco.

Johnny uśmiechnął się pod nosem na oczywistą konkluzję, która zagościła mu w głowie. Nawet przez sekundę nie chodziło o niego. Był tylko narzędziem. Trochę mu ulżyło, ale trochę też rozczarował. Te idiotyczne myśli jednak szybko zostały

zepchnięte na drugi plan. Czuł na sobie bowiem tak intensywne spojrzenie, że aż mrowiał mu kark. I to w najgorszy z możliwych sposobów.

– *Dobrze się bawisz?* – padło po portugalsku pytanie z ust Falco, który stanął teraz tuż za Johnny’em.

Dacnis stuknął lufą pistoletu o swoją dolną wargę i zmarszczył brwi, udając, że się zastanawia.

– *Średnio* – oznajmił po chwili.

Zeskoczył ze stołu bilardowego i przeciągnął się, rozprostowując ramiona. Nie miał na sobie nic prócz zielonych spodenek sięgających kolana. Obsunięte były bardzo nisko, ukazując kawałek jego bielizny i wyraźnie zarysowane kości biodrowe. Nawet tam miał tatuaże. Podeszedł do drzwi balkonowych, w ogóle nie odwracając się w stronę Falco.

– Załatwcie to szybko – zarządził.

Oparł się o barierkę i skupił wzrok na panoramie dzielnicy nędzy. To chyba znaczyło, że rozmowa została zakończona. Johnny spojrzał na pistolet, który leżał na zielonym suknie stołu bilardowego. Przełknął ślinę i wziął go do ręki. Falco w tym czasie zdążył już opuścić pokój. Musiał się pośpieszyć, jeśli nie chciał zostać z tyłu. Schował broń i ruszył za mężczyzną.

– Stanął ci?

Szli w dół faweli już dobre półgodziny. Falco parł naprzód, nawet nie interesując się do tej pory tym, czy Johnny rzeczywiście za nim podąża. Ludzie na ulicy ustępowali mu drogi. Dobrze znali jego i towarzyszącą mu renomę. To było pierwsze słowa, jakie opuściły jego pełne, masywne wręcz usta. Wypowiadając je, nawet nie spojrzał na Johnny’ego, który szedł po jego lewej.

– Nie – odparł natychmiast blondyn, nawet nie zastanawiając się, czy była to prawda.

Aż na moment przystanął, gdy niemal żółta tęczęwka, z doskonale czarnym, zwężonym teraz niebezpiecznie centrum, poruszyła się i skupiła na nim.

– Doprawdy?

I znów cisza. Johnny postanowił jednak iść trochę za mężczyzną. Tak czuł się bardziej komfortowo. Przez to miał dobry widok na jego szerokie, bardzo dobrze umięśnione plecy, częściowo przysłonięte jedynie sięgającymi pasa dreadami, z których część była rozjaśniona. Falco miał tam tatuaż z kompozycją złożoną z kwiatów. Johnny potrafił rozpoznać jedynie frizeę*. Dacnis też miał swoje ciało ozdobione wieloma roślinnymi motywami. Johnny nie do końca to pojmował. Kwiatowe motywy wydawały mu się nie pasować do tego, co sobą przedstawiali gangsterzy.

– Gdzie idziemy? – zdecydował się zapytać po kolejnych kilkudziesięciu minutach grobowej ciszy między nimi.

Już prawie dotarli do granicy dzielnicy.

– Tam gdzie najłatwiej będzie znaleźć szczeniaka. Do Jacka Hetfielda – odparł Falco, zakładając przy tym koszulę, którą dotąd miał przewiazaną wokół pasa.

– Tak po prostu? – zdziwił się Johnny.

– Tak po prostu.

– To dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? Albo inaczej. Czemu robisz to teraz?

– Bo wcześniej Dacnis nie był taki wkurzony.

Johnny sapnął sfrustrowany tym, że z jednego bagna trafił w sam środek następnego, który sam też po części stworzył. Jedyny pozytyw sytuacji był taki, że nie będzie musiał rozwiązywać sprawy Jacka Hetfielda sam. Prawdopodobnie wystarczy, że po prostu stanie z boku i będzie jedynie patrzył.

Dacnis przed wejściem do parterowego budynku, którego cały front pokryty był wielobarwnym graffiti, kazał swoim ludziom poczekać na zewnątrz. W środku panował przyjemny chłód. Ceglane ściany, które tak przyjemnie izolowały wnętrze od skwaru panującego na zewnątrz, oblepione były licznymi plakatami i grafikami, głównie projektami tatuaży.

Przeszedł przez korytarz, na którym nie było żywej duszy i skierował się do jednego z pokoiów. Spodziewał się zastać tam swojego tatuażystę, a zarazem pierwszego mężczyznę. I rzeczywiście tak się stało. Były gangster siedział na krześle opartym o ścianę, nienaturalnie wygięty w jedną stronę. Na pierwszy rzut oka można

było pomyśleć, że śpi. Szczególnie że jego głowa zwisała swobodnie z podbródkiem opartym o nagą klatkę piersiową.

Klatkę piersiową, z której kilkoma strużkami spływał krew ze świeżego tatuażu. Ktoś wytatuował mu krzywy napis. Trudno było odczytać poszczególne, wyszarpane w skórze litery, który składały się na słowa: „The Outlaws”.

Dacnis, nie dając po sobie poznać żadnych emocji, powoli obrócił głowę, by spojrzeć na autora tego wątpliwej jakości dzieła. Biały mężczyzna z okularami przeciwsłonecznymi na nosie siedział na kozetce. W jednej dłoni ścisnął pistolet do tatuowania, a w drugiej taki normalny.

– Hej, jestem Shane – przedstawił się wesoło.

– Dacnis.

– Dokładnie. Mam jakieś niesamowite szczęście – parsknął mężczyzna. – Przyszedłem tu tylko, aby wyciągnąć trochę informacji od kogoś, kto zna cię najlepiej. Bo tatuażysta to trochę taki powiernik największych tajemnic, co nie? Spowiednik wręcz. Ten świętość sakramentu wziął sobie bardzo *do serca*. Nieważne, jak bardzo ładnie prosiłem, ten za nic nie chciał zdradzić tajemnicy spowiedzi. Więc trochę się wkurzyłem, jak widać... A tu proszę, wszystko samo się rozwiązało. Wydaj nam Johnny’ego.

Dacnis uśmiechnął się bokiem ust, ukazując złoty implant.

– Jesteś tu sam – stwierdził. – Na zewnątrz czeka moja obstawa.

– Och, wiem, że nie wyjdę stąd żywy – odparł człowiek Ahigi, nadal się uśmiechając. – Dlatego zamierzam przydać się mojemu panu ostatni raz. Jak na dobrze wytresowanego psa przystało. Wydaj nam Johnny’ego, a opuścimy twoje miasto, jakby nas tu w ogóle nie było. Jeśli się tego obawiałeś, to wiedz, że nie interesuje nas nic innego. Przejęcie kanałów przerzutu i tak dalej. Tylko Johnny. To jak będzie? To chyba dobra propozycja.

– Dobra – potwierdził Dacnis, jednak zakończył zaraz: – dla tchórza. Dla białej cioty jak twój ukochany pan, który nawet sam nie wyruszy po swoją zdobycz. Ja nią nie jestem.

Błyskawicznie wyciągnął za paska broń i uniósł ją do strzału. To samo zrobił mężczyzna siedzący na kozetce. Spust nacisnęli w tym samym momencie.

– Hm, zawsze uwielbiałem westerny. Pojedyńki „jeden na jednego”. – Uśmiechnął się człowiek Ahigi, a strużka krwi wypłynęła mu z ust.

Osunął się na podłogę, a zaraz po tym, gdy o posadzkę uderzyło drugie ciało. Kilka sekund później do pokoju wpadło kilku uzbrojonych mężczyzn, których ciała pokryte były tatuażami z kwiatowymi motywami.

Kilka razy przesiadali się z jednego do kolejnego miejskiego autobusu. Każdy następny był lepiej wyposażony i nowszy. Dwa ostatnie miały nawet zdalnie sterowaną klimatyzację. Przejechanie przez całe miasto, z obrzeż dzielnicy biedy do centrum, zajęło im sporo czasu. Korki były naprawdę potężne i potrafiły porządnie zmęczyć. Dlatego Johnny poczuł nawet coś na kształt ulgi, gdy wreszcie wysiedli na końcowym przystanku. Jednak to było drugo-, a nawet trzeciorzędne z uczuć, które teraz panowały w jego sercu.

Przyszli tu kogoś zabić. Nie chciał tu być, nie chciał brać w tym udziału. Brzydził się, a przede wszystkim bał.

Rozglądnał się po okolicy. Byli na osiedlu kilkupiętrowych bloków wybudowanych najdalej dekadę temu. Miało prywatny parking, równo przystrzyżone i zdrowo nawożone, niesamowicie zielone trawniki. Zupełnie inne widoki niż te w faweli. To nie był żaden szczyt luksusu, ale i tak Johnny zmarszczył brwi w geście zdziwienia.

– On tu mieszka? – zapytał.

– No raczej – parsknął Falco, rozglądając się po osiedlu. Najwyraźniej szukał właściwego bloku. – Przecież nie w faweli. Jeszcze by się ubrudził.

Kiwnął głową w stronę jednego z wybrukowanych drobną kostką chodników prowadzących w głąb osiedla, między bloki. Tam też się skierowali.

– To jaki jest plan? – zdecydował się spytać Johnny, chociaż Falco, jego mina i atmosfera wokół niego nie zachęcały do rozmowy.

Mężczyzna wzruszył ramionami, najwyraźniej dając znać, że nie było żadnego planu. Jack Hetfield zapewne nie był wart planowania zdaniem Falco. Pewnie dlatego

tak długo zwlekał z wyciśnięciem tego pryszcza. No i żeby poirytować Dacnisa, uznał Johnny.

– Ale najważniejsze jest odzyskanie bachora – rzucił Falco.

To zaś było po to, aby udobruchać Dacnisa, który był teraz wkurzony aż za bardzo. Nie okazywał tego w jakiś emocjonalny sposób, ale najwyraźniej Falco tknęło to wystarczająco mocno.

– To tak po prostu tam wejdziemy...

– I się zobaczy – uciał gangster.

Johnny, znów całkowicie olany, przewrócił oczami. Dla niego to nie był taki chleb powszedni. Jak się niedawno okazało, nie pozbawił życia nawet jednej osoby. Zdziwił się, gdy stanęli przed balkonami, czyli z tyłu jednego z podłużnych, czteropiętrowych bloków. Co niby mieli tu robić? Zawołać tego całego Jacka Hetfielda na piknik na trawniku?

Zaraz się wyjaśniło, bo Falco związał swoje długie dredy rzemykiem, poprawił pistolet za paskiem spodni i zaczął się wspinać po bocznej obudowie z metalowych prętów na parterowy balkon. Po chwili był już na kolejnym. Johnny obserwował go, osłaniając oczy przed słońcem dłonią i w duchu modlił się, aby Hetfield mieszkał na pierwszym piętrze. Jednak szybko się przekonał, że los rzeczywiście nie był dla niego łaskawy, bo już po chwili Falco podciągał się na ramionach, a potem zahaczył stopami o metalowe pręty balkonu na drugim piętrze. I tak to trwało, aż nie znalazł się na czwartym.

– No i co się tak opieprzasz? – rzucił w dół. Nie wydawał się chociaż lekko zmęczony. – Czekasz na specjalne zaproszenie albo czerwony dywan? Mam ci go spuścić, a potem cię wciągnąć?

Johnny po raz już któryś tego dnia przewrócił swoimi zielonymi oczami, ale nie zostało mu nic innego, jak sprawdzić broń i także zacząć się wspinać. Jemu zajęło to znacznie dłużej i kilka razy na moment aż kostniał ze strachu. W końcu jednak wygrzebał się na czwarte piętro i z tłukącym się w piersi sercem stanął obiema stopami na podłodze balkonu. Od razu poczuł na sobie pogardliwe spojrzenie żółtawych oczu. Gdy unióśł głowę, ujrzał wyraźnie błyszczące krople potu na ciemnej twarzy Falco. To trochę go pocieszyło.

- Ktoś mógł nas przecież zauważyć – rzucił.
- I? – spytał bez zainteresowania gangster.
- No i zadzwonić na gliny? – zaproponował Johnny, wybałuszając oczy. Naprawdę musiał to tłumaczyć? Czy tylko dla niego to było oczywiste?
- I? – powtórzył Falco tym samym tonem.

Spojrzał na drzwi balkonowe. Były zamknięte od środka. To też nie zrobiło na niego wrażenia. Rozbił szybę pistoletem, wyciągnął w framugi ostre resztki szyby, aby przełożyć rękę i otworzyć zamek.

– Opłacacie gliniarzy nawet tak daleko od waszego terenu? – spytał Johnny, także wkraczając do najwyraźniej pustego mieszkania.

– Kiedy trzeba.

Czyli jednak nie było tak do końca bez planu, pomyślał Johnny. Rozejrzał się. W małym salonie było zadziwiająco dużo roślin. Wnętrze prezentowało się całkiem przyjemnie. Można tu było wypocząć. Nie przzerwali jednak Jackowi Hetfieldowi sjesty. Wszystko wskazywało na to, że nie zastali go w mieszkaniu.

– Dzieciak też tu jeszcze nie trafił – ocenił Falco po pobieżnym rozglądnięciu się po wszystkich pomieszczeniach. – To poczekamy.

Rozpuścił z powrotem swoje grube, sięgające pasa dredy, z których kilka było rozjaśnionych i usiadł na fotelu. Wszystko robił z taką dozą nonszalancji, jakby był u siebie.

– Skąd pewność, że w ogóle tu trafi?

– Pewnie nie zna tego adresu, więc udał się na teren Barbosy. Jednak nie jest tam bezpieczny. Jeśli znalazł Hetfielda, a ten zatęsknił za jego piegowatą dupą, to sprowadzi go tutaj przed znalezieniem lepszej kryjówki. Jeśli nie, to dzisiaj niespodziankę po powrocie do domu będzie miał tylko Hetfield. Tak czy siak, dziś upieczemy przynajmniej jedną pieczeń. Najwyżej dzieciaka znajdzie się na terenie Barbosy. Żywego lub martwego.

Johnny był pod wrażeniem tego, że tyle słów wypłynęło jednym ciągiem z pełnych ust gangstera. Nie pozostało mu nic innego, niż także usiąść. Nie mógł jednak długo wytrzymać w jednym miejscu. Wstał i zaczął przeglądać szuflady. Nie znalazł

nie ciekawego. Dowiedział się tylko, że Jack Hetfield lubił wieczorami poczytać kryminały.

Uśmiechnął się jak dzieciak, gdy znalazł coś w kolejnej z szuflad. Wyjął to, co przypominało harmonijkę i pozwolił jej się rozwinąć w akompaniamencie charakterystycznego szeleszczenia plastiku.

– Proponujesz mi coś? – prychnął Falco, patrząc z uniesioną brwią na zapakowane prezerwatywy zwisające z dłoni Johnny’ego.

– No co ty! Przecież to by było takie pedalskie – odparł mężczyzna i uśmiechnął się pokpiwająco. – Jeszcze odpadłaby ci fujarka.

– Chyba tobie, już nie potrzebna do niczego.

Johnny uniósł brwi. Więc na takim poziomie prymitywizmu zatrzymali się panowie *macho* z tutejszych gangów. Ruchanie faceta jeszcze nie robiło z ciebie pedała, ale branie w dupę już tak. Wspaniale. Stąd ta chora atmosfera między Falco i Dacnisem.

Ten pierwszy tak naprawdę wiedział. Wszystko wiedział. O tatuażystce, nauczycielu i tak dalej. Ale udawał, że ta strona życia Dacnisa nie istnieje. Nawet przed samym sobą. Nie dopuszczał tej myśli do siebie, bo wtedy musiałby zacząć gardzić swoim... No właśnie kim? – zastanowił się w myślach Johnny.

Nagle jeszcze bardziej przygnębiony, od niechcienia spojrzął na napisy i logo ozdabiające saszetki z prezerwatywami. Zaśmiał się gorzko, gdy rozpoznał indiański pióropusz. Od razu pomyślał o Ahidze. Czemu wszystko zawsze musiało być takie popieprzone?

Pograżony w ponurych rozmyślaniach nad przeszłością i brakiem przyszłości nawet nie wychwycił momentu, w którym Falco znalazł się tuż przy nim. Poczł mocny, stanowczy uścisk na ramieniu, odpowiedział więc tym samym. Ciemna skóra Falco była gorąca i zroszona potem, a napięte mięśnie pod nią niesamowicie twarde. Mierzyli się bez słowa wzrokiem. Dopiero teraz Johnny spostrzegł, że był trochę wyższy. Przynajmniej w tym aspekcie miał przewagę.

Zacisnął zęby, by nie wykrzywić w grymasie bólu ust, gdy Falco wbił mu jeszcze mocniej palce w ramię. Zaparł się z całych sił jak osioł, który nie chce iść do

rzeźni, by tylko nie ulec. Bo dobrze wiedział, co siedziało w głowie Falco. Że ten chciał zmusić go do posłuszeństwa, bo nic innego nie znał. Taki był jego świat.

Wykręcić mu rękę na plecy, zmusić do obrócenia się i opadnięcia ciałem na komodę, z której szuflady Johnny przed chwilą wyciągnął prezerwatywy. Drugim ramieniem docisnąć jego głowę do drewna. Kopnięciem zmusić go do szerszego rozstawienia nóg...

Nie doczekanie jego. Johnny spojrzał prosto w żółte ślepie gangstera. Mierzyli się wzrokiem przez jakiś czas, stojąc nieruchomo. Żaden nawet nie mrugnął. W końcu Falco uśmiechnął się lekko, a jego uścisk zelżał. Johnny też więc go puścił. Tym razem nie przegrał. Chociaż też nie wygrał.

Wykorzystując to, że Falco odwrócił się do niego plecami, zgarnął z czoła przyklepione blond pasma włosów i oblizał spierzchnięte usta. Odetchnął i przełknął ślinę. Z naganą i wstydem w spojrzeniu zerknął na swoje krocze. Na szczęście Falco najwyraźniej nie zauważył.

Prawie podskoczył, gdy nagle w pokoju rozległ się dźwięk komórki. Pomyślał o Hetfieldzie, ale to tylko telefon Falco dzwonił. Mężczyzna z irytacją wyciągnął go z kieszeni i odebrał. Burknął do słuchawki po portugalsku coś w stylu „No czego chcesz?“, okraszając to jeszcze soczystym przekleństwem. Jednak po paru zdaniach rozmówcy jego postawa się zmieniła. Cały się napiął i zgarbił. Johnny obserwował go z rosnącym niepokojem.

– *Że co, kurwa?!*

Skrzywił się na dźwięk krzyku skrajnie rozgniewanego mężczyzny. Po jego podnieceniu też nie było już ani śladu.

– *Jak mogło do tego dojść?! Jakim prawem pozwoliliście mu tam iść samemu?! Zajebię cię, gdy wrócę, słyszysz?! Twoich zwłok nawet matka nie rozpozna, więc lepiej idź się pożegnać z nią teraz. I nawet nie próbuj uciekać, słyszysz?!*

Johnny aż zrobił krok do tyłu, wpadając plecami na komodę, gdy Falco odwrócił się w jego stronę. Gangster miał przekrwione, rozwarte oczy i zaciśnięte w wąską linię usta. Teraz Johnny zaczął się bać naprawdę.

– To twoja wina! – wyszczał Falco, po czym rzucił swoim telefonem w stronę blondyna.

Urządzenie śmignęło koło głowy Johnny'ego i rozbiło się o framugę okna z głośnym trzaskiem. Fragmenty opadły na podłogę. Instynktownie Norton chciał się obejrzeć na pobojuwisko za sobą, ale nawet nie zdążył tego zrobić, bo Falco dopadł do niego i chwycił oburącz za gardło. Wydał z siebie zdławione charknięcie i kopnął go w łydkę, ale to nic nie dało. Przyniosło wręcz odwrotny efekt, bo dłonie na szyi Falco zacisnęły się jeszcze mocniej. Johnny po omacku odnalazł dłonią kryształowy wazon stojący na komodzie, do której był teraz przyciśnięty. Chwycił za niego i rozbił go na głowie Falco. Mężczyzna zachwiał się lekko, a jego wzrok zmętniał na chwilę. Johnny wykorzystał ten moment, by spróbować się oswobodzić. Udało mu się lekko rozluźnić chwyt na swoim gardle. Zachłysnął się powietrzem. Wtedy jednak Falco otrzeźwiał. Znowu na niego napał, przez co obaj runęli na podłogę. Johnny został przygnieciony masywniejszym ciałem.

– To ci nic nie da! – wychrypiał. Nie miał pojęcia, co się wydarzyło, ale podejrzewał, że maczał w tym palce Ahiga. – Przecież on tego chce! Dokładnie tego... mojej śmierci... Dasz mu dokładnie to, czego...

Czuł, że traci siły. Obraz zaczynał mu się zamazywać, a w oczach pojawiły się łzy. Tracił świadomość. W jej ostatnim przebłysku pomyślał sobie, że wszystko byłoby inaczej, gdyby został z Ahigą. Byłoby lepiej.

Nim zamknął oczy, dostrzegł jeszcze ponad wykrzywioną w gniewie twarzą Falco zarys sylwetki mężczyzny z bronią w ręku. Miał długie, blond włosy zupełnie jak on sam, ale były dokładnie zaczesane w zgrabną kitkę. Mieli też takie same zielone oczy. Różniła ich za to postura, strój i wzrok. Johnny pomyślał, że los jest naprawdę okrutny, skoro na koniec raczy go widokiem kogoś, kim zawsze chciał się stać. A był jedynie sprzedawcą w nocnym sklepie w znoszonej, hawajskiej koszuli.

*frizea lśniaca – roślina należąca do grupy ananasowatych. Ma jaskrawy kwiatostan przypominający wyglądem kłos.

Rozdział 6

Było ciemno i duszno. Coś podłużnego przesuwano się po jego szyi. Wyobraźnia podpowiedziała mu obrzydliwego, długiego i obślizgłego robaka. Pomyślał, że obudził się zakopany żywcem. Ale wtedy to, co nagle poczuł, musiało być wstrząsem podczas trzęsienia ziemi. Podrzuciło nim w górę, przez co uderzył głową o twardą powierzchnię nad sobą. To go otrzeźwiło, a jego zmysły znów zaczęły działać, chociaż wzrok i tak nie był potrzebny w kompletnej ciemności. Leżał zgięty w pół w bagażniku jadącego samochodu, wywnioskował po odgłosach, które do niego docierały i po ciągłym podrzucaniu na wybojach. Miał związane ręce i nogi, a także zaklejone usta. Spróbował się wyswobodzić, ale więzy były zbyt mocne.

Po kilku następnych próbach, które także okazały się bezowocnym wysiłkiem, poddał się. Tylko to coś, co wciąż przesuwano się po jego szyi, doprowadzało go do pasji. Przekręcił się, na ile mógł, bo w ciasnym bagażniku znajdował się jeszcze duży pakunek, o który cały czas się obijał, by zrzucić to coś ze swojej szyi. Gdy się udało, przytknął do tego nos, aby zbadać co to takiego. Na pewno nie to, co podpowiadała mu wyobraźnia. Nie było obślizgłe. Tylko suche i pachniało... szamponem.

Dred.

Johnny otworzył szeroko oczy i instynktownie odsunął się jak najdalej. Nic nie widział w tej ciemności, ale chyba już wiedział. Ten drugi obiekt zapakowany był w skrzypiącą przy każdym potrąceniu folię. To był Falco. I wszystko wskazywało na to, że już nie żył. Johnny związanymi w kostkach nogami szturchnął worek, ale zupełnie nic się nie stało. Przez taśmę zaklejającą mu usta wydał z siebie pełne bólu jęknięcie.

Jechali jeszcze długo. Oczywiście nie mógł powiedzieć dokładnie ile, ale droga stawała się coraz bardziej wyboista. Musieli wyjechać daleko poza miasto. W końcu stanęli, a po chwili bagażnik otworzył się. Johnny zacisnął oczy, spodziewając się porażenia odzwyczajonych źrenic światłem dnia, ale nic takiego się nie stało. Był środek nocy. Dopiero po chwili został zmuszony do zaciśnięcia na moment powiek, gdy Jack Hetfield skierował na niego światło latarki.

– No ruchy. Wyłaź – rozkazał mężczyzna. Żeby dodać swoim słowom mocy, wyciągnął pistolet i skierował go na Johnny'ego. – Chyba nie każesz mi powtarzać, co?

Nie. To nie było łatwe, ale po kilku próbach Johnny wytoczył się z bagażnika i boleśnie upadł na ziemię. Hetfield uwolnił mu nogi i ręce.

– Niczego nie próbuj – zaznaczył, zanim zerwał z jego ust taśmę.

Johnny syknął boleśnie, ponieważ stracił przy tym sporo ze swojego kilkudniowego zarostu. Powoli uniósł się do siadu, a potem wstał. Spojrzał do bagażnika. Kształt zawinięty w czarną folię dodatkowo obklejoną srebrną taśmą naprawdę przypominał człowieka. Z otworu wydostało się kilka długich dredów. Jeden z nich był rozjaśniony. Falco. To naprawdę był on.

– Wyciągnij go – polecił Hetfield.

Johnny uznał, że najlepiej będzie się nie odzywać i po prostu wykonywać polecenia, chociaż nic nie wskazywało na to, że dane mu będzie dożyć do wschodu słońca. Pokonał obrzydzenie i wykonał rozkaz Hetfielda. Po chwili Falco leżał już na ziemi.

Jack chwycił za łopatę, która leżała obok niego i wskazał lufą pistoletu gąszcz dżungli przed nimi. Oświetlił go latarką.

– Tam.

Johnny przełknął ślinę. I chwycił worek. Przepraszam, rzucił w myślach, chociaż nienawidził Falco. Nikt jednak nie zasługiwał na taki los. Zaczął ciągnąć worek po ziemi.

– Nie tak, bo ślady będą zbyt wyraźne. Podnieś go – nakazał Hetfield.

Johnny nie miał wyboru. Przerzucił worek z ciałem przez ramię. Zgiął się pod jego ciężarem. Zaczął iść. Potykał się o wystające korzenie. Parę razy prawie upadł. Latarka Hetfielda, który podążał za nim, nie dawała zbyt wiele światła. Gdy Johnny'emu zabrakło siły, aby nieść ciało, mężczyzna pozwolił mu je ciągnąć. Byli wtedy już w środku dżungli.

– Starczy – zarządził w pewnym momencie Hetfield i rzucił łopatę w stronę Johnny'ego. – Na co czekasz? Kop.

– Tylko dla niego, czy dla mnie też? – spytał Norton przesączonym goryczą głosem, podnosząc narzędzie.

– Oho, a już myślałem, że będę się musiał postarać, żeby coś z ciebie wycisnąć. Szkoda – parsknął Hetfield i usiadł na powalonym konarze drzewa. Położył też na nim latarkę tak, aby oświetlała ziemię przed nim. – Na razie tylko dla niego. Później się zobaczy.

Johnny posłał mu krótkie spojrzenie i zaczął kopać. Na szczęście ziemia była wilgotna i miękka. Co jakiś czas natrafiał tylko na kamienie i korzenie. Hetfield wyciągnął z kieszeni koszuli papierosa i go odpalił. Płomień zapalniczki na chwilę oświetlił jego twarz. Za nim była już tylko ciemność. To jakoś przeszło Johnny'ego aż do kości.

– No, to zacznij gadać – rzucił Hetfield już luźniejszym tonem. – Wyrecytuj wszystko dokładnie jak dzieciak wierszyk na środku klasy, to wtedy może mniej się nakopiesz.

„Może”, powtórzył w myślach Johnny. Miał przeczucie, że skończy się jednak na „może nie”.

– To... – zaczął, kiwając głową w stronę worka. – To Falco z...

– Wiem kto to i że miał mnie na celowniku – przerwał mu Hetfield. – Dlaczego akurat teraz?

– Dacnis rozkazał. No i sprowadzić z powrotem tego rudego dzieciaka, Josha. Uciekł i podejrzewaliśmy, że znajdziemy go u ciebie.

Jack zmarszczył brwi. Dobięły do niego informacje o tym, że Josh znalazł sobie ciepłe gniazdko u Dacnisa. Ucieszyła go ta informacja. To zmniejszyło szansę ich ponownego spotkania praktycznie do zera, ale przynajmniej dzieciak był bezpieczny i poza zasięgiem Barbosy. Miał co jeść i gdzie spać.

– Dlaczego uciekł? Coś mu tam zrobili? – spytał, a w jego głosie dało się wyczuć ostrzejszą niż jeszcze przed momentem nutę.

– Nie, ale dowiedział się, że wyrok wydany na ciebie ma być w końcu wykonany.

– A jaki ty masz w tym wszystkim udział?

Johnny przestał na chwilę kopać i wzruszył ramionami. Na jego usta wpłynął krzywy uśmiech.

– To ja go ostrzegłem – wyznał – i to ja miałem cię sprzątnąć. Ciśnienie trochę skoczyło Dacnisowi po ucieczce chłopaka, więc wysłał też Falco.

– Nie byliście w zbyt przyjaznych stosunkach, gdy was zastałem na podłodze mojego mieszkania – parsknął Hetfield.

– Falco dostał jakiś telefon. Nie słyszałem rozmowy, ale po jego reakcji wnioskuję, że ludzie przed którymi znalazłem schronienie u Dacnisa, musieli dać im popalić. Więcej nie wiem.

Hetfield dopytał jeszcze o parę rzeczy, a później kazał mu dalej kopać. Zapanowała kompletna cisza co jakiś czas rozpraszana odgłosami zwierząt dochodzącymi z głębi dżungli. Gdzieś blisko pohukiwała sowa. Gdy dół był już wystarczająco duży, Johnny wrzucił tam ciało i zaczął zakopywać tak, jak mu polecano. Pot lał się z niego strumieniami i bolał go każdy mięsień. Był już u kresu sił, fizycznych i psychicznych. Nie potrafił nawet jakoś specjalnie cieszyć się z tego, że nie trafił do dołu razem z Falco.

– Starczy tego dobrego.

Johnny przestał pracować łopatą i spojrzał na Hetfielda, który zdążył już wstać z pniaka i celował do niego z broni.

– Koniec naszej wycieczki krajoznawczej. Uważaj na jaguary.

Hetfield ruszył w głąb dżungli w drogę powrotną. Wraz z nim znikło jedyne źródło światła prócz gwiazd i księżyca, który był dzisiaj w pełni. Johnny został sam pośród mroku.

Ahiga czesał włosy. To z jakiegoś powodu był dziwny widok. Jakoś trudno było Raphaelowi przyswoić, że szefowie gangów też, zupełnie jak przeciętni ludzie, poświęcają swój czas na wykonywanie tak prozaicznych czynności, jak mycie zębów, czy właśnie czesanie włosów.

Nie tak dawno temu miał za to okazję przekonać się, że ten konkretny szef mafii lubił też dawać orgazmy wyszczekanyim szczeniakom. No, a przynajmniej temu, który stał teraz przed nim, zapewne się rumieniąc.

– Podobno miałem do ciebie przyjść? – rzucił, pokonując zażenowanie.

Ahiga uniósł na niego wzrok. Siedział na łóżku w wciąż rozpiętej koszuli. Był naprawdę dobrze zbudowany. To przykuwało wzrok.

– Wiesz, że to ekskluzywny hotel? Dbają tu o swoją renomę, a ty swoją osobą trochę im ją psujesz – rzucił.

– Słucham? – zdziwił się Cherubin, odlepiając wzrok od tego, co kusiło między połami rozpiętej koszuli.

– Ten podkoszulek? – Ahiga kiwnął głową na chłopaka, który spojrzał po sobie zupełnie zbity z tropu. – Który dzień go nosisz?

Och. Teraz Cherubin zrozumiał, co mężczyzna miał na myśli. Jemu też doskwierało to, że ma jedną parę ubrań. Na szczęście jego łazienka była wyposażona w pełną gamę kosmetyków, włączając to dezodorant. Jednak to, że miał tylko jeden podkoszulek zupełnie nie zależało od niego. To też postanowił zwerbalizować:

– Ale nie mam innego! Wiesz, ta podróż do Rio de Janeiro to trochę nieplanowana z mojej strony! – fuknął.

Ahiga zaśmiał się pod nosem, widząc nadąsaną minę dzieciaka. Jakby był zupełnie pozbawiony instynktu samozachowawczego.

– No właśnie. Dlatego idź do moich ludzi, niech zabiorą cię na zakupy do miasta.

– Mowy nie ma! Nigdzie nie pójde z tymi brutalami. Mam już dość widoku wypływających z czaszki mózgow na całe życie!

– To, co proponujesz? – Uśmiechnął się Ahiga.

Czuł się dziwnie dobrze przy tym szczerym do bólu i strasznie przy tym pociesznym dzieciaku. Ten przed nim nie udawał i się nie kajał. Dobrze było przez chwilę poczuć się jak normalny człowiek.

Cherubin wycelował palec w Ahigę.

– Czemu ty ze mną nie pójdziesz? I tak siedzisz tu cały dzień i nic właściwie nie robisz.

– Moje psy i tak by z nami poszły.

– No ale by się przynajmniej zachowywały przy swoim panu!

Ahiga zasłonił dłonią usta, tłumiąc śmiech. Spod uniesionych brwi spojrzął na chłopaka.

– Czy to nie ma jakiejś specyficznej nazwy? – spytał, uśmiechając się przebiegle. – Najpierw seks, a potem zakupy... Z czymś mi się to kojarzy... Już wiem. Sponsoring.

Chyba tylko ułamek sekundy zajęło Cherubinowi znalezienie się przy Ahidze. Teraz jego policzki malował czerwienią nie tylko wstyd, ale także złość. Ahiga unieruchomił jego ręce, które chciały go zaatakować, chwytając je za nadgarstki i śmiejąc się przy tym głośno. Wciągnął chłopaka na siebie, samemu przy tym kładąc się na plecach. Splótł ich palce, a potem rozłożył ręce, zmuszając tym samym chłopaka Raphaela na przyłgnięcie do jego klatki piersiowej.

– Wyrwiesz mi ramiona ze stawu! – zaprotestował chłopak, jednak się śmiejąc.
– Czuję się jak ukrzyżowany.

– Och, takie przyjemności są zarezerwowane tylko dla świętych, a tobie jednak do świętości daleko.

– No – potwierdził z szerokim uśmiechem Cherubin, wyraźnie zadowolony z siebie. Najwyraźniej odbierał to jako komplement.

Ahiga oswobodził go, aby dłońmi ścisnąć jego policzki, a potem szybko pocałować w usta. Potem odsunął jego twarz od swojej i spojrzął mu głęboko w oczy. Raphael nie miał pojęcia, jak to interpretować. Zapytał więc o to, co nie dawało mu spokoju:

– Jakś tak lekko do tego podchodzisz. Dlaczego?

– Hm? – podłapał Ahiga, który zaczął badać palcami naszpikowane kolczykami uszy chłopaka. Podobało mu się, jak szybko czerwieniały. Trochę jak w kreskówkach, od dołu aż po szpice. – Ty też i to znacznie trudniejsze do pojęcia.

– No ale ja jestem narwanym idiotą. I teraz mi po prostu dobrze, więc płynę z prądem.

– No to ja najwidoczniej robię to samo.

– Bo akurat uwierzę – prychnął Cherubin. Sturlał się z Ahigi i usiadł obok na łóżku po turecku. Jego mina przyjęła markotny wyraz. – A Johnny? Johnny też był taki jak ja, prawda? Idiota, którym mogłeś się opiekować. Ale on cię porzucił. I patrz,

co ci zrobił. Stałeś się taki... samotny. Przez niego tu jesteśmy. Po prostu dziwi mnie to, że tak lekko teraz podchodzisz do tego ze mną.

Ahiga, który wciąż leżał na plecach, zaplótł ręce na brzuchu. Spojrzał jeszcze na strapioną twarz chłopaka, który w napięciu przewiercał go swoimi błyszczącymi ślepiami, niczym kot czekający na smakołyk. Mały diabełek nie był taki głupi, jak mu się samemu wydawało. Ahiga uśmiechnął się kątem ust i przymknął powieki.

– Wtedy wiele się działo – zaczął powoli. – Mój ojciec, szef gangu, który powoli myślał o usunięciu się na dalszy plan, nie szanował mnie, bo byłem jego bękartem z Indianką, a jednocześnie widział we mnie większy potencjał niż w moim starszym bracie. Mój brat to wyczuł i zaczął mieć obawy, że straci to, na czym zależało mu najbardziej, czyli schedę po ojcu. Ja byłem tylko głupim dzieciakiem, który nienawidził swojego ojca, a jednocześnie ze wszystkich sił chciał mu udowodnić swoją wartość. I był zdolny zrobić wszystko, aby to osiągnąć. Jednocześnie byłem też zajeźdźcą samotny. Moją jedyną opoką był Johnny, który z początku chyba czuł się przez to wyróżniony, a potem zaczęło go to dusić. Bo był w końcu tylko zwykłym, wyszczekany dzieciakiem. Zamknąłem go w klatce i nieświadomie zacząłem go spychać w jej najciaśniejszy kąt. A on w końcu zrobił to, co każde zwierze zapędzone w kozi róg. Co oczywiście nie zmienia faktu, że zachował się jak pieprzony tchórz i musi za to zapłacić. Różnica między nim i tobą jest taka, że jego chciałem zagarnąć tylko dla siebie, a ciebie po prostu na moment pożyczyłem. Na osłodę mojej „samotnej” egzystencji. Choć chyba chciałeś wtedy powiedzieć „żałosnej”, co?

Cherubin patrzył przez chwilę na mężczyznę, nie będąc pewnym, czy dobrze zrozumiał sens jego słów. I co o nich myśli.

– Pożyczyłem? – powtórzył.

Ahiga uniósł się do siadu i poprawił włosy, które spadły mu na czoło. Odwrócił się i dotknął dłonią policzka Raphaela.

– Zwrócę cię twoim rodzicom w nienaruszonym stanie – powiedział tonem, jakby coś obiecywał. – Więc dotrzyмай mi towarzystwa, dopóki tu jesteśmy.

– Czyli aż nie zabijesz Johnny’ego?

– No i zniszczyłeś atmosferę – parsknął Ahiga. – Tak, dopóki nie zabiję Johnny’ego. Okej?

– Okej – zgodził się po chwili Raphael.

Został na łóżku sam, bo Ahiga podniósł się i podszedł do stolika po swoją paczkę papierosów. Rzadko palił. Cherubin poczuł niesamowitą ulgę po tym, co przed chwilą usłyszał. Gdy był szczyłem, w złości zdarzyło mu się parę razy krzyknąć rodzicom w twarz „Nienawidzę was!” i zamknąć się w pokoju, ostentacyjnie trzaskając przy tym drzwiami. Pewnie przez to, że nie chcieli mu kupić jakiejś gry, którą uważali za zbyt brutalną. Teraz nawet nie pamiętał dokładnie i uważał swoje zachowanie za żalosne. Narzekał i narzekał, buntował się, ale kochał staruszków i bardzo chciał wrócić do domu. Do normalnego życia. Dlatego cieszył się ze słów Ahigi.

Jednak trochę zrobiło mu się też jakby... smutno? Nie potrafił tego nazwać. Nie wiedział, czego chciał.

– No to idziemy na te zakupy? – rzucił do stojącego przy otwartym balkonie i popalającego papierosa Ahigi.

– Ale ja wolno chodzę – odparł mężczyzna, uśmiechając się, ale dość słabo. To był gorzki żart.

Cherubin uniósł jedną brew i się wyszczerzył.

– Ale nie tak dawno przecież biegałeś! – przypomniał.

– I wolałbym tego nie powtarzać – odparł Ahiga, posyłając mu pobłażliwe spojrzenie.

– Bieganie, czy powodu?

– Powodu, mały idioto.

– To, co ty na to... – Raphael zeskoczył z łóżka i przypadł do Ahigi. Chwyił go za brzegi wciąż rozpiętej koszuli, aby skupić na sobie jego uwagę. – Że znowu sprawię, że będziesz biegł, aby mnie złapać. Ale tym razem po to, aby coś dostać, a nie czemuś zapobiec?

Uśmiechnął się szeroko cały z siebie zadowolony. Jeszcze nie wiedział, co zrobi, ale na pewno będzie fajnie. Zaczął zapinać Ahidze guziki koszuli, niby przypadkowo dotykając przy tym jego torsu.

– No, to idziemy?

– Niech będzie – poddał się Ahiga. Potargał farbowane włosy swoje chłopca z magiczną mocą. – Shane jeszcze nie dał żadnego znaku, więc właściwie mam trochę czasu do zapchania.

– Zabierzmy też rudego.

– Po co? – zdziwił się mężczyzna.

– Bo taki smutny jest.

Ahiga popatrzył na Cherubina ze zmarszczonymi brwiami.

– I wycieczka po mieście ze swoim porywaczem mu ten humor poprawi? – zakpił.

Raphael zastanowił się chwilę.

– Czekolada! Czekolada każdemu poprawi humor!

Ahiga przewrócił oczami i dał się pociągnąć ku wyjściu z pokoju. W szafie miał laskę, której szczerze nienawidził, ale zwykle zabierał ją ze sobą, gdy miał wyjść gdzieś na dłużej. Dziś jednak czuł, że nie będzie mu potrzebna.

Rozdział 7

– Jesteś niepełnoletni. Możesz co najwyżej dostać czekoladę – powiedział Ahiga, a widząc niezadowoloną minę chłopaka, dodał: – Na poprawę humoru.

Siedzieli przy stoliku na oszklonym tarasie, który klinem wbijał się w złotą plażę. Piasek mogli zobaczyć z bliska, patrząc pod swoje stopy, bo nawet podłoga była oszklona. Nadszedł już wieczór. Przyjemny, orzeźwiający wiatr bawił się przydługimi włosami Ahigi. Farbowane, postawione pasma Cherubina były zbyt nażelowane, aby mógł je poruszyć.

– Więc jak sprzedawałem dla ciebie zioło, to już ci nie przeszkadzał nielegalny charakter tej działalności? – prychnął Raphael po zamówieniu u kelnerki zwykłej coca-coli.

– I co? Myślisz, że pójdę za to prosto do piekła? – spytał Ahiga, udając zmartwienie.

– Myślę, że to będzie gdzieś na końcu listy twoich grzechów i nikt na to nawet nie zwróci uwagi.

– Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić – odparł i odwrócił głowę, by spojrzeć na spokojne dziś morze. Wyżej, między chmurami, pojawił się już księżyc. – Dzień chyli się ku końcowi, a ja jednak dzisiaj nie biegłem.

– Bo się nie umiesz bawić!

Ahiga skupił z powrotem wzrok na chłopaku siedzącym naprzeciwko, a dokładniej na różowym podkoszulku, który miał na sobie. Na materiale nadrukowana była biała, kreskówkowa mysz, a w zasadzie coś, co wyglądało jak skrzyżowanie gryzonia z kobietą. Myszokształtną Pamelę Anderson.

– Słabe.

– No ale jesteś wężem – odparł Cherubin, wskazując na tatuaż mężczyzny na przedramieniu – a węże powinny gonić myszy. Swoją kolację.

– Węże działają z zaskoczenia. Najpierw wyczuwają ofiarę... – Ahiga przytknął dwa rozsunięte palce do ust, a potem wystawił między nimi język, którym

kilka razy poruszył. – A potem się do niej skradają niezauważone i atakują z zaskoczenia.

W tym samym momencie Raphael wgapiony niczym zahipnotyzowany w falujący język mężczyzny, poczuł, jak coś szybkim ruchem chwyta go za odsłonięte udo. Wierzgnął, uderzając przy tym kostką o metalową nogę stolika. To jednak w ogóle nie było ważne, bo trochę wyżej działo się coś znacznie bardziej zajmującego.

– Wężę lubią też wpełzać w ciasne, ciepłe i ciasne szczeliny – ciągnął Ahiga głosem, jakby był lektorem w programie przyrodniczym. Jego palce kontynuowały przy tym powolną wędrówkę w głąb nogawki beżowych szortów Cherubina. – Wiedziałaś o tym?

Raphael pokręcił jedynie przecząco głową, uśmiechając się przy tym szeroko. Był zbyt zaaferowany tym, co się właśnie działo, aby rzucić jakąś błyskotliwą odpowiedzią. Patrzył chwilę na dłoń, która nieśpiesznie, bardziej żółwim niż wężowym tempem wędrowała w górę jego uda. Zaraz jednak uniósł głowę, wystarczyło mu samo uczucie.

Nad stolikiem miał jeszcze bardziej absorbujący widok. Dał się złapać rozognionemu spojrzeniu Ahigi, samemu też próbując go schwytać. Jego wzrok przybrał na chwilę karcący wyraz, gdy mężczyzna z premedytacją pociągnął go za jeden z nielicznie obecnych na jego udzie włosków, wrywając go przy tym.

Złotozielony gad wytatuowany na przedramieniu Ahigi był coraz bliższy spotkania drugiego węża, który już zdążył zbudzić się z zimowej hibernacji. Raphael chwilę bił się z myśli, ale zaraz poderwał się z krzesła. Spojrzał na plażę. Kilkadziesiąt metrów od tarasu dojrzał osamotnioną skałę, ale na tyle dużą, że mogła skryć przed natrętnym wzrokiem parę poszukującą prywatności. Posłał Ahidze rozognione spojrzenie i nic nie mówiąc, choć zwykle miał wiele do powiedzenia, zaczął po prostu biec. Gdy zeskoczył ze szklanej podłogi tarasu w ciepły piasek, obejrzał się za siebie. Mięśnie jego twarzy rozciągnęły się już chyba do granic, bo Ahiga właśnie wstał od stolika i nie bacząc na swoich ludzi, którzy siedzieli w „odpowiedniej” odległości, zmierzał pośpiesznie w jego stronę. Najpierw szedł, a potem zaczął biec. Cherubin pokazał mu język i ruszył przez piach, by później biegnąć już wzdłuż brzegu. Miał na stopach klapki, więc woda obmywała mu stopy.

W pewnym momencie zaczął się śmiać. Dłonią chwycił się za krocze. Nadal był pobudzony. Może przez to Ahiga dopadł go, nim zdążył dobiec do skały. Może przez to, że w szkole najbardziej pilny był, jeśli chodziło o omijanie zajęć wychowania fizycznego. A może przez to, że chciał zostać złapany.

– Ha! Wygrałem! – ucieszył się Cherubin.

Oparł się plecami o skałę. Teraz osłaniała ich przed natrętnymi oczami psów Ahigi.

– Nie pamiętam, żeby to był konkurs.

– To nie będzie nagrody? – zasmucił się Raphael.

– Niech stracę – rzucił w odpowiedzi Ahiga tonem, jakby robił chłopakowi wielką łaskę.

Uniósł podbródek chłopaka i nachylił się nad nim, aby go pocałować. Cherubin uśmiechnął się w jego usta i oddał pocałunek. Przymknął przy tym oczy. Westchnął, gdy usta mężczyzny spoczęły na jego szyi. Niemal się zachłysnął, gdy poczuł lekki uścisk na swoim kroczu. Ahiga zamruczał, wyczuwając, że chłopak nie jest do końca miękki. Wrócił swoimi wargami do jego ust, tym razem przeobrażając z początku leniwy pocałunek w coś znacznie bardziej zaangażowanego. Wyciągnął przy tym penisa chłopaka na zewnątrz z jego dopiero co kupionych szortów. Zlizał strużkę śliny, która spłynęła po drobnym podbródku Raphaela, wieńcząc tym pocałunek, po czym klęknął w piachu.

Cherubin czuł, jakby zwoje w jego mózgu miały za małą przepustowość. On jeszcze splatał swój język z tym bardzo węzowym w swej gibkości, a już działo się coś innego. Twarz Ahigi, którą trudno było określić jako klasycznie przystojną, a jednak przykuwająca uwagę, znalazła się teraz na wysokości krocza Raphaela. Gangster znów nie okazywał wydawał się mieć z tym żadnych kłopotów, a przed wzrokiem jego ludzi chroniła ich tylko ta skała. Objął członek dłonią i ucałował jego czubek. Raphael stęknął głucho na to uczucie. Czuł, że wszystko inne mu mięknie, więc oparł się bardziej plecami o skałę.

Ledwie Ahiga zdążył objąć penisa chłopaka ustami, a wszystko się skończyło. Cherubin popatrzył zaskoczony na mężczyznę, gdy ten wstał. W pierwszym momencie pomyślał, że zrobił coś nie tak. Że Ahidze może się odwidziało i zaraz dosadnie po

mordzie, czy coś w tym stylu. Zaraz jednak wszystko się wyjaśniło. Ledger sięgnął do kieszeni swoich spodni, by wyciągnąć wibrujący telefon. Miał już odebrać rozmowę, ale jego ręka zatrzymała się w połowie drogi do ucha. Skrzywił się, jakby poczuł coś nieprzyjemnego w ustach, a potem napluł na piasek. Nim w końcu odebrał, posłał jeszcze wciąż skonfundowanemu Cherubinowi rozbawione spojrzenie.

– Schowaj go, bo jeszcze mewa ci go pomyli z frytką – rzucił, po czym już wyjałowionym z podniecenia oraz humoru głosem zwrócił się do swojego rozmówcy:
– Shane, lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego.

Tak, to z całą pewnością było coś „naprawdę ważnego”. W jednej sekundzie Raphael poczuł się, jakby znów stał w tym gabinecie, gdzie musiał spowiadać się, a potem kajać przed człowiekiem, którego sam cień wywoływał u niego ciarki. Ahiga znów wyglądał jak ta odczłowieczona karykatura, która mierzyła go pogardliwym wzrokiem zza masywnego biurka.

Mężczyzna słuchał chwilę bez słowa, już w ogóle nie zwracając uwagi na Cherubina. Potem zapytał:

– Gdzie jest jego ciało?

Raphaela przeszedł dreszcz. Nie chciał słyszeć więcej słów wypowiedzianych tym tonem. Poprawił się i wyszedł zza skały. Ruszył przez piach w stronę tarasu. Gdy tam dotarł, dwóch ludzi Ahigi obrzuciło go zdziwionym spojrzeniem. Zazwyczaj budzili w Raphaelu strach, ale teraz czuł względem nich coś na kształt współczucia. W końcu stracili jednego ze swoich. Usiadł przy stoliku i z obojętnością spojrzął na coca-colę w wysokiej szklance z lodem i kolorową słomką.

Rozmówcą Ahigi oczywiście nie był właściciel numeru, czyli jego zaufany człowiek i miłośnik ulicznych przekąsek, Shane.

– Możesz równie dobrze włożyć do trumny kilkadziesiąt kilo podrobów. Efekt wizualny będzie podobny – odparł zachrypnięty głos po drugiej stronie. – Moi ludzie są pozbawieni poczucia estetyki. Wiesz, to prostytutki z dzielnicy nędzy.

– Po co ta farsa? – warknął Ahiga. – Co chcesz przez to osiągnąć? Rozumiesz chyba, że zabijając mojego człowieka, wydałeś na siebie i wszystkich, na których ci zależy, wyrok? Dotąd obchodził mnie tylko Johnny. Wydaj mi go, a każę moim

ludziom przymrużyć oczy, gdy będą strzelać. Może wtedy kilka kul nie trafi swojego celu. Masz dzieci?

Na chwilę zapadła cisza.

– Czasami czułem się zmęczony – przyznał niespodziewanie Dacnis. – Miałem ochotę wyjść z mojego domu, pójść na plażę, a potem wejść do wody. Iść i iść w głąb morza, aż woda całkowicie mnie pochłonie, ale nie po to, aby umrzeć, ale po to, aby wreszcie poczuć się całkowicie wolnym. Więc może wczoraj bym się zgodził, ale dziś jest już inny dzień. A ja dzisiaj czuję wściekłość. I chociaż to nie do końca twoja wina, tobie przyjdzie za to odpowiedzieć.

Dacnis odrzucił telefon komórkowy, w ogóle nie patrząc, gdzie upadnie. Leżał na szpitalnym łóżku. Pod jego obojczykiem, po prawej stronie, znajdował się masywny opatrunek. Podkrążonymi oczami spojrzął na Johnny'ego, który stał od dłuższej chwili koło łóżka. Ust blondyna, odkąd mężczyzna się tu pojawił, nie opuściło ani jedno słowo. Jednak Dacnis wiedział. Nie potrzebował słów. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Johnny'ego, który wyglądał, jakby był bliski omdlenia z wyczerpania. Gdyby przyszedł w odwiedziny do zwykłego pacjenta, obsługa szpitala nawet by go nie wpuściła. Był brudny, obszarpany i spocony, a przede wszystkim przerażony. Jego mina i spojrzenie mówiła zaś Dacnisowi wszystko.

– Jak? – spytał z pozoru chłodnym tonem, znów wlepiając wzrok w ścianę naprzeciwko

Johnny czuł tak mocny ucisk w klatce piersiowej, że aż nie mógł wziąć wdechu. Znajdował się u skraju sił. Już wiedział, że to co przeżył ostatnio, będzie go nawiedzało w koszmarach do końca życia. Trochę nawet pocieszał go fakt, że zapewne zbyt dużo tego życia mu nie pozostało. Jednak nie przez to, nie mógł wydobyć z siebie nawet jednego słowa. Patrzył na nieruchomą, wręcz nieprzyjemnie spokojną twarz Dacnisa i chciało mu się płakać za niego, bo on nie mógł sobie na to pozwolić. Był przecież *królem*, a królowie nie płaczą po swoich sługach.

– Nawet nie musisz odpowiadać – powiedział po chwili Dacnis, wrywając Johnny'ego z otępienia, a potem na jego ustach pojawił się lekki, gorzki uśmiech. – Wiem, że zginął jak idiota, którym zresztą był. Zadufany w sobie idiota, który

wszystkich innych miał za nic i zawsze nie doceniał przeciwnika... Prawdziwy idiota...

Na chwilę umilkł, bo przy ostatnim słowie jego głos lekko zadrżał. Jego oczy wydały się Johnny'emu trochę bardziej wodniste. Dacnis mrugnął parę razy, a potem kontynuował już ponownie wyjąłowym z emocji głosem:

– Jest jednak pytanie, na które nie znam odpowiedzi. I chciałbym poznać ją od ciebie.

– Tak?

– Dlaczego ty żyjesz? Nie mogę znaleźć powodu, dla którego Hetfield miałby cię oszczędzić.

Johnny zawahał się na chwilę, nim odpowiedział. Mógł okłamać Dacnisa. Był przecież mistrzem w unikaniu prawdy i odpowiedzialności za swoje czyny. Wymyślenie na poczekaniu jakiejś historyjki też nie stanowiło dla niego wielkiego wyzwania. Jednak tego nie zrobił. Uciekał przed wzięciem odpowiedzialności za swoje grzechy, za karę, już wystarczającą długo. Był już tym zmęczony.

– Myślę, że Hetfield mnie oszczędził, bo to przeze mnie Josh uciekł z twojej posiadłości. Powiedziałem mu, że kazałeś mi zabić Hetfielda. Jemu chyba naprawdę zależy na tym dzieciaku. Kiedy zeszliśmy na jego temat, jego ton na moment się zmienił. – Zamilkł na moment, po czym kontynuował: – A Falco... chwilę przed tym, nim zginął, odebrał telefon od twoich ludzi. Powiadomili go o tym, co się wydarzyło. Był wściekły na mnie i rozkojarzony, dlatego nie zauważył Hetfielda i dał się zaskoczyć.

Przyznał się. Wreszcie wziął za coś odpowiedzialność i był gotowy ponieść za to karę. Pomyślał o Ahidze, o swojej rodzinie, o Cherubinie i wszystkich innych, których wykorzystał lub zawiódł przez to, jakim był tchórzem. Powinien odpowiedzieć z osobna za to, co zrobił każdemu z nich. Jednak będą musieli podzielić się jedną zemstą.

– Idź i zmyj z siebie to błocko. Prześpij się – polecił po chwili ciszy Dacnis, jakby w ogóle nie dotarły do niego słowa sprzed chwili. – Wcześniej wskaż, jeśli potrafisz, moim ludziom miejsce, gdzie znajdują ciało Falco. A teraz zostaw mnie samego.

Gdy wyszedł z sali na korytarz, kucnął i zakrył twarz dłońmi. Trochę się śmiał, a trochę płakał. Już nie wiedział, co robić. Chyba najbardziej pragnął, aby teraz tym długim, pomalowanych odrażającą bielą korytarzem przyszedł Ahiga i wreszcie ukoił swoją duszę.

– Nie płacz. – Usłyszał nad sobą cienki głos, który sam ginął między łkaniem. – Tylko słabeusze płaczą.

To była córka Dacnisa. Wyglądała na przerażoną. Była bardzo blada, a jej oczy szklily się niczym szklane kule. Przypominała lalkę.

– Nie możesz być teraz słaby. Ktoś musi zaopiekować się *papą*, bo zostanie teraz całkiem sam. Nie lubiłam Falco, ale jest mi żal, że umarł. Oprócz mnie *papa* miał tylko jego. Tylko on jeszcze go kochał. Teraz zostanie całkiem sam. Wiesz, kazał mi zamieszkać z mamą. Dlatego musisz się nim zaopiekować za mnie. Zrobisz to, prawda?

– Nie sądzę, żebym był odpowiednią osobą do tego – parsknął Johnny. – Jestem raczej najgorszą osobą do tego, żeby kogoś ratować. Albo żeby kogoś kochać.

Dziewczyna patrzyła na niego przez chwilę bez słowa. Na jej usta wpłynął uśmiech.

– Możesz wybrać najprostszą ścieżkę i po prostu zapłacić za swoje grzechy, biczując się albo dając się biczować. Ale nie zmażesz ich swoją krwią. Ona tylko po nich spłynie. Spieprzyłeś życie wielu osobom, więc choć raz spróbuj komuś pomóc. Myślę, że to znacznie lepsza pokuta, chociaż znacznie trudniejsza. Ale ja jestem tylko głupim dzieckiem, więc co ja tam mogę wiedzieć?

Od tamtej pory nie rozmawiali. Ahiga poszedł prosto do samochodu, nawet nie wracając wcześniej na taras. Jego ludzie i Raphael dojrzelili tylko jego sylwetkę, gdy przez piach zmierzał na parking. Jechali różnymi samochodami, więc właściwie nie tylko ze sobą nie rozmawiali, ale nawet się nie widzieli. I Ahiga chyba nie miał w planach zmienić tego stanu rzeczy. Gdy wrócili do hotelu, jego ludzie zaprowadzili Cherubina do pokoju, który zajmował i kazali mu tam zostać. Zresztą, nie miał innego wyboru, bo drzwi zostały zamknięte na klucz.

Był teraz środek nocy, a on nadal siedział na łóżku w tej idiotycznej, różowej podkoszulce z nadrukiem myszy. Inne zakupy leżały rzucone w kącie, wciąż nawet niewypakowane, a on tak sobie siedział i nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić. To nie tak, że nie próbował przedostać się do pokoju obok. To byłoby wbrew jego usposobieniu. Naprawdę poziom jego frustracji sięgał zenitu, gdy tak po prostu siedział i nic nie robił, ale nie miał innego wyboru. Zarówno drzwi do drugiego pokoju, jak i balkon Ahigi były zamknięte. Jego był otwarty, dzięki czemu jeszcze godzinę temu mógł podsłuchać toczącą się dyskusję, co oczywiście uczynił.

Nie słyszał wyraźnie słów, ale rozpoznawał niektóre głosy Banitów, a także ten należący do tego piegowatego chłopaka, Josha. No i oczywiście ten Ahigi. Mężczyzna był wściekły. Później wszystko ucichło i od tej pory z pokoju obok nie dochodziły już żadne odgłosy.

Raphael opadł na łóżko i przycisnął dłonie do swoich oczu. Wszystko znów wróciło do początku, gdy został tu zamknięty po raz pierwszy kilka dni temu. Wszystko po prostu znów się... jebało. Chyba nie było lepszego słowa na opisanie tego, jak się teraz czuł.

„Nie spierdol, tego” było ostatnim, co powiedziała do Ryana. Później już się nie widzieli. Ich rodzice postanowili odseparować ich od siebie. Naciskała na to przede wszystkim pani Norton, która dużą część winy za to wszystko, co się wydarzyło, obarczała Trish.

Wraz z rodzicami dziewczyna przeniosła się do innego hotelu. Oczywiście próbowała kilka razy dodzwonić się do Ryana, ale jego telefon pozostawał wyłączony. Nie mogła złapać go też w mediach społecznościowych. Tam, gdzie się dało, została zablokowana, za co zapewne odpowiadała pani Norton.

Po kilku dniach, które potrzebne były do wstępnego uporządkowania spraw związanych z postępowaniem na policji, pojechali do domu. Łączyło się to też oczywiście z powrotem Trish do szkoły. Miała nadzieję złapać tam Ryana, ale nie było go przez cały dzień. W liceum aż huczało od plotek. Na przerwie obiadowej urządzony został nawet apel, na którym dyrektor prosił o uspokojenie nastrojów i współpracę z policją. Trish nie była w temacie, więc musiała popytać, o co właściwie chodzi. Nie

było trudno, bo cała szkoła żyła zaginięciem jednego z najbardziej popularnych uczniów, czyli Cherubina. Jeden z jego przydupasów, Carl, także nie pojawiał się w szkole od jakiegoś czasu, ale tym akurat nikt się nie przejmował. Przyszedł jakiś czas temu cały poobijany i po prostu zrezygnował.

Ze świętej trójcy został tylko Floyd. Trish bardzo zaskoczył jego widok przy szafkach na głównym korytarzu, gdzie przysła przed opuszczeniem szkoły, aby zostawić książki. Nie widziała go od tamtej feralnej nocy, kiedy wszystko się pieprzyło. Wtedy jakby się rozpułynał w powietrzu, a teraz pojawił się w szkole jak gdyby nigdy nic. I właśnie majstrował przy kłódce od szafki Ryana. Wyglądało na to, że znał kod, bo po chwili drzwi się otwały.

– Co ty wyprawiasz? – spytała Trish, bo chłopak właśnie pakował wszystko, co było w szafce Ryana, do reklamówki.

– Poprosił, abym zabrał jego rzeczy. Raczej nie pojawi się tu więcej.

Trish rzadko pozwałała panować nad sobą emocjom, ale teraz szok był wręcz wymalowany na jej twarzy.

– I co ty masz do tego? – zapytała, chwytając go za ramię. – Nagle staliście się sobie tacy bliscy?

Floyd zupełnie nieprzejęty wzruszył ramionami, jak miał to w zwyczaju.

– Ktoś po prostu musi zapełnić pustkę i jakoś tak przypadkiem znalazłem się w odpowiednim miejscu i czasie.

„Przypadkiem”, mrukneła w myślach Pocahontas, patrząc za oddalającym się już chłopakiem. I raczej nie chodziło o pustkę po niej. Wszystko naprawdę się pieprzyło.

Rozdział 8

Wyprężył się niczym sprężyna, gdy usłyszał skrzypienie drzwi balkonowych. Niemal już zasnął, ale ten pojedynczy dźwięk rozbudził wszystkie jego zmysły i nadzieje. Ukrywając się za uchylonymi drzwiami własnego balkonu, zerknął na ten obok. Ahiga właśnie zapalał papierosa. Oparł się łokciami o barierkę i zapatrzył w granatowe już niebo.

Cherubin wyszedł na balkon, ale mężczyzna nawet nie drgnął. Nie spojrzał w jego stronę. Raphael za to patrzył na Ahigę i nie podobało mu się to, co ujrzał. Kiedyś lękał się tego mężczyzny. Teraz też jego postura i mina mogła budzić podszywaną strachem potrzebę utrzymania bezpiecznego dystansu, ale nie w Cherubinie. Już nie. Teraz było mu żal tego mężczyzny.

Gdyby on stracił kogoś bliskiego, bo Shane na pewno nie był tylko zwyczajnym pracownikiem, to by płakał i krzyczał. Wyrzuciłby z siebie wszystkie ściskającego jego wnętrza emocje, a potem, już pozbawiony wszystkich sił, opadłby w czyjeś opiekuńcze ramiona. Bo on mógł to zrobić. Nikt nie wymagał od niego, aby był cały czas silny. Nawet on sam. I zawsze gdzieś w pobliżu czekały te ramiona, na których mógł się oprzeć. Chociażby matki lub ojca.

Mężczyzna przed nim nie mógł okazać słabości, bo otaczali go ludzie, którzy szanowali go tylko za jego siłę. Siebie samego pewnie też szanował tylko za to. Dlatego nawet teraz, w tych czterech ścianach, za opuszczonym parawanem, nie mógł zdjąć maski. Także dlatego, że nikt nie złapałby go, gdyby bezsilny upadł na deski sceny. Musiał cały czas grać.

Cherubin postanowił sam zaangażować się do nowej roli. Teraz to on musiał być silny i dać temu mężczyźnie pocieszenie. Tak, jak raz już to kiedyś zrobił, wspiął się na barierkę oddzielającą balkony i zaraz znalazł się po jej drugiej stronie.

– Co ty znowu wyprawiasz, idioto?! – zdenerwował się Ahiga, wreszcie na niego patrząc, ale reszta jego słów zginęła w pocałunku.

Cherubin dopadł do niego i chwycił obiema dłońmi za twarz. Nic nie mówiąc i nie czekając na jakąś reakcję, pocałował gwałtownie mężczyznę, wpychając mu język

do ust. Był niższy i znacznie drobniejszy, ale nie miało to teraz najmniejszego znaczenia. Całował mężczyznę zapamiętale, wszystkiemu nadając tempo niczym dyrygent. Chciał teraz dawać temu mężczyźnie. Dawać napiętność i siłę. Wszystko, co tylko był w stanie. Ahiga starał przez chwilę jeszcze starać się walczyć, nie stracić swojej twarzy, ale w końcu uległ.

Papierosa zgubił w trakcie, może nawet wypadł mu przez balustradę wprost do hotelowego basenu, ale żaden z nich nie zwrócił na to chociaż najmniejszej uwagi. Teraz, idąc tyłem, wrócił do swojego pokoju, którego wyposażenie skrywał mrok. Świeciła się tylko pojedyncza, ścienna listwa nad wezgłowieciem drewnianego łóżka. Potulnie dał się rozbierać tym drobnym dłońmi niedojrzałego całkowicie mężczyzny. Drgnął, mimo że nie było zimno, gdy jego ramiona zostały odsłonięte, a jego koszula lekko spadła na parkiet. Dotarli już do łóżka, więc usiadł na nim. Zaraz poczuł ciężar na udach, gdy złotowłosego chłopak usiadł na nim. Rozgościł się na jego kolanach, w ogóle nie pytając o zgodę. Dzieciak znów objął jego twarz gorącymi dłońmi i pocałował. Był przy tym strasznie bezczelny. Ahiga pomyślał, że powinien pokazać mu, gdzie jego miejsce, ale zamiast tego położył się na łóżku. Zamknął oczy.

Cherubin rozebrał się do naga i przysiadł przy Ahidze. Przez chwilę myślał o tym, aby zapalić którąś z lamp, ale bał się, że spłoszy tym mężczyznę. Musiało mu wystarczyć mgliste światło ściennej listwy. Swoimi oczami, które najczęściej płonęły dziko jak dwa rozżarzone węglaki, zdradzając porywistość jego natury, prześlizgiwał się po sylwetce mężczyzny. Uznał, że był znacznie piękniejszy od Johnny'ego i skarcił się w myślach, że kiedykolwiek mógł myśleć inaczej. Nie wiedział w jaki sposób ten podły człowiek, który nawet nie zasługiwał na to miano, mógł go tak sobie owinać wokół palca. Teraz czuł jedynie wstyd z tego powodu. Młodość naprawdę jest głupia!

Nachylił się nad Ahigą i obie dłonie położył na jego klatce piersiowej. Jego ciemne sutki zamknął między małymi i serdecznymi palcami. Podobało mu się, jak brodawki mężczyzny w momencie zeszywniały. Jak jego skóra zrobił się gorąca i bardziej lepka. I jak ruchy jego klatki piersiowej, gdy oddychał, stały się głębsze. Ciszę panującą w pokoju zmącił cichy, miarowy szum, gdy Ahiga wciągał kolejne porcje powietrza przez nos.

Cherubin podziwiał go jeszcze przez chwilę jak jakieś wiekopomne dzieło w galerii sztuki oprawione w złote ramy. Nawet przy tym nie mrugał, tylko chłonał spowity w półmroku obraz doskonałego dla niego ciała. Wyraźnie zarysowanych mięśni, niebieskich nici żył pod skórą, kilku starych blizn. Ocknął się, dopiero gdy strużka śliny skapnęła z jego rozwartych, nieruchomych warg, na klatkę piersiową mężczyzny. Uśmiechnął się szeroko. Nachylił jeszcze bardziej, aby z rozkoszą zlizać tę plamę. Później przywarł policzkiem do piersi mężczyzny i ułożył się na nim. Poczłł gorąco między ich ciałami i nieprzyjemny chłód tam, gdzie się nie stykali. Dłonią przejechał wzdłuż boku Ahigi, badając dokładnie fakturę jego żeber i mięśni brzucha. Gdy dotarł do wyraźnie zarysowanej kości biodrowej, zrobił małe kółko palcem, obrysowując wypukłość. Powędrował na ślepo wzdłuż krawędzi dżinsów, aż nie natrafił na pasek włosów. Podążył dalej nową ścieżką. Rozpiął guzik spodni i zanurzył się pod materiał bielizny.

Uniósł się na łokciu i chwycił między swoje białe, drobne zęby sutek mężczyzny. Sycił się reakcją, delikatnym drgnięciem ciała pod sobą i chciał ich jeszcze więcej. Jego dłoń na chwilę się cofnęła, niczym przestraszone zwierzątko, gdy palce musnęły gorącą, lepką skórę na pobudzonym penisie mężczyzny. Cherubin skarcił się za to w myślach. To, jak mocno wszystko teraz czuł, było wręcz surrealistyczne. Sztywne włosy łonowe kuły skórę jego dłoni niczym igły. Przejechał w górę wyprężonego penisa, sycąc się każdą nierównością. Opuszką palca zbadał główkę, zataczając na gorącej skórze kilka okręgów.

Przestraszył się, że wszystko za szybko się skończy, więc postanowił kontynuować podróż. Spojrzał na twarz Ahigi, który wciąż trzymał zamknięte oczy. Jego usta były za to teraz lekko rozwarte, a na czole i między ciemnymi brwiami pojawiły się lekkie zmarszczki. Cherubin wziął głęboki wdech, wciągając przy tym mocno napięty brzuch i pocałował Ahigę w usta. Swoim leniwym dotąd ruchom dodał animuszu. Rozpiął zamek spodni mężczyzny i obsunął jego bieliznę. Penis niemal wyskoczył, jakby ciesząc się z tego, że wreszcie został uwolniony.

Cherubin wolną dłonią sięgnął do swojej erekcji, a drugą objął ściągnięte jądra Ahigi. Podobała mu się ich puszystość i to, że chociaż tors mężczyzny był dosyć ubogo owłosiony, to inaczej sprawa miała się poniżej pasa. Nagle do głowy przyszła

mu ekscytująca myśl, coś, co musiał za wszelką cenę sprawdzić, ale nie wiedział, czy nie przekroczy tym granicy. Potrząsnął zaraz głową.

Zagryzł spierzchniętą wargę i powędrował dłonią głębiej, za jądra mężczyzny. Poczuł gorącą skórę, a potem na dziurkę także okoloną włosami. Zagłębił palec między pierścień mięśni. Naciągnął skórę, na ile mógł, czując wyraźny opór. Puścił za to swojego penisa. Czuł, że zaraz wybuchnie. W momencie stał się całkowicie sztywny.

Zsunął się z łóżka i klęknął między nogami Ahigi. Zsunął jego spodnie, na ile był w stanie. Dopadł do jego jąder i przyssał się do nich. Gorący penis mężczyzny otarł się o jego twarz, drażniąc skórę i rzęsy. Ssał przez chwilę, czując na wargach i języku drobne włoski. To był jednak tylko pierwszy akt. Uniósł się na kolanach, wygodniej moszcząc się między kolanami mężczyzny. Kilka razy przeciągle przejechał językiem po jego penisie, którego podtrzymywał palcami. Zawsze był ciekawy, jakie to będzie uczucie. Pocałował żołądź, uśmiechając się szeroko, nim wziął penisa do ust. Uczucie było nieprzyjemne, dławiące, gdy próbował go wsunąć głębiej. Zrezygnował więc. Uznał, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Doszedł pierwszy. Jakoś tak zupełnie bez zapowiedzi i trochę bez powodu. Sam był zaskoczony, aż zacisnął lekko zęby na członku Ahigi. Wydał z siebie stęknienie, przeżywając niespodziewany orgazm, a po chwili zarechotał. Sięgnął dłonią do swojego krocza. Zebrał nią trochę spermy. Wtarł ją w udo mężczyzny i zaczął żwawiej mu obciążać. Zacisnął oczy, gdy nagle poczuł dłoń na swojej głowie. W kącikach pojawiły mu się łzy, kiedy mężczyzna doszedł z głośnym jęknięciem.

Ahiga dalej nic nie mówił. Uniósł się za to i chwycił Cherubina, który wciąż nie był pewien, co zrobić z małą katastrofą w jego ustach, aby wciągnąć go na siebie. Raphael zdecydował się po prostu przełknąć, a potem znów spojrzał na teraz znacznie łagodniejszą w wyrazie twarz mężczyzny. Przejechał palcem wskazującym po jego szorstkim policzku, po czym go pocałował.

Zasnął przy jego boku z mocnym postanowieniem, że stanie się wystarczająco silny, aby być oparciem dla tego mężczyzny.

Ryan leżał na łóżku w swoim pokoju, a właściwie w zaaranżowanym na niego poddaszu. Na uszach miał bezprzewodowe słuchawki. Kolejny już dzień spędzał w dokładnie ten sam sposób. Słuchał starych płyt High Death, bo jęśliwe riffy Santy Boy'a, które naśladowały płacz z żalu i gniewu, oraz wtórujący im niski, zachrypnięty głos muzyka doskonale oddawały to, co teraz czuł. I tylko pogłębiały stan, w którym się znajdował. Na pewno nie działały jak lekarstwo.

Kiedy wskoczyła kolejna piosenka, ściągnął gwałtownie słuchawki i rzucił je na podłogę. Całkowicie zapomniał, że oprócz starszych płyt miał też ściągniętą tą najnowszą w dorobku High Death. Gdy się pojawiła, uznał ją za świadectwo odrodzenia się zespołu i jego lidera. Teraz nienawidził tej płyty, a przede wszystkim tej węzowatej, rockowej ballady*. Chyba najszczerze co kiedykolwiek wypłuł z siebie Santa Boy, a czego teraz Ryan nie mógł znieść.

Odszukał dłonią porzucony na łóżku telefon, żeby zapauzować listę odtwarzania. Zobaczył, że ma kilka nieodebranych wiadomości. Wszystkie od Pocahontas. Usunął je bez czytania. Nie chciał jej widzieć ani z nią rozmawiać. I wcale nie chodziło mu o to, co powiedziała mu matka na temat jego najlepszej przyjaciółki.

Nie chciał jej widzieć, bo dojrzał to w jej spojrzeniu. Pogardę. Nie powiedziała tego na głos, cały czas go wspierała i utwierdzała w przekonaniu, że to najlepsza decyzja, ale i tak dojrzał to w jej spojrzeniu. Miała go za tchórza. I słusznie. Gardziła nim. I miała rację. On też sobą gardził.

– Spóźnisz się, jeśli zaraz nie wyjdiesz! – Usłyszał wołanie dziadka z dołu. – Uszanuj stare kości swojej babci.

Podniósł się i zabrał bluzę leżącą na oparciu obrotowego krzesła. Podniósł też słuchawki i włożył telefon do kieszeni spodni. Po drabinie zszedł na pierwsze piętro domu. Dziadka zastał w kuchni. Właśnie pakował kanapki w folię aluminiową. Były dla niego. Kolejną noc miał spędzić w sklepie należącym do dziadków. Teraz, na popołudniowej zmianie, była tam jego babcia.

Pracę zaproponował mu dziadek.

– Leżysz tu jak zwłoki – powiedział, gdy wczoraj bez zapowiedzi wszedł na poddasze. I miał rację.

Teraz podał wnukowi kanapki oraz herbatę w termosie upchane w papierowej torbie.

Ryanowi dopiero teraz przyszło do głowy, aby o coś zapytać:

– A gdzie jest Johnny?

– Pytanie godne głównej nagrody w „Milionerach” – odparł jego dziadek. – Po prostu znowu uciekł bez chociażby słowa. Po kilku dniach zadzwoniono do nas z parkingu nieopodal lotniska. Stał tam samochód twojej mamy, za którego nikt nie uiszczał opłaty parkingowej.

– Tak po prostu zniknął?

Jego dziadek wzruszył ramionami.

– On zawsze taki był – stwierdził. – Dużo czekał, a gównem z tego było. Nie wiem, po kim to ma.

A ja? – pomyślał z goryczą Ryan. Po kim ja to mam?

Kolejną więc noc spędzał za ladą całodobowego sklepu dziadków. Prawie nie było klientów. Przez większość czasu był więc zupełnie sam, ale tak jak wczoraj, blisko północy, dzwonek przy drzwiach się odezwał, a do środka wszedł Floyd. Przez ramię miał przerzucony plecak. Uprzedniej nocy pojawił się w sklepie niczym duch. W Austin zniknął nawet nie wiadomo dokładnie kiedy i więcej nie dawał znaków życia. Kolejny raz Ryan ujrzał go właśnie w sklepie. Wybudził go wtedy z półsnu, czy raczej koszmaru.

Na początku ich znajomości, gdy jechali do Austin, nie podszedł Ryanowi. Był zbyt natrętny i w jakiś sposób oślizgły. Właściwie do tej pory Ryan nie miał pojęcia, o co chłopakowi tak naprawdę chodziło. Teraz się go jednak uczeplił, łyknął zarzucony haczyk, bo kogoś potrzebował. Pocahontas by nie zrozumiała. Nie chodziło tylko o to, co wyczytał z jej spojrzenia. Ona pochodziła z innego, wręcz bajkowego świata. Jej starzy byli niesamowicie zamożni i niemal czcili swoją adaptowaną córkę jak jakąś boginię. Teraz dodatkowo Trish miała nie jednego, a dwóch ojców. On zaś żadnego.

– Twoje rzeczy, tak jak chciałeś – powiedział Floyd, kładąc na ladzie czarny worek, który wyciągnął ze swojego plecaka. – Pocahontas nie była zbyt szczęśliwa.

– Dzięki – odmruknął Ryan i rzucił worek na podłogę koło swojego krzesła, nawet nie sprawdzając jego zawartości.

– Straszne masz wory – zauważył Floyd i kciukiem przejechał po skórze pod okiem chłopaka. – Spałeś w ogóle?

Ryan nie miał nawet siły, aby strzepnąć dłoń, która zastygła na jego policzku. Spojrzał w górę, na twarz uśmiechniętego chłopaka w dreadach. Musi być zajebiście tak się niczym nie przejmować, pomyślał.

– Wczoraj mi proponowałaś... – zaczął.

– Wciąż aktualne – potwierdził Floyd, nawet nie czekając, aż Ryan skończy. – To zamknij interes. I tak chyba teraz bardziej straty przynosi niż zyski. Prąd tylko marnujesz.

Ryan wiedział, że mu się jutro za to oberwie od dziadka, a potem jeszcze od matki, gdy ta wróci z pracy, ale się nie przejmował. Jakoś tak niczym się nie przejmował. Od przyszedłego tygodnia miał zacząć chodzić do nowej szkoły. Tak zdecydowała Jennifer Norton. Normalnie by się buntował. Później, gdy już przekonałby się, że to nieuniknione, obgryzałby paznokcie ze stresu. Teraz zaś było mu to zupełnie obojętne. Zamknął więc sklep i ruszył opustoszałymi ulicami za Floydem. Nawet nie pytał, gdzie właściwie idą i co będą robić.

Chłopak zaprowadził go do opustoszałego, rozległego budynku. Bardziej willi niż zwykłego domu. Żeby dostać się na posesję, musieli przecisnąć przez wąską szparę, którą tworzyła odgięta, rozcięta, metalowa siatka ogradzająca teren. Dom był opuszczony już od dłuższego czasu. Wskazywały na to chociażby dykty w oknach pozbawionych szyb oraz łuszczący się niczym naskórek poszarzały tynk.

Weszli do środka, wprost do rozległego pomieszczenia, które musiało kiedyś stanowić salon. Teraz nie było tu mebli, a z parkietu pozostały tylko pojedyncze fragmenty desek. Pewnie bezdomni je spalili, aby się ogrzać. Teraz ich tu nie było. Gdy Ryan o to zapytał, Floyd z uśmiechem odparł, że teraz to miejsce przejęła „nowa fala”. Przewrócił oczami. Nawet nie pytał, co niby miało to znaczyć. Nie interesowało go to.

Na pierwszym piętrze, na które wspięli się po kręconych schodach, czekała na nich dwójka nastolatków. Chłopak i dziewczyna. Ryan od razu uznał, że to rodzeństwo, najpewniej bliźnięta. Mieli podobne, zresztą niezbyt atrakcyjne, rysy twarzy i włosy pofarbowane we wszystkie kolory tęczy.

Rozejrzał się po pokoju.

– Graffiti? – zdziwił się.

Na ścianach widniało kilka wykonanych sprayem malunków. Bardzo pedantycznych i wielobarwnych. Nie miał problemu z rozpoznaniem jednego z krajobrazów. To była łąka nad pobliską rzeką, gdzie w lecie często pary wybierały się na spacer. Niedawno wybudowano tam parking.

– Nie obrażaj człowieka – wypaliła dziewczyna, chociaż w jej głosie dało się wyczuć jedynie rozbawienie. – To sztuka, a nie wandalizm.

Floyd bez ostrzeżenia uwiesił się na ramieniu Ryana i podsunął mu puszkę sprayu.

– Chcesz coś namalować? – spytał, palcem wolnej dłoni odciągając kołnierz jego bluzy, by następnie pocałować go w odsłonięty fragment skóry.

– Co niby? Poza tym nie umiem rysować – odparł Ryan, ignorując tamten gest.

– To akurat nie ma znaczenia. Cokolwiek. – Floyd popukał puszką w jego klatkę piersiową. – To, co podpowiada ci serce.

Od razu w wyobraźni Ryana pojawił się orzeł z rozpostartymi skrzydłami kołujący w przestworzach. Zupełnie wolny i niczym nieograniczany. Pan swojego życia.

Orzeł. Atsah.

– Nic nie chcę – odparł, nagle znów smutniejszy. Wyplątał się z uścisku chłopaka. Usiadł pod ścianą. – Ale popatrzę, jak będziecie pracować.

Floyd potrząsnął głową i wygrzebał ze swojego plecaka dodatkową maskę. Rzucił ją w stronę Ryana, który najwyraźniej znów zatapiał się w swoich ponurych myślach.

– Dupa ci tak odmarznie na tym betonie. Chodź, będziesz wypełniał pola kolorem.

Przed początkiem pracy wypalili po jednym. Skończyli zaś po kilku godzinach. Teraz na jednej ze ścian widniał portret Debbie Harry** w przejawskrawionych kolorach. Ryan załapał, o co chodziło Floydowi z tą „nową falą”.

Bliźniacy dość szybko się zmyli. Teraz zostali tu tylko we dwójkę. Maską wisiała Ryanowi na szyi. Chociaż szyby w oknach były wybite, w powietrzu wciąż

unosił się drażniący zapach lakieru. Uznał, że udało im się oddać magię wyglądu Debbie, a potem spojrział na ścianę obok, na której namalowany był krajobraz.

Floyd teraz go uzupełniał. Stał na taborecie i domalowywał coś małego na błękitnym niebie. Jakiś cień. Gdy skończył, zeskoczył na podłogę i uśmiechnął się do Ryana. Miał bardzo łagodną w wyrazie, ale przystojną twarz. Niebo na malunku przecinał teraz orzeł. Znajdował się bardzo daleko, wysoko, więc był tylko ciemną plamą. Jednak to niezaprzeczalnie był orzeł.

Floyd odrzucił maskę i puszkę sprayu na podłogę, a potem podszedł do Ryana. Przetarł delikatnym gestem jedno z jego przymrużonych oczu, mimo że chłopak nie płakał. Później złączył ich usta w pocałunku.

Ryan zastanawiał się tylko chwilę. Chwycił Floyda za ramiona i przyciągnął go bliżej do siebie. Chłopak rozpiął mu bluzę i nachylił się, aby pocałować go w miejsce, gdzie zaczynała się szyja. Ryan uniósł podbródek i oparł go na dredach Floyda, które pachniały dymem i cytrusami. Jego wzrok znów padł na rysunek orła kołującego wysoko na niebie.

Uznał, że najlepiej będzie zapomnieć. Postanowił się więc oddać temu chłopakowi, bo najwyraźniej go chciał.

Atsah siedział na łóżku i patrzył na nocne niebo przez okno, którego nie dało się od wewnątrz otworzyć. Myślał o Ryaniu. O tym, czy sobie poradzi. Martwił się. Doszedł jednak do wniosku, że na pewno tak. Miał przecież rodzinę. I miał Pocahontas. Ona była silna. Miała niezłomnego ducha. Prawie jak indiański wojownik. Na pewno będzie dla Ryana wsparciem.

Wszystkie nieszczęścia ściągnął na rodzinę Ryana jego wujek. Atsah uznał, że mężczyzna zrobi wszystko, żeby odciągnąć niebezpieczeństwo od swoich krewnych. On sam by tak uczynił, nawet jeśli miałby poświęcić siebie. Uznał więc, że o Ryana nie musi się martwić. Chciał tylko, aby był szczęśliwy.

Później zaczął myśleć o kocie, małym przybłędzie, dla którego razem zrobili w lesie z drewna miejsce do spania w postaci drewnianej skrzynki. Ryan śmiał się, że wygląda jak buda dla psa. Pewnie ojciec nie zajmie się kotem i nie będzie go karmił. Noce wciąż były chłodne, więc mógł się przeziębć.

Atsah pomyślał, że byłoby miło, gdy Ryan zaopiekował się małym, bezdomnym kotkiem. Potem położył się na niewygodnym, za krótkim dla niego łóżku i zasnął.

*Chodzi o piosenkę, którą Santa Boy nagrał podczas rozstania z Saszą -> "Life is Cheap", rozdział 6.

**Debbie Harry – wokalistka punk-rockowego zespołu „Blondie”, który szczyt popularności przeżywał w latach osiemdziesiątych.

Rozdział 9

On jako jedyny od razu wiedział, gdzie udał się Dacnis, nikogo o tym nie informując. Opuścił szpital, jeden dzień spędził w swojej posiadłości, przez większość czasu siedząc na balkonie i gapiąc się w przestrzeń, a następnego zniknął. Nie poinformował przy tym nikogo, gdzie się wybiera. Nie wziął też ze sobą obstawy. Właściwie wymknął się po kryjomu ze swojej własnej posiadłości. Jego ludzie byli naprawdę wzburzeni, a wtedy stawali się agresywni. Zazwyczaj reagowali tak na nieobecność swojego szefa, a po ostatnich wydarzeniach napięcie sięgnęło wręcz zenitu.

Johnny z boku obserwował, jak biegają po posiadłości, kłócą się i ciągle gdzieś wydzwanają. Gdy był pewny, że nikt inny ich nie usłyszy, zapytał jednego z młodszych członków gangu, świeżaka, gdzie uczy się Mira. Zastanawiał się, czy Falco też wiedziałby, gdzie udał się Dacnis. Na pewno, odpowiedział sam sobie. Tylko on by za nim nie ruszył. Bo nie mógł. Musiał udawać, że nie wie. Taki był jego świat. Johnny mógł.

Dotarcie do prywatnej placówki blisko centrum miasta zajęło mu sporo czasu. Dziś był dzień wolny od zajęć, ale na boisku odbywał się trening szkolnej drużyny piłki nożnej. Trenera nigdzie nie było widać. Johnny był przygotowany na to, że będzie musiał jakoś zdobyć w szkole jego adres domowy. To nie wydawało się jednak konieczne.

Szkoła była rozległa, ale część sportowa z halami, szatniami i prysznicami pod względem architektonicznym wyraźnie odcinała się od reszty zabudowań. Właśnie tam udał się Johnny. Pokonał masywne drzwi i rozglądnął się po szerokim korytarzu. Uznał, że zacznie od pokoju przeznaczonego dla nauczycieli. Ruszył wzdłuż korytarza w jego poszukiwaniu. Coś jednak przykuło jego uwagę, mianowicie lekko uchylone drzwi do jednej z sal sportowych. Podszedł do nich i pchnął je lekko, mając nadzieję, że nie zaskrzypią. Nie zrobiły tego.

Nie zauważono go. Pomyślał, że mógłby tu równie dobrze wpaść z bronią i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Strzeliłby do nich, a mężczyźni umarliby w objęciu

kochanków. Kochanków, parsknął w myślach. Powinien przerwać to natychmiastowo, aby później Dacnis nie miał jeszcze więcej do żalowania, ale coś go powstrzymało. Nie zwrócił w ogóle uwagi na tego drugiego. Patrzył na Dacnisa oddającego się mężczyźnie. Szukającego w nim zapomnienia i ulgi. Jest piękny, przeszło mu przez myśl. Nie mógł znaleźć lepszego słowa. Ta myśl towarzyszył mu już od dawna. Objawiała się chociażby wtedy, gdy przyglądał się Dacnisowi, który często z balkonu swojego domu z przymrużonymi oczami i melancholijnym wyrazem twarzy patrzył na szarzynę rozciągającą się u dołu. Był za piękny dla świata, w którym przyszło mu dorastać i żyć.

Nie musiał nic mówić, ani robić. Nieświadomie docisnął mocniej klamkę, a ta wydała skrzypiący dźwięk. Gdy go zauważył, na twarzy mężczyzny, nauczyciela wychowania fizycznego, zagościło coś, czego Johnny nawet nie umiał określić. Przerazenie nie było wystarczająco mocnym słowem. Trener porwał swoje ubrania, zapominając o butach i rzucił się ku drzwiom na drugim krańcu sali ćwiczeń. Po zaledwie kilku sekundach już go nie było.

Dacnis nagi siedział na boisku do koszykówki. Jego smukła sylwetka odbijała się w wypolerowanej podłodze. On się w ogóle nie wstydził. Spojrzał swoimi wąskimi i lekko skośnymi oczami na Johnny'ego, który zdążył już wejść do sali. Jego mina zdawała się nie wyrażać niczego.

– Przerwałeś w najlepszym momencie – powiedział po chwili ciszy między nimi, uśmiechając się przy tym.

W Johnnym coś drgnęło. Pokonał dzielący ich dystans i uderzył Dacnisa otwartą dłonią w twarz. Głośny odgłos mocnego policzka odbił się echem w wielkiej hali, w której byli tylko oni.

– Przestań!

– Co takiego? – zapytał Dacnis wciąż wyjąłowym z emocji głosem, jakby sytuacja sprzed chwili nie miała miejsce.

– To! – zdenerwował się Johnny. Zrobił młynek ramionami. – To! To nie ukoi twojego bólu. Płacz, nienawidź albo krzycz! Albo, jeśli ci to pomoże, zemścij się. Cokolwiek, co przyniesie ci ukojenie.

Upadł przed nim na kolana.

– To moja wina! To przeze mnie nie żyje. Powiedziałem ci to. Przyznałem się, ale ty wiedziałeś i bez tego, prawda? I po prostu kazałeś mi iść do domu i się umyć. – Parsknął śmiechem. – Nie możesz być aż tak dobry.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pistolet i położył go na podłodze między nimi.

– Zabij mnie, jeśli ci to pomoże.

Pamiętał jak dziś, kiedy Dacnis przyjął go po raz pierwszy pod swój dach. To było lata temu. Od niedawna przebywał w Brazylii. Dacnis zawsze utrzymywał, że jest jego dłużnikiem, bo uratował jego córkę. Ci którzy to słyszeli, jego podwładni, pewnie wyobrażali sobie, że Johnny ochronił ją przed ludźmi z wrogiej grupy. A Dacnis pozwalał im tak myśleć, przez co Norton w ich oczach zasługiwał na pewien szacunek. Jednak tak nie było. On po prostu chwycił dziewczynkę, która chciała wejść na ruchliwą ulicę, gdy było czerwone światło. To wszystko. Jednak dla Dacnisa było to wystarczająco dużo, aby być mu wdzięcznym i dać schronienie, a później przyjąć go po raz drugi, gdy psy były tuż za nim.

On był zbyt dobry dla świata, w którym przyszło mu żyć. Zaś otaczający go ludzie byli zbyt gruboskórni, aby go zrozumieć. Falco także. Johnny nachylił się i spojrzał prosto w oczy Dacnisa, który odwrócił wzrok. Chciał się podnieść, a drugi mężczyzna złapał go za dłoń i mocno ścisnął, zmuszając do pozostania w miejscu. Dacnis zasłonił oczy.

– Nie radzę sobie w byciu sam – wyznał po przedłużającej się chwili ciszy.

Johnny wciągnął głęboko powietrze. Znowu stawał się w tej samej roli, ale tym razem nie zamierzał uciekać. Ściągnął z siebie koszulę, pod którą miał jeszcze podkoszulek i okrył nią ramiona Dacnisa.

– Nie jesteś. Masz przecież Mirę.

– Mirę – powtórzył Dacnis. Siedział ze spuszczoną głową. Nie chciał, żeby jego widzial twarz była widoczna. – Tak, mam Mirę. To moje największe szczęście, ale zacząłem spotkać się z jej matką z zupełnie innym zamiarem. Nie chciałem zawieść Falco. On od zawsze podążał za mną. Odkąd byliśmy szczeniakami. Przejąłem schedę po ojcu i robiłem wszystko inne, aby zawsze patrzył na mnie w ten samo sposób. Bo tego ode mnie oczekiwał. Wiem, czego oczekiwałby ode mnie teraz. Aby go

pomścił. Dlatego odesłałem Mirę. Tego oczekują ode mnie moi ludzie, tego oczekiwalyby ode mnie Falco... Ale ja nie umiem znaleźć w sobie tyle siły. I wiem, że to nie da mi satysfakcji, której ode mnie oczekują. Codziennie patrzę na świat, w którym się narodziłem i który jest teraz należy do mnie i wiem, że ci ludzie przemierzający ulice faweli by mnie nie zrozumieli.

Zaśmiał się i pociągnął nosem.

– Co ja w ogóle bredzę? – parsknął przez łyzy.

Johnny nachylił się i przytknął ich czoła do siebie. Objął mężczyznę ramionami. W jego sercu pierwszy raz w życiu zrodziło się naprawdę mocne postanowienie. Pierwszy raz w życiu naprawdę mu na kimś zależało. Wiedział, że był jedyną osobą, której Dacnis mógł się wypowiedzieć, bo on nie należał do tego świata. To była wielka odpowiedzialność, ale jej ciężar na barkach mu nie przeszkadzał. Chciał tego.

Pomyślał o tym, co Dacnis powiedział w szpitalu, rozmawiając z Ahigą. O oceanie, jego głębinach, które na moment dawały wolność, by zaraz potem odebrać ją na wieczność. Była jednak jeszcze druga możliwość. Gdy spojrział w bok, za wielkimi oknami sali gimnastycznej rozciągały się błękitne przestworza. Można było wznieść się zupełnie jak orzeł. Jak *atsah*, przeszło mu przez myśl. Tak chyba miał na imię przyjaciel jego bratanka. Pamiętał go wyraźnie, bo strasznie przypominał mu młodego Ahigę.

Zostawił ich wszystkich. Teraz jednak się nie wahał. Nie wiedział dlaczego. Nawet nie próbował tego zrozumieć.

Chwycił Dacnisa za podbródek i uniósł jego twarz.

– Kim jest matka Miry? – spytał. – Nie mieszka w getcie, prawda? Wtedy nie odesłałbyś do niej Miry.

– To córka zamożnego polityka.

Johnny kiwnął głową. Myślał o tym, co powinni zrobić. Odesłanie Miry miało zapewnić dziewczynce bezpieczeństwo. Tylko o to chodziło. Dacnis nie chciał, aby wpadła w ręce Ahigi, gdy ten zaatakuje, a to na pewno się stanie. Jego ludzie pewnie sądzili, że to część przygotowań do walki, zemsty na Hetfieldzie i Barbosie, któremu podlegał, za zabicie Falco. Dacnis na pewno był świadomy, że tego od niego oczekują,

ale Johnny nie widział teraz tego w jego oczach. Pytanie, które od pierwszego spotkania zaprzętało mu głowę, znów wypłynęło na wierzch w kotłowaniu jego myśli:

– Dlaczego w ogóle przejąłeś gang po ojcu? – spytał, chociaż to nie było na to czas.

Dacnis uśmiechnął się krzywo. Dobrze rozumiał, o co chodziło Johnny'emu. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale zawsze wydawało mu się, że on rozumie go znacznie bardziej niż otaczający go ludzie. Nawet Falco. Może przez to, że pochodził z innego świata. Nie tak brutalnego.

– Bo wyobraziłem sobie, że zmienię ten świat – parsknął. – Wiesz, że większość ludzi tutaj nie potrafi czytać? Chłopcy od najmłodszych lat przyglądają się, jak ich ojciec katuje matkę, a później sami robią to swoim kobietom. Bo nawet nie wiedzą, że można inaczej. Nie znają innego świata. Dziewczynki kupczą swoją niewinnością, bo nauczyły się, że nie mają nic więcej, co miałyby jakąś wartość. Mój ojciec tego nie widział, bo też był taki jak oni. Bo też miał klapki na oczach. A mnie się zdawało, że widzę więcej i przez to mogę poprawić los tych ludzi. Wiesz, że dzielnice nędzy nie istnieją na oficjalnych mapach Rio? To dwa nienawidzące i gardzące sobą światy. Ale ja miałem wizję, że je połączę. Nawiązałem kontakt z władzami. Zgodzili się zbudować kanalizację i finansować szkoły, jeśli tylko mieszkańcy będą współpracować. I wiesz co? Jedna, starsza kobieta, która spędziła w getcie całe życie, której ojciec jej dzieci wydłubał oko, napłuła mi w twarz i nazwała mnie zdrajcą. Wtedy przestałem już być naiwny.

Johnny teraz przestał się nie wahać. Sam wstał, a Dacnisa chwycił za ramię, aby pomóc mu się podnieść. Podał mu ubranie. W głowie spróbował sporządzić plan. W ucieczkach był akurat bardzo dobry. Musieli zniknąć, zanim Ahiga się we wszystkim połapie.

Pocahontas przeszło przez myśl, że powinna sprawdzić, czy w jej żyłach naprawdę nie płynie indiańska krew. Znalezienie miejsca, gdzie przebywał Ryan nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Z obojętną z pozoru miną, która towarzyszyła jej przez większość czasu, patrzyła na starą, opuszczoną willę. Sprawdziła, czy nie nadjeżdża

żaden samochód i przeszła przez ulicę. Po chwili znalazła się na zaniedbanej posesji. Przed wejściem do domu poprawiła włosy, które zaczepiły jej się o stalową kratę, gdy przeciskała się przez uszkodzone ogrodzenie. Dlaczego to zawsze spada na mnie? – sapnęła w myślach. Uznała, że matkowanie to naprawdę ciężki kawałek chleba.

– Zastanawiam się, co jeszcze musiałbyś odwalić, abys mógł stać się w moich oczach jeszcze bardziej żaloszny – powiedziała, jednocześnie butem szturchając nogę chłopaka. – Nic nie przychodzi mi do głowy, a wyobraźnię mam bujną.

Pierwszy obudził się Floyd. Odgarnął dredy z czoła i posłał stojącej nad nimi dziewczynie mgliste, rozkojarzone spojrzenie. Najwyraźniej wyrwała go ze snu. Nie czuła się bynajmniej winna. Floyd chyba zamierzał coś powiedzieć, ale mu na to nie pozwoliła. Sam też nie bardzo był w stanie wydobyć z siebie coś wyartykułowanego. Suchy język przywarł mu do podniebienia.

– Spadaj – rzuciła do niego Trish i była to cała uwaga, jaką mu przeznaczyła.

Odprowadziła go kpiącym spojrzeniem.

– I czym ci zaimponował? – spytała Ryana, który wciąż oczy trzymał kurczowo zamknięte. – Zdradź mi, bo jestem zabójczo wręcz ciekawa. Chciałeś, żeby ktoś cię poklepał po plecach i powiedział, że wszystko będzie w porządku? Trzeba było przyjść do mnie. Zrobiłabym to za darmo. Nawet nie musiałbyś najebany dawać mi dupy. Łaskawa jestem, nie? Docień to.

Nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Zwłoki na starym, zdezelowanym łóżku nawet się nie poruszyły. Nie widziała jego twarzy, bo Ryan miał ją wciśniętą w koc. Może liczył na to, że w końcu sobie pójdzie? Pocahontas uśmiechnęła się wręcz sadystycznie. No to się przeliczył. On też musiał to zrozumieć, bo w końcu Trish usłyszała ciche „Idź sobie” wypowiedziane rozeźlonym, ale równie zrezygnowanym głosem.

– No dobra.

Ryan wreszcie otworzył oczy i spojrzał zdezorientowany na dziewczynę stojącą nad nim. Spodziewał wszystkiego, a przede wszystkim dalszej reprimendy, ale nie tego, że mogłaby ot tak odpuścić.

– Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej... – kontynuowała Trish, sięgając przy tym po coś, co miała pod kurtką. – Tylko teraz co z tym?

Na wyciągniętej dłoni trzymała za skórę na karku małego kotka. Ryan nie miał najmniejszych problemów z rozpoznaniem go.

– Skąd go masz?

– Akurat przechodziłam koło tej rudery starego Atsah. Nie wiem, skąd mnie zna, ale mnie zawołał. Powiedział, że albo zabiorę tego obszcymurka ze sobą albo wypieprzy go do lasu, bo wkurwia go jego ciągle miałczenie pod drzwiami. Raczej go nie karmił.

Ryan spojrział na kotka, który rzeczywiście nie wyglądał najlepiej. Może nawet był chory. Po prostu zwisał jak bezwładny kawałek szmaty trzymany przez Trish. Ryan zacisnął spierzchnięte wargi. Znowu wszystko mu się przypomniało, a wczoraj zdołał na chwilę zapomnieć.

– Wzięłabym go, ale moja mama ma uczulenie. Oddam go do schroniska. Chciałam ci tylko powiedzieć.

Palcem pogłaskała kotka między uszkami i schowała go z powrotem pod kurtkę. Nie obdarzając Ryana chociażby jeszcze jednym deprymującym spojrzeniem, ruszyła ku drzwiom. Chłopak patrzył za nią, nie mogąc się zdecydować. Wczoraj było mu tak nijako. *Nijako* było najlepszym stanem, w jakim przebywał od dłuższego czasu. Nie brzmiało dobrze, ale na nic lepszego nie mógł liczyć. I chciał już tak zostać. Nie miał siły już myśleć.

– Ja go wezmę – rzucił jednak cicho, powstrzymując Pocahontas przed opuszczeniem pokoju.

– Nie umiesz zająć się nawet sobą.

– Daj mi go, kurwa! – wybuchnął niespodziewanie Ryan. W jego głosie czuć było desperację.

– No wreszcie jakieś życie! – ucieszyła się Trish. – Ubierz się, mamy sporo do obgadania.

Dwadzieścia minut później siedzieli na ławce w parku. Teraz to Ryan trzymał kotka, który w najlepsze spał, pod kurtką. Dłonie ogrzewali sobie papierowymi kubkami z kawą z pobliskiej kawiarni. Pierwsza odezwała się Pocahontas.

– On cię nie znienawidzi za to, że ty jesteś tu, a on tam. Sam podjął taką decyzję. Nie znienawidzi cię nawet za to, co dzisiaj zrobiłeś. Będzie miał do ciebie żal, tylko jeśli spieprzysz sobie życie. Chyba to wiesz?

– To co mam robić? – spytał Ryan, a jego głos zadrżał wyraźnie.

– Nie wiem – odparła Trish. – Nie jestem wyrocznią. Po prostu nie okaż się takim gównem jak twój wujek.

To był śmiech przez łzy, ale ostatnie zdanie naprawdę rozbawiło Ryana.

– To nie wydaje się trudne do osiągnięcia – skwitował.

– No raczej – prychnęła Pocahontas.

Klepnęła Ryana w kolano i podniosła się z ławki. Oparła dłonie na biodrach.

– To wiesz, co masz zrobić? – rzuciła, uśmiechając się szeroko.

– Nie spierdolić tego?

– No właśnie.

Zostali sami. Ryan pogłaskał główkę kotka, która wystawała spod jego bluzy. Chyba rzeczywiście był chory, bo miał lekkie dreszcze. Pierwszy raz od dłuższego czasu Ryan wiedział, co ma zrobić. Najpierw pójdzie do weterynarza, a potem wróci do domu, aby dostać opieprz od dziadka za zamknięcie sklepu ubiegłej nocy. Włączył telefon. Miał na nim trylion nieodebranych połączeń i wiadomości tekstowych od dziadków i matki.

A później napisze list.

Gdy obudził się rano, był w łóżku sam. Od razu coś wywołało w nim uczucie niepokoju. Usiadł i rozejrzał się po pokoju. Coś było wyraźnie nie tak. Przez dłuższą chwilę nie potrafił skonkretyzować, co obudziło w nim takie przeświadczenie. Torba. Brakowało podręcznej torby, która jeszcze wczoraj leżała pod stołem rzucona tam byle jak.

Cherubin szarpnął górną szufladę nocnej szafki, która stała przy łóżku. Zobaczył w środku to, czego się obawiał. Pustkę. Nie było pistoletu Ahigi ani pudełka z nabojami. Wiedział, co to znaczyło.

Ubrał się pośpiesznie i wypadł z pokoju. Został zatrzymany tuż po przekroczeniu progu.

– Puszczaj! – warknął do dryblasza, który trzymał go za ramię w stalowym uścisku, i bezskutecznie spróbował się wyswobodzić.

– Nie szarp się tak, aniołku. Szef kazał ci zostać w pokoju, a nam mieć na ciebie oko.

– Gdzie on jest?!

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Chyba w końcu postanowił dokończyć niedokończone – powiedział wyraźnie zadowolony. – Dobrze się spisałeś, dzieciaku.

Rozdział 10

Siedzieli przy okrągłym, wiklinowym stoliku w ogródku modnej wśród turystów restauracji położonej niedaleko centrum miasta. O tej porze, w środku dnia, skąpanymi w ostrym świetle uliczkami przechodziły prawdziwe tłumy. Restauracja także była wypchana po brzegi klientami. Każdy stolik w środku budynku oraz w ogródku był zajęty. Z każdej strony obserwowały ich setki par oczu, dlatego wybrał to miejsce na spotkanie.

Jack Hetfield nie dał poznać po sobie żadnych emocji. Palił nieśpiesznie papierosa wygodnie oparty o wiklinowe wsparcie fotela wyścielonego czerwonymi poduszkami. Jego ruchy można wręcz było określić jako nonszalanckie. Nie chciał tego pokazać, ale w jego głowie wiele się działo. Do jego myśli wciąż na nowo powracało zdjęcie, które siedzący naprzeciwko mężczyzna pokazał mu parę chwil temu. Jeśli rzeczywiście było zrobione przed paroma godzinami, to najprawdopodobniej ten rudy, piegowaty idiota był bezpieczny.

Tylko na jak długo? – pomyślał Jack, unosząc wzrok na swojego rozmówcę. Choć może to określenie, "rozmówca", nie było najtrafniejsze, bo siedzieli tu już dobry kwadrans, a wymienili przez ten czas najwyżej kilka zdań. Ahiga Ledger był graczem z najwyższej półki. Należało założyć, że zdolnym do takiego samego okrucieństwa jak chociażby szef Jacka, Barbosa, a przy tym znacznie bardziej inteligentny i wyważony w swoich działaniach, gdy wymagała tego sytuacja. A teraz chciał czegoś od niego, ale nie straszył, nie żądał, a proponował coś w zamian. Na razie nęcił, a nie straszył. Proponował za współpracę coś, a raczej kogoś, na kim bardzo Jackowi zależało. I jak właśnie się okazało, uczucie to nie malało pomimo upływu czasu.

Jack Hetfield był zbyt dumny na to, aby czuć wzdęłość wobec samego siebie, ale jednocześnie wszystko to, co uważał za swoje słabości, uwierało go znacznie bardziej niż przeciętnego człowieka. Nie umiał nad nimi przejść do porządku dziennego. A gdyby jeszcze Barbosa dowiedział się, jak bardzo jego podwładny przejmował się losem piegowatego szczeniaka, którego kiedyś posuwał... To pewnie najpierw by się

roześmiał i nazwał go żalonym, a potem odstrzelił mu głowę, bo nie potrzebował w swojej grupie pedała.

– Może przejdziemy już do sedna? – zaproponował, gdy jego galopujące myśli obrały najbardziej nieprzyjemny z kierunków. – Mój drink zrobił się już obrzydliwie ciepły.

– I co? Koks tak źle schodzi, że macie problemy z wypłacalnością? – parsknął w odpowiedzi Ahiga. – Ja mam zamówić ci kolejny? Chyba nie przyszedłeś tutaj z podejrzeniem, że to randka?

Wydawał się być w bardzo dobrym humorze. Jack Hetfield nie znał go, widział go w końcu pierwszy raz w życiu, ale dziwnie pasowało mu słowa „rześki”. Tak, Ahiga Ledger wydawał się rześki i na coś zdecydowany.

– Fajną tu macie kuchnię i takie bezstresowe podejście do życia – kontynuował gangster – ale trochę za duszno. Chciałbym już wrócić do domu, ale wcześniej muszę zakończyć sprawę, przez którą tu przyjechałem. Jeśli mi pomożesz, oddam ci dzieciaka. Całego i zdrowego.

Jack uśmiechnął się kącikiem ust. Gangsterzy stąd działali inaczej. Kiedy grozili, od razu przystawiali do krtani zardzewiałe ostrze, które nabiegało krwią. Albo przystawiali lufę do głowy.

– A jeśli nie? – spytał.

– Jesteś za ładny na to, abyś usłyszał odpowiedź. Jeszcze się pomarszczysz i będzie wielka szkoda.

Głupi żart, ale Jack nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wreszcie mógł porozmawiać z kimś na poziomie, nie musiał przy tym uważać na każde słowo i reakcję, jakie ono wywoła. Zaraz jednak jego mina zrzędła. Pomyślał o tym, co się stanie, jeśli Josh rzeczywiście do niego wróci. Dzieciak przecież uciekł od niego przez rzeczy, które robił, aby wdrapać się na szczyt hierarchii w gangu Barbosy. Paskudne rzeczy. Teraz miał już od tego ludzi. Nie brudził sobie tak często rąk, ale nadal musiał grać swoją rolę.

To nie tak, że teraz ukrywał swoje preferencje. Spotykał się z jakimiś chłopakami z faweli, ale tu role były jasno ustalone, a granice nie do przekroczenia.

Josh zaś nie był dziwką i Jack nie zamierzał go tak traktować, nawet jeśli tylko dla utrzymania pozorów.

– Mogę wam załatwić powrót do Stanów – powiedział nagle Ahiga.

Jack przyjrzał mu się uważnie. Nie mógł uwierzyć w to, że był aż tak łatwy do przejrzenia dla tego mężczyzny. Czy emocje aż tak wyraźnie grały na jego twarzy? Przecież ten głupi, rudy dzieciak nie znaczył dla niego aż tak wiele.

– Jestem poszukiwany – przyznał jednak.

Ahiga wzruszył ramionami.

– To nie problem – stwierdził. – Właściwie, to jest problem, ale mam dobry humor. Pozwolę wam na nim skorzystać. Załatwię wam obu nową tożsamość, ulokuję was w innym stanie, najpewniej po przeciwnej stronie kraju. Na jakiś czas będziecie się musieli ukryć, później też bez szaleństw. Lepiej, żeby was w telewizji nie pokazywali, ale żyć będzie mogli, jak chcecie.

– Nie rozumiem dlaczego. To duże...

– Powiedziałem, że mam dobry humor – uciał Ahiga – a ty możesz na tym skorzystać. Musisz mi tylko pomóc.

Jack Hetfield wypuścił głośniej powietrze przez nos. Czuł lekką frustrację. Nie lubił, gdy ktoś mu rozkazywał. Przypominał mu się wtedy jego ojciec, Benjamin Hetfield. Człowiek, którego nienawidził najbardziej na świecie.

– Więc o co chodzi? – spytał jednak.

– Potrzebuję dostać się do siedziby Dacnisa. Mam dwa cele. Jednym jest człowiek o takim samym tatuażu... – Ahiga podciągnął rękaw, odsłaniając złotozielonego węża.

– Johnny.

Ahiga popatrzył na blondyna zdziwiony.

– Więc go spotkałeś? – zapytał.

– Spotkanie nie zrobiło na mnie szczególnego wrażenia.

– Nie dziwię się.

Jack zmrużył swoje zielone oczy, skupiając wzrok na twarzy siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Chciał dojrzeć na niej nawet najsłabsze cienie emocji, gdy padną kolejne słowa z jego ust.

– Kazałem mu zakopać swojego kompana. Najbliższego człowieka Dacnisa – wyjawiał. – Ja też miałem wtedy dobry humor, więc oszczędziłem twojego drogiego Johnny’ego. Chociaż byłem bardzo bliski podjęcia innej decyzji. Naprawdę nie przypadł mi do gustu.

Ahiga wygiął usta w podkowę w parodii zasmucenia.

– To wielka szkoda – powiedział. – Nie siedzielibyśmy tu teraz. Chociaż muszę przyznać, że wolę własnoręcznie pociągnąć za spust. Mam nadzieję, iż teraz to się spełni.

Nie kłamał, uznał Jack, przyglądając mu się uważnie. Naprawdę chciał śmierci tego całego Johnny’ego. Gardził nim i go nienawidził.

– A drugi cel? – spytał.

– Z rąk ludzi Dacnisa zginął mój człowiek.

Jack kiwnął głową. Więcej słów nie było potrzebnych.

– Krew za krew – rzucił jakby w powietrze.

– Widzę, że się rozumiemy.

– Chyba trochę za wcześnie na takie wnioski – sprzeciwił się jednak Jack. – Parę rzeczy mnie zastanawia. Po pierwsze, dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Barbosa do dawna ma chrapkę na tereny Dacnisa. Nie miałbyś problemów z namówieniem go do współpracy, szczególnie jeśli zależy ci jedynie na zemście i wszystko oddałbyś jemu.

Ahiga nie odpowiedział od razu, przywołał za to gestem kelnera i zapytał, czy można tu zamawiać dania na wynos. Gdy otrzymał potwierdzającą odpowiedź, poprosił o dostarczenie mu karty z deserami.

– Nie interesują mnie wasze lokalne porachunki – zwrócił się do Jacka, gdy ponownie zostali przy stoliku we dwójkę. – Nie mam ochoty się w to mieszać, ani stawać po którejś stronie. Mój cel jest jasny i ściśle określony. No i jestem już zmęczony ciągłym użeraniem się z prymitywami, a niestety to środowisko jest nimi przesiąknięte. Zgłosiłem się do ciebie, bo orientujesz się w tym świecie, a jednocześnie nie jesteś stąd. Liczyłem na to, że podejmiemy współpracę na cywilizowanych zasadach.

Wrócił kelner, aby podać mężczyźnie bogato zdobioną kartę z menu. Ahiga skupił się na niej, najwyraźniej dając Jackowi czas na przemyślenie swojej propozycji. Nie trwało do dłużej niż ułamek sekundy.

– Dobrze.

Ahiga uniósł wzrok znad karty.

– To dobrze.

Mogli sobie pilnować drzwi wejściowych do apartamentu swojego szefa, ile tylko chcieli. To nie powstrzymało Cherubina. Właściwie nie wiedział do końca, po co to robił. Mógł po prostu siedzieć na dupie i czekać na powrót Ahigi, to było zapewne najrozsądniejsze rozwiązanie. Mógł, to prawda, ale nie byłby sobą, gdyby tak zrobił. Nienawidził, gdy ktoś mu czegoś zabraniał. A teraz dodatkowo pod nieobecność Ahigi jego psy nie próbowały ukrywać pogardy, jaką wobec niego czuły. Postanowił więc zagrać po swojemu. Trochę mu zajęło zlokalizowanie balkonu pokoju, w którym przetrzymywali rudowłosego chłopaka. Był tylko piętro niżej. Ludzie Ahigi wychodzili na niego, aby zapalić. W sumie naliczył trójkę. Zajęło mu to kilka godzin, ale i tak nie miał nic lepszego do roboty. Zaczekał do czasu, gdy najprawdopodobniej wszyscy wyszli z pokoju i po rynnie zszedł w dół, a potem wskoczył na właściwy balkon. Było prościej, niż się spodziewał.

– Hej, pamiętasz mnie? – odezwał się, zwracając na siebie uwagę chłopaka, który bez ruchu siedział na łóżku odwrócony tyłem do niego.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł przez otwarte drzwi balkonowe do środka pokoju. Wielkie, niebieskie oczy śledziły jego każdy, nawet najdrobniejszy ruch. Poczuł się jak wtedy, gdy odwiedzał schronisko. Wtedy też obserwowały go ślepia należące do stworzeń, które nie potrafiły łatwo zaufać.

– Tak, chłopak z wtedy – odparł Josh, po czym dodał jeszcze ciszej: – z ulicy.

– Ta, z ulicy, na której Shane załatwił tamtego dziada. A teraz Shane’a też już nie ma.

Bez pytania uwalił się na łóżku, na którym siedział chłopak. Położył się na boku i podparł głowę na dłoni. Wyszczrzył się szeroko.

– Widzę, że nudzisz się tak jak ja. Może razem znajdziemy sobie jakąś rozrywkę, co?

Josh spojrział niepewnie w stronę drzwi.

– Możesz w ogóle tu być? – zapytał.

– Mogę być wszędzie, jestem przecież wolnym człowiekiem – odparł butnie Cherubin. – Jestem akurat tutaj, bo mi się nudzi. I to ostatnie miejsce, gdzie te cymbały będą mnie szukać. A Ahiga bardzo się wkurzy, gdy wróci, a mnie nie będzie w apartamencie.

Trzy godziny później grali w kierki kartami, które znaleźli w szufladzie pod telewizorem. Przez ten czas nikt nie zajrzał do pokoju. Dopiero teraz na korytarzu zapanował rumor. Słyszeli odgłosy bieganiny oraz pokrzykiwania po angielsku.

Szukali go.

– Oho, Ahiga wrócił. – Uśmiechnął się Raphael.

Spojrzał na swoje odbicie w naściennym lustrze, aby poprawić włosy. Chciał wyglądać dobrze. Podeszedł do drzwi i uchylił je lekko, aby wyjrzeć na korytarz. Uśmiechnął się bezczelnie na to, co zobaczył. Kilkanaście kroków dalej stał Ahiga i wyglądał na doprowadzonego do granicy. Był naprawdę wściekły. Jeszcze niedawno na ten widok Raphael sikałby ze strachu po nogach. Pamiętał, jak bał się momentów, gdy był wzywany do tego pogrążonego w mroku gabinetu, gdzie za masywnym biurkiem czekało na niego przeznaczenie w postaci tego mężczyzny, który teraz przyduszał do ściany jednego ze swoich ludzi.

Mężczyzna desperacko próbował złapać haust powietrza, ale jego gardło było miażdżone przez przedramię z wytatuowanym złotozielonym wężem, którego Cherubin tak nienawidził. Chłopak obserwował całą scenę z chorą satysfakcją. Rozpознаwał tego człowieka, to on traktował go najgorzej ze wszystkich. Jego spojrzenia, słowa i gesty były przepełnione pogardą. Raz nawet nazwał Cherubina „dziwką szefa”. Chłopak miał ochotę odpyskować mu, że "jeszcze nią nie został, ale nie może się doczekać". Nic jednak nie odpowiedział, bo nie chciał jeszcze bardziej pogorszyć swojej sytuacji.

Czerpał więc satysfakcję z tego, co właśnie widział. Także dlatego, że Ahiga wyglądał na naprawdę wściekłego i przerażonego jednocześnie. To zaś oznaczało, że naprawdę mu zależało. Właśnie na nim, a nie na Johnny'm.

Tego właśnie obawiał się najbardziej. Że Ahiga wreszcie przestał kołować nad zdobyczą jak orzeł i postanowił zaatakować, ale gdy już do niej dopadnie, to się rozmyśli. Bo wróć do niego dawne uczucia, gdy znów spotka Johnny'ego twarzą w twarz. Przebaczy mu i da mu kolejną szansę, będzie chciał przyjąć pod swoje skrzydła. A Johnny zrobi to, co zwykle, czyli znów zachowa się jak tchórz i ucieknie, bo tylko to przecież potrafił.

Uznał, że już czas zakończyć przedstawienie. Wyszedł z pokoju i stanął na środku korytarza.

– Tu jestem – powiedział głośno, przerywając tym samym szarpaninę. – Cały czas tu byłem. Grałem w karty z Joshem. Ta straż pod moimi drzwiami była zupełnie niepotrzebna. Chyba nie podejrzewałeś, że ucieknę?

Ahiga odepchnął od siebie swojego człowieka, a ten zsunął się plecami po ścianie, lądując ciężko na podłodze wyłożonej czerwonym dywanem. Gangster objął swoją szyję, wreszcie mogąc zaczerpnąć powietrza. Załzawionymi oczami podążył za swoim szefem, który momentalnie znalazł się przy tym bezczelnym dzieciaku. Zupełnie, jakby całkiem ozdrowiał.

– Doprowadzisz mnie kiedyś do... – wysyczał Ahiga, stając przed dalej szeroko wyszczerzonym chłopakiem, który najwyraźniej nie zamierzał się przed nim korzyć. Najwidoczniej w ogóle się go nie bał.

Ahiga pokręcił więc jedynie z rezygnacją i jednocześnie rozbawieniem głową. Uniósł wolną dłoń, którą przed chwilą dusił swojego człowieka, by potarnąć farbowane na złoto, postawione na żelu włosy.

– Zapomniałem, że jesteś przecież z kotowatych, a one chodzą własnymi ścieżkami – rzucił.

– Ale zawsze wracają – odparł Cherubin i przymknął ciemne oczy, ciesząc się z pieśczoły.

– Mam nadzieję – przyznał Ahiga. Podał Raphaelowi kartonowe pudełko, które trzymał w drugiej dłoni. – Dla ciebie.

Wyminął zaskoczonego chłopaka, który zastanawiał się, co ma począć z zagadkową paczką, i zajrzał do pokoju, gdzie w głębi siedział jak na szpilkach rudowłosy dzieciak pilnie nasłuchujący tego, co działo się na zewnątrz.

– Dla ciebie też mam prezent – zwrócił się do niego – myślę, że równie słodki... Kurna, strasznie lamersko to zabrzmiało.

Cherubin wybuchnął śmiechem, słysząc ten samokrytyczny komentarz z ust Ahigi. Zaraz jednak ucichł, bo stanął przed nim mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widział. Przypominał mu trochę Johnny'ego. Nie, odwrotnie. To Norton przypominał człowieka, na którego teraz patrzył. A raczej był jego tajwańską podróbką niskiej jakości.

Odwrócił się, gdy usłyszał rozedrgany głos swojego partnera od kart. Josh stał w drzwiach z dłonią przytkniętą do ust.

– Jack.

– Tak. Dawno się nie widzieliśmy, Josh.

Cherubin najchętniej pooglądałby scenę z jak filmowego romansidła w wersji *queer* dłużej, ale Ahiga chwycił go za kołnierz bluzki i pociągnął w stronę windy. Teraz więc siedział na podłodze ich apartamentu i zjadał z zadowoleniem to, co ukazało się jego oczom, gdy otworzył kartonik. Większości egzotycznych bakalii, które wygrzebywał łyżeczką z puszystego ciasta, nawet nie potrafił nazwać.

Ahiga siedział w fotelu i raczył się najzwyczajniejszą w świecie wodą mineralną. Złość chyba już mu całkiem przeszła.

– Więc to już koniec? – spytał Cherubin. – Johnny już...

– Jeszcze się nawet nie zaczęło. Niecierpliwisz się? – parsknął Ahiga. – Rozumiesz, że to oznacza jego śmierć?

Raphael wrzucił szczupłymi ramionami.

– Zasłużył sobie.

Nie padło więcej słów. Wrócił do swojego deseru.

– Wyglądasz na niepewnego – zauważył w pewnym momencie Ledger. – To do ciebie nie pasuje. Gdzie ten bezczelny, dziki dzieciak bez instynktu samozachowawczego?

Raphael uniósł na niego spojrzenie swoich czarnych oczu. Ich poważny wyraz także do niego nie pasował.

– Nie rozmyślisz się – spytał – gdy wreszcie spotkasz się z nim twarzą w twarz? Nie będę tu czekał na marne?

– To śmieszne, że akurat z nas dwóch ty sobie zadajesz to pytanie. Ja nigdy cię przecież nie wypuszczę. Już znalazłeś się w uścisku węża. I jeszcze będziesz chciał się z niego uwolnić tak, jak on chciał, ale ja uczę się na błędach.

Cherubin zastygł z łyżeczką między wargami. Siedząc tak, patrzył przez chwilę na Ahigę. Mierzyli się wzajemnie spojrzeniami w ciszy. W końcu coś się zmieniło, stagnacja została przerwana, gdy usta Raphaela wygięły się w uśmiechu, a w jego ciemnych oczach znów zapłonęły przekorne płomyki.

– To bardzo źle, że mi od tego staje? – zapytał.

Kurczowo ścisnął kierownicę nieprzyjemnie spoconymi dłońmi. Nie wiedział skąd, ale był pewien, że Ahiga za nimi podąży. Czuł to. Nie bawi się dłużej w osaczanie, ale pędzi wprost na nich. Wreszcie zdecydowany. Jeszcze niedawno Johnny nawet nie próbowałby się ratować, po prostu by się poddał. Czuł, że tak powinien zrobić. Latami dręczyły go wyrzuty sumienia i nie miał nikogo, ani niczego, na czym by mu zależało.

Jeszcze jakiś czas temu, ale nie dzisiaj.

Spojrzał w bok, na Dacnisa, który siedział na miejscu dla pasażera z głową opartą o ramę okna, które było otwarte. Przez szczelinę na zewnątrz uchodził smugami biały dym, który rozmywał się w gorącym, nieprzyjemnie wilgotnym tak, jak ciemne, przekrwione oczy, powietrzu. Dacnis palił jednego za drugim i nie były to papierosy, ale próżno było szukać na jego szczupłej twarzy oznak rozbawienia. Cierpiał, chociaż w zupełnej ciszy.

Johnny zastanawiał się, co bolało go najbardziej. Śmierć Falco, zostawienie córki, czy porzucenie tego, czemu poświęcił całe życie? Przez co musiał cały czas udawać. Grać kogoś, kim nie był.

– Hej – spróbował – może...

– Nie traktuj mnie jak kobiety.

Johnny powstrzymał się przed gorzkim parsknięciem. No tak, pomyślał. Kult macho. Początkowo chciał tego nie skomentować, ale to nie mogło dalej tak trwać. Wtedy ta podróż, ta ucieczka od tamtego świata nie miałyby żadnego znaczenia. Żadnego sensu. Zatrzymał się na poboczu, mimo że tak bardzo obawiał się pościgu Ahigi.

Musiał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Nic nie wydawało się odpowiednie. „Wszystko będzie dobrze” nawet nie przeszłoby mu przez gardło. Patrzył na niego, na tę nieruchomą twarz, na te wyjąłowione z życia oczy i czuł ból tego człowieka zamiast niego samego.

Dacnisowi było tak obojętne, że pozwolił się tu zabrać. Porzucił wszystko, co budował. No i co kochał, teraz była to już tylko Mira. Johnny patrzył na niego i zastanawiał się, czy on też tak kiedyś wyglądał. I czy budził w Ahidze takie same uczucia, jak teraz Dacnis w nim.

Nie chciał, nie wymagał niczego od tego mężczyzny. Niczego w zamian. Zależało mu na nim do tego stopnia, że po prostu chciał, aby był szczęśliwy. Bo jego też by to uszczęśliwiło. Nie oczekiwał, że jego własne uczucia zostaną odwzajemnione. Pierwszy raz w życiu zależało mu bardziej na kimś niż na samym sobie.

Powinien coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Odpalił z powrotem silnik i ruszył w dalszą drogę. Wiedział tylko, że Ahiga się spóźnił. Teraz nie mógł już tak po prostu oddać mu swojego życia, aby go uszczęśliwić. Uciekał, ale kiedy nadejdzie czas, będzie walczył.

Rozdział 11

– Hej, umówiliśmy się przecież, że dla niego staniemy się najlepsi na świecie, prawda?

Ryan oparł dłonie o biodra i spojrzał karcąco pod swoje nogi, wprost na małego kotka, który udawał teraz, że nie ma pojęcia, dlaczego znalazł się w centrum zainteresowania. Chłopak pozwolił sobie na jedno westchnięcie, po czym minął plamę moczu na podłodze w przedpokoju, robiąc duży krok i udał się do łazienki po mopa i wiaderko.

Myjąc płytki, myślał o tym, że jak zwykle Pocahontas miała rację. On tak strasznie zjebał, że chyba bardziej już się nie dało. Wstydził się, ale póki technologia na to nie będzie pozwalala, przeszłości nie da się zmienić. Pozostało więc tylko przeć do przodu. I robić to tak, aby być dumnym z każdego kroku. Albo przynajmniej nie żałować ich wykonania.

Po późnym obiedzie wpakował swojego nowego przyjaciela, któremu jeszcze nie nadał imienia, pod bluzę. Na zewnątrz zawitała już wiosna, jednak temperatura wciąż nie należała do najprzyjemniejszych, szczególnie pod wieczór. Trochę obawiał się także, że malec nabawił się jakiejś choroby, bo kichał co jakiś czas, ale termin do weterynarza miał dopiero na jutro.

Nie pamiętał dokładnie, ale był tam chyba tylko jeden raz w życiu. Pomimo tego nie miał najmniejszego problemu ze znalezieniem drogi do domu Atsah. Podwórko, które ukazało się jego oczom, gdy po dłuższym marszu z pomiaukującym kotem pod kurtką dotarł na miejsce, rzeczywiście wyglądało inaczej, niż to zapamiętał. Pocahontas mówiła prawdę. Nie było już zawalone złomem. Przy starym, wręcz proszącym się o remont domu stał teraz jedynie czerwony, obłocony jeep, który musiał należeć do ojca Atsah. Wrednego starucha, który oprócz gratów z podwórka postanowił pozbyć się także drewnianej budy służącej za schronienie dla kota, bo ten za głośno miałczał.

Ryan czuł niesamowite podenerwowanie, gdy wchodził na podwórko. Był jednak zdecydowany. Przeciął je na ukos, nie martwiąc się tym, że depcze po

trawniku. Na gołej ziemi prawie nic nie rośło. Nim wcisnął przycisk dzwonka przy drzwiach wejściowych, przytulił mocniej kota do swojej piersi. Przemknęło mu przez myśl, że musi w końcu nadać mu imię.

Nim drzwi wreszcie się otwały, zdążył już kilka razy użyć dzwonka. Był już blisko zrezygnowania i wrócenia do domu, gdy w końcu w progu stanął ubrany w dresowe spodnie i flanelową koszulę ojciec Atsah. Wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie, niż zapamiętał to Ryan. Nie golił się przynajmniej tydzień i chłopak podejrzewał, że dokuczał mu kac.

– Zły adres, dzieciaku – rzucił mężczyzna, najwyraźniej go rozpoznając. – Przynajmniej na najbliższe kilka lat, a potem raczej też.

– Raczej też? – powtórzył Ryan, nie rozumiejąc znaczenia tych słów. – Przecież on wróci, prawda?

Gdy wypowiadał ostatnie zdanie, ton jego głosu przeszedł w błagalny. Miał więcej się nad sobą nie użalać, obiecał przecież sobie, Pocahontas, a przede wszystkim Atsah, chociaż nie twarzą w twarz. Zebrał się więc w sobie, zaciskając przy tym tak mocno dłonie, że czuł wbijające się w skórę paznokcie.

– On wróci – powiedział na głos, jakby była to jakaś oczywistość. – Na pewno wróci.

– Może i tak – rzucił ojciec Atsah, najwyraźniej nieszczęśliwie przejęty losem swojego pierworodnego. – W każdym razie, nie będzie już wtedy szczeniakiem. Pozostanie mu zabrać swoje graty. Jeśli wcześniej ich nie wypieprzę. Zależy jak mnie natchnie.

Ryan pomyślał o tym, że łączyła go z Atsah jeszcze jedna rzecz, po za tym, że będzie mu winny wdzięczność do końca życia. I nigdy nie zdoła spłacić tego długu, nieważne co by zrobił. A mianowicie, brak ojcowskiej miłości. W jego przypadku wynikało to z przedwczesnego odejścia drugiego z rodziców. Półindianin zaś miał za ojca zwykłego gnojka.

Przyszedł tutaj po to, aby spróbować go lepiej zrozumieć. Zostało im dane mało czasu razem, a Atsah należał do bardzo skrytych. Prawie nie mówił o sobie. Ryan chciał go poznać. Dowiedzieć się, co go ukształtowało. Chciał też, by coś ich połączyło. Jeszcze bardziej.

– Ja wezmę te „graty”, jeśli pan ich nie chce – powiedział.

Ojciec Atsah spojrział na niego zbity z tropu.

– Sądzisz, że jest tam coś, co można opylić za przyzwoitą sumkę? – spytał nagle zaciekawiony. – Nie ma jakiejś nowej elektroniki, ale pewnie taka stara ma wartość kolekcjonerską, co? I można ją opylić za ładną sumę? Sprytnie to sobie wykombinowałeś, młody.

– Nic sobie nie wykombinowałem – syknął Ryan, nie mogąc powstrzymać rozniewanego tonu. – Nie interesuje mnie, co można za ile „opylić”. Po prostu nie chcę, żeby...

Nie dokończył, bo ten paskudny człowiek jedynie by go wyśmiał. Nie zrozumiałby go.

– Niech pan po prostu da mi wszystko to, co uzna za bezwartościowe – poprosił.

Nie było tego wiele. Ledwie trzy kartony po butach, które ułożył na półkach w swojej szafie. Naruszał tym jego prywatność, człowieka skrytego z natury jak dzikie zwierzę w lesie. Czuł się z tym źle, ale chciał lepiej go poznać. Zrozumieć go choć trochę bardziej.

Jedno z pudeł było wypełnione figurkami zwierząt i ludzi wyrzeźbionymi w drewnie. Nie wszystkie zostały dokończone. Części brakowało lakierowania. Innym nadano jedynie ogólny zarys kształtu. Ryan rozpoznał niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach i trzymającego w pysku łososia, biegnącego wilka oraz wzbijającego się w powietrze orła. Wszystkie figurki były niezwykle piękne, wykonane z niezwykłą dbałością o szczegóły, ale ostatnia zrobiła na nim największe wrażenie. Może dlatego, że orzeł próbował wznieść się w powietrze, jego skrzydła były szeroko rozpostarte, ale jednak nie mógł oderwać się od ziemi. Był do niej na stałe przytwierdzony. Jakby uwięziony.

W drugim pudle znalazł kilka szkiców w tym ten przedstawiający budę, którą Atsah zrobił dla kota, który teraz spał zwinięty w kłębek na udach Ryana. Pamiętał ten wieczór, gdy poszedł za Indianinem do lasu, jak by to było wczoraj. Wielokrotnie wracał do tego dnia myślami. Gdy zobaczył go po raz pierwszy w szkole, nasza go

konkluzja, że ten wielki, małomówny chłopak jakoś nie pasuje do tego świata, którym rządzi materializm. Że jest on dla niego zbyt trywialny. Ludzie go otaczający, w tym sam Ryan, przejmowali się rzeczami, jakie pewnie dla Atsah nie miały najmniejszego znaczenia. Pierdołami jak to, czy uda im się wyciągnąć od rodziców kasę na najnowszy iPhone'a.

Ryan spojrzął na łóżko, gdzie po powrocie rzucił swój telefon. Oddałby wszystko, co miał, gdyby tylko to pozwoliło mu go zobaczyć.

Trzecie pudło wydawało mu się najmniej interesujące. Nie było tam w końcu nic zrobione rękami Atsah. Znalazł między innymi kilka książek o przyrodzie Stanów Zjednoczonych. Coś opasłego o geologii, czego treści w ogóle nie rozumiał. Dłużej skupił się na albumie fotograficznym, w którym zamieszczone były przedruki starych, czarno-białych zdjęć Indian w tradycyjnych strojach oraz ich wiosek. Poszczególne plemiona miały naprawdę różną kulturę. Wskazywały już na to nawet odmienne stroje i fryzury. Ich chaty były zbudowane też z różnych materiałów. Nazwać umiał jedynie wigwam. Nigdy dotąd nie interesował się tym szczególnie, na lekcjach historii zwykle grał w Angry Birds na telefonie albo ucinał sobie drzemkę. Teraz czuł się z tym głupio.

Gdy przekręcił książkę, aby lepiej się czemuś przyjrzeć, spomiędzy stron wypadła dodatkowa kartka. Zdziwiony podniósł ją z podłogi. To też było zdjęcie, ale znacznie nowsze. Kolorowe i zrobione cyfrowym aparatem. Przedstawiało indiańską kobietę w ceremonialnym stroju, która stała na tle chaty zrobionej z drewna oblepionego gliną. Wokół nie było niczego oprócz pustyni. Chata z pewnością miała jakąś nazwę, ale on nie miał pojęcia.

– To jego matka – powiedział na głos.

Był tego pewny, chociaż zdjęcie nie miało żadnego podpisu. Na odwrocie znalazł jedynie ciąg liczb. Wyglądały na współrzędne GPS.

– Dziadek jeszcze bardziej się wkurzy – mruknął do siebie Ryan.

Już wiedział, co zamierza zrobić ze swoim życiem. Łączyło się to z porzuceniem pracy w sklepie dziadków. I szkoły także, ale na tym akurat zależało mu jeszcze mniej.

Zostali w pokoju tylko we dwóch. Jack wręcz chłonał go wzrokiem. Te głupie piegi obsypujące całe ciało chłopaka jakoś dziwnie go rozmiękczały. Miał ochotę po prostu podejść do niego i uścisnąć dzieciaka z całej siły.

Josh wyglądał dobrze. Na jego twarzy swoje piętno wymalowało zmęczenie, nie tylko fizyczne, a może przede wszystkim, mentalne. Jack wiedział, że w środku, w tym duchowym środku był zniszczony, ale na zewnątrz wciąż był tym pięknym chłopcem, za którym mimowolnie zawsze podążał wzrokiem na parkingu komisji samochodowego Hetfieldów.

Josh miał zawsze tendencję do bycia trochę „okrągłym”. Nie pulchnym, jego mięśnie były dobrze wyrzeźbione, jednak zawsze sprawiał wrażenie jakoś tak przyjemnie dla oka i dłoni zaokrąglonego. I milion tych piegów, które Jack przy każdym ponownym spotkaniu odnajdywał w coraz to nowych zakamarkach jego ciała. Wszystko to tak strasznie uwielbiał.

– Dacnis dobrze się tobą opiekował – odezwał się jako pierwszy. – Bałem się, że... Cieszę się, że nic ci nie jest.

– Tak – przytaknął Josh. Jack prawie zapomniał, jaki miał cichy głos. Musiał zbliżyć się kilka kroków, aby usłyszeć wyraźnie. – Był dla mnie naprawdę bardzo dobry.

„Więc nie powinieneś odchodzić” nieomal opuściło usta Jacka. Zaśmiał się z siebie i pomasaował się dłonią po czoło. To było tak strasznie frustrujące. To był tylko głupi, piegowaty dzieciak z przyczepy, a on tak strasznie się nim przejmował.

To Josh pękł jako pierwszy i zaraz Jack poczuł jego ręce opatulające go w pasie. To wszystko z niego wypompowowało. Nachylił się tak, by móc poczuć zapach rudych, nieokiełznanych kosmyków. Tak strasznie, ogniście rudych. Pachniały hotelowym szamponem. Wsunął w nie dłoń. Tylko przez to poczuł coś bliskiego ekstazie.

Dla niego najlepiej byłoby go przy sobie zatrzymać. Musiał się z tym pogodzić. Z tą swoją słabością. Dla niego może i najlepiej, ale to nie działało w obie strony. On nie był najlepszym wyborem dla Josha. Był najgorszym.

– Zastanów się, Josh – zaczął pierwszy, gdy spostrzegł, że chłopak chciał coś powiedzieć. – Nie zmieniłem się od czasu, gdy postanowiłeś mnie opuścić. No, może i

tak, ale na pewno nie na lepsze. Zabiłem Falco chociażby. Ja sam. Własnymi rękami. I nie żałuję. Nie miałem wyrzutów sumienia. Na co dzień nawet o tym nie myślę.

– Falco był zły – powiedział stanowczo Josh. – Bardzo zły. Zabił Mnicha, który mnie przygarnął. I kobiety, którymi się opiekowaliśmy. Tak po prostu. Bo mu się tak zachciało. Dacnis wcale mu nie kazał. Więc to dobrze, że nie żyje. Cieszę się, że umarł. Był zły, więc...

Mówił tak, jakby próbował przekonać samego siebie, co do szczerości tych słów.

– Więc co? Więc to, że go zabiłem, czyni mnie dobrym? – prychnął Jack, odsuwając od siebie Josha na długość rąk. Zmusił go do spojrzenia sobie prosto w oczy. – To tak nie działa, Josh. To działa wręcz odwrotnie.

Brzmiało to tak, jakby chciał go od siebie odepchnąć, nakłonić do odejścia. Jednak w tym samym czasie jego palce, zacisnęły się na ramionach Josha tak mocno, że aż sprawiało to ból.

– Głupi dzieciaku – sapnął z frustracją Hetfield, gdy nie uzyskał żadnej odpowiedzi. – Głupi dzieciaku... Żebyś tylko nie żałował.

Przyciągnął go do siebie i pocałował. Zacisnął przy tym oczy, jak jakaś baba z komedii romantycznej. Tak też się czuł. Chciało mu się śmiać, przecież całe życie zgrywał przecież twardziela. Dopiero teraz poczuł, jakby wreszcie mógł odpocząć. Przykucnął na podłodze, ciągnąc za sobą Josha. Przycisnął ich twarze do siebie. Jego wargi spoczęły na szyi chłopaka.

– Więc niech będzie – powiedział – jeśli tego właśnie chcesz. Opuścimy to miejsce, bo tu nie pasujemy. Wrócimy.

Josh nadal się nie odzywał. Zmusił Jacka do zmiany pozycji, a potem na nim usiadł. Mężczyzna wciąż nie wydawał się do końca przekonany, czy to, co robią jest słuszne. Jednak on nie zamierzał na niego czekać. Dopadł do niego i pocałował ponownie. Chaotycznie i desperacko. Jack skrzywił się na moment, gdy ich zęby uderzyły o siebie, a potem zaśmiał gardłowo, czując, jak gwałtownie rozpinane są guziki jego koszuli.

Czuł się teraz, jakby po całym dniu harówki wreszcie mógł się odprężyć, biorąc gorącą kąpiel. Taką z bąbelkami i olejkami, które oficjalnie były tylko kobiecymi

rozrywkami. Dziś miał po prostu ochotę zamknąć oczy i dać się sobą cieszyć temu głupiemu dzieciakowi, bo ten teraz zachowywał się jak szczeniak spuszczonej ze smyczy. Dotykał go wszędzie, gdzie tylko udało mu się dosięgnąć, próbując przy tym pozbawić go ubrania. Jack pomagał mu w tym, tylko w odpowiednim momencie podnosząc odpowiednią część ciała.

Po chwili był już zupełnie nagi. Otworzył oczy, bo przypomniał sobie o czymś. Jak w ogóle mógł zapomnieć? Podniósł się do siadu i sięgnął do zapięcia krótkich spodenek Josha.

– Ty też – powiedział, nakłaniając go do pozbycia się garderoby. – Pokaż tego potwora.

Uśmiechnął się jak hiena nad zdobyczą, wystawiając przy tym zęby. Taki, jak zapamiętał. Za pierwszym razem, chyba w którymś z samochodów stojących w komisie Hetfieldów, może nawet w czerwonym Cadillacu deVille, nie pamiętał teraz dokładnie, przestraszył się tego fiuta. Nie dał oczywiście tego po sobie poznać, ale był wtedy bliski zrezygnowania. Największy kutas a tych, jakie miał okazję podziwiać na żywo i mieszczący się w pierwszej piątce, jeśli do listy dołączyć te, które widział dzięki posiadaniu łącza internetowego. Święty Graal, kurwa, parsknął w myślach rozbawiony.

To nie tak, że przez ostatnie miesiące żył w celibacie. Wręcz przeciwnie, nigdy nie pieprzył tyle, co teraz. Jednak wszyscy jego partnerzy pochodzili z mafii lub przynajmniej środowiska. Dlatego zawsze musiał dbać o pozory, jeśli chciał utrzymać swoją wysoką pozycję. Jeśli chciał wciąż siedzieć w tym samym pomieszczeniu co Barbosa.

Teraz zaś... Teraz zaś zachciało mu się być znowu zwykłym pedałem.

Zamienił ich ze sobą pozycjami. Nachylił się i pocałował chłopaka w brzuch, na którym miał dwie głębokie blizny. Zbadał ich fakturę palcami. Były szorstkie w dotyku i poszarpane. Je także ucałował. Znalazł jeszcze wiele innych, znacznie płytszych na całym jego ciele. Sam też miał wiele nowych. Później pozwoli Joshowi je odkryć.

Zanurzył palce w rudawe, skręcone włosy. Twardsze niż te na głowie. Dłonią przejechał wzdłuż nagiego uda chłopaka, wyczuwając przy tym skurcz mięśni. Ukąsił

go w tamto miejsce. Gdziekolwiek nie starałby się patrzeć, jego wzrok wciąż kierował się w jedno miejsce. Nad czym się tu zastanawiać? – parsknął w myślach, unosząc palcami ku swoim ustom nabiegły krwią członek. Nic w tym skomplikowanego. Tu przecież nie ma żadnej filozofii.

Wreszcie mógł pozwolić, aby puściły wszystkie hamulce i zadziałał instynkt. Patrząc kątem oka na chłopaka, na to jak wyżej unosi się jego pokryta piegami klatka piersiowa, obcałował penisa, którego pieścił w dłoni, po całej długości. A było naprawdę dużo do całowania. Przełknął ślinę, która wydawała mu się teraz dziwnie gęsta, a przy tym gorąca, i wziął go do ust, najpierw płytko, a później wsunął go sobie do gardła.

– Jack.

Zamruczał gardłowo w odpowiedzi. Jego włosy wysunęły mu się z gumki, więc teraz kosmyki wpadały mu do oczu, drażniąc niemiłosiernie. Nie za bardzo miał co z tym teraz zrobić, więc mruknął z ulgą, gdy poczuł jak ciepła dłoń zaczesuje mu grzywkę na bok. Josh pewnie zrobił to, aby dokładnie widzieć jego twarz. A, niech patrzy, pomyślał Jack i zaczął poruszać głową. Nietrwało to długo, nim poczuł ciepło w swoich ustach. Do jego uszu doszło jeszcze urywane „Jack”, ale i tak miał niezłą niespodziankę, która teraz spływała mu po podbródku, gdy podnosił się do siadu. Odzwyczał się.

Obtarł usta i uśmiechnął się jakoś dziwnie zadowolony, podziwiając przy tym zaróżowione ciało Josha. Zawsze jego skóra łatwo przybierała ten odcień. Szybko się rumienił i szybko się opalał, zawsze najpierw na czerwono.

Zaraz poczuł, jak chłopak uwiesza mu się na szyi, powtarzając tu przy jego uchu to głupie „Jack”.

– No Jack – mruknął.

Przymknął oczy na uczucie dłoni na kroczu.

Dzieciak powtarzał jego w kółko imię, jakby to miało być jakieś czarodziejskie zaklęcie, dzięki któremu można było złamać nawet największą klątwę, a było wręcz przeciwnie.

To był naprawdę głupi dzieciak. Wciąż do niego wracał i wciąż mu wybaczwał. Jack zaś był zbyt samolubny, aby z tego nie skorzystać. Czy tylko teraz Josh też mu wybaczy?

Rozdział 12

Hotel miał przynajmniej kilkudziesięciu ochroniarzy, ale były zakamarki, do których rzadko zaglądali. Jak chociażby ostatnie piętro, niedostępne dla klientów. Tu znajdowały się magazyny oraz pomieszczenia gospodarcze, między innymi pralnia. Tutaj Raphael znalazł też klapę prowadzącą na dach hotelu. Miała elektroniczny zamek i zatrzaśkiwała się automatycznie, ale najwyraźniej pracownicy lubili robić sobie przerwę na dymka na świeżym powietrzu, bo między klapę i framugę wciśnięty był kawałek drewna.

– Mamy szczęście – rzucił Cherubin do Josha czekającego na dole, gdy wspiał się już na ostatni szczebel metalowej drabinki i udało mu się otworzyć klapę.

Z pokoju hotelowego wydostał się najprostszą z możliwych opcji, czyli przez drzwi. Teraz nikt ich nie pilnował, bo wszyscy ludzie Ahigi mieli inne zajęcia. Raphael wymknął się więc i zahaczył jeszcze o pokój Josha, który ten dzielił z tym nieprzyjemnym w obejściu, ale zabójczo przystojnym blondynem, Jackiem Hetfieldem.

Po chwili obaj już stali na dachu hotelu. Raphael rozprostował ramiona i przeciągnął się, wciągając głęboko w płuca świeże powietrze. Dobrze było poczuć tyle wolnej przestrzeni wokół siebie. Przeszło mu przez myśl, że można by tu wybudować dodatkowy basen. Teraz ta cała przestrzeń się po prostu marnowała. Machnął ręką na Josha, który wciąż trzymał się z tyłu, i podszedł do krawędzi dachu od frontowej strony hotelu. Położył się na brzuchu, bo jednak trochę bał się wysokości i nie chciał, by go zauważono. Wytężył wzrok, szukając na rozległym parkingu Ahigi i jego ludzi. Ciepły wiatr przyjemnie bawił się jego farbowanymi na złoty blond włosami. Miał już spore odrosty.

– Tam. – Wskazał dłonią, gdy dołączył do niego Josh. – Naprawdę wszyscy jadą. To będzie gruba akcja.

Na północnej części parkingu grupa mężczyzn wsiadała do trzech wypożyczonych, czarnych jeepów. Wyglądało to jak scena z filmu gangsterskiego. Zabawa się skończyła.

– Boję się – rzucił do Josha.

– Że nie wróci?

– Też. I że wróci, tylko że nie sam. Zobaczy go po raz pierwszy po tylu latach i... I mu wszystko wybaczy.

Zaśmiał się na to, co powiedział. Boże, naprawdę mu zależało. Chciał, żeby Ahiga wrócił, ale nie tak po prostu. Chciał, żeby wrócił do niego.

– Ale mam przejebane – parsknął właściwie sam do siebie. Już się przyzwyczaiał, że Josh nie należał do wdzięcznych współrozmówców. Jednak był dobrym słuchaczem. – On tam naprawdę może nawet zginąć, a nawet mnie nie przeleciał. Powinien najpierw domknąć wszystkie wiatraki, a potem wybierać się na strzelaniny. No nie? – Zaśmiał się.

Nagle poderwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, krzycząc na całe gardło.

– Szefie. Niech szef, popatrzy.

Ahiga uniósł wzrok, przykładając dłoń do czoła i spojrzał w górę, na dach hotelu, gdzie wskazywał mu coś jego człowiek. Chwilę trwało, nim dotarło do niego, na co patrzy.

– Pokaż mu ode mnie!

Przymknął oczy, ale bynajmniej nie przez rażące go słońce. Dzieciak był niereformowalny i strasznie narwany. Pokręcił głową, ale na ustach wykwitł mu uśmiech.

– Pokażę, pokażę – mruknął do siebie, odwracając się w stronę samochodu. – A ty, idioto, nie spadnij i nie rozbij sobie tego głupiego czerepu.

– Zabawny – skomentował Jack Hetfield. – Gorąca krew. Ciekawe, czy w łóżku...

Umilkł w pół zdania, gdy poczuł na sobie spojrzenie Ahigi. Wśród tych ludzi czuł się znacznie swobodniej, niż przy dzikusach Barbosy. Jednak nawet tutaj istniały

tematy, których nikt o zdrowych zmysłach, kto chciał zachować urodę, zdrowie, a może nawet życie, nie poruszał. On musiał się jeszcze tego nauczyć. Jednak szybko przekonał się, że jednym z nich był ten kąpany w gorącej wodzie, wyszczekany chłopaczek Ahigi.

– Ciekawie się złożyło, że obaj mamy najwyraźniej słabość do kłopotliwych dzieciaków – rzucił rozbawiony, nie mogąc się mimo wszystko powstrzymać. – Tylko im współczuć, że akurat trafili na takie monstra jak my.

Ahiga nie skomentował tego w żaden sposób, ale w duchu przyznał mu rację. Gorzej trafić nie mogli. On za wszelką cenę próbował się powstrzymać. Wmawiał sobie, że tylko *pożyczył* na jakiś czas tego wyszczekanego dzieciaka. Obiecał sobie, że odda go, gdy tylko wróci. Przecież był już przyzwyczajony do samotności, a jednak coś ścisnęło go w środku, gdy tylko o tym pomyślał. Widział siebie siedzącego w mroku za masywnym, rzeźbionym biurkiem w swoim gabinecie i chciało mu się rzygać.

Wszystko miało odbyć się w miarę gładko. Dzięki rudemu dzieciakowi znali dokładnie rozkład domu na szczycie faweli, który należał do Dacnisa. A dzięki Hetfieldowi lokalne struktury mafijne i sposób ich działania. Ahiga nie był na tyle naiwny, żeby zakładać brak ofiar po ich stronie. Nie spodziewał się jednak, że opór będzie tak słaby i chaotyczny.

– Brakuje królowej – rzucił Jack, chowając broń za paskiem spodni.

Przeszukali już cały dom. Ci z ludzi Dacnisa, którzy przeżyli, leżeli na podłodze w największym pokoju z dłońmi zaplecionymi na głowie. Podwładni Ahigi celowali do nich z broni. Wszyscy utrzymywali, że nie mają pojęcia, gdzie jest ich szef. Nawet zachęta do mówienia prawdy w postaci paru wybitych zębów i połamanych żeber niczego nie dała.

– Raczej nie kłamią – kontynuował Hetfield. – Pokój jego córki wygląda na opustoszały. Zabrali jej rzeczy. Zostawił ich na naszą pastwę i po prostu spieprzył. Z tym twoim Johnny’em najwyraźniej.

– To w jego stylu – odparł Ahiga, uśmiechając się na wpół kpiąco, na wpół z irytacją. – Tylko dlaczego?

– Cóż, królowa opuściła gniazdo pszczół, bo ja niedawno załatwiłem jej ukochanego króla.

– I spieprzyła z błaznem? – parsknął Ahiga. – To komplikuje sprawę, ale dobrze. Niech ucieka, pogoń za zwierzyną tylko zaostrza apetyt.

Wyszedł na zewnątrz. Czuł irytację, bo to, co gonił tak długo, a wreszcie znalazło się na wyciągnięcie ręki, znów się oddalało. Jednak oprócz niej była także ulga. Teraz miał więcej czasu. Jeszcze nic nie musiało się kończyć.

Wrócili jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem. Ahiga nie wezwał go do siebie, więc Cherubin postanowił wprosić się sam. Nie należał do zbyt cierpliwych. Gdy wszedł do sąsiedniego pokoju, zastał Ahigę siedzącego w fotelu z szeroko rozłożonymi nogami. Jaj jakiś pan i władca, którym z resztą był. Na widok Raphaela uśmiechnął się kpiąco.

– Nie mogłeś wytrzymać, co? – parsknął rozbawiony. – Nie usiedziałyś na miejscu. Czasami zastanawiam się, czy nie masz owsików w dupie.

– To już? – spytał Cherubin, wciąż stojąc w progu.

– Po pierwsze wleź do środka i zamknij drzwi – polecił Ahiga. – Nie, to nie już. Zwiął. Nie zdziwiło mnie to specjalnie.

– Nie udało się go wam złapać?

Gangster pokręcił głową. Jego długie, czarne włosy opadły mu na czoło.

– Nie było go tam – wytłumaczył. – Spieprzył wcześniej.

– I co teraz?

– Nic. Wysłałem moich ludzi. Wkrótce go znajdą. To tylko kwestia czasu. Wystarczy poczekać.

Cherubin zatrzymał się na środku pokoju, przez chwilę bijąc się z myślami. Nie mógł wyczytać z twarzy mężczyzny odpowiedzi na dręczącego go pytanie, więc zdecydował się zapytać:

– I co czujesz? Zawód i złość, czy może jednak ulgę?

Ahiga uniósł brwi i gapił się przez dłuższą chwilę na dzieciaka. Nie mógł uwierzyć w to, co widział na jego twarzy. Ten szpecący, a jednocześnie dziwnie satysfakcjonujący wyraz.

– Ty jesteś zazdrosny – rzucił, niedowierzając w to, co właśnie powiedział, a potem się roześmiał. – Och, kociaku.

Wyciągnął rękę w jego stronę, a Cherubin od razu zareagował na ten gest. Podszedł do niego i wspiał mu się na kolana. Ahiga objął go w pasie, śmiejąc się gardłowo. Czuł wściekłość jeszcze parę chwil temu, ale już przeszło.

– Co byś chciał? – spytał, patrząc w czarne jak dwa węgle oczy chłopaka. – Tak naprawdę? Tak szczerze wgłębi?

Cherubin syknął, gdy poczuł uszczypnięcie na obojczyku. Ahiga pochylił się i chwycił jego skórę między zęby. Palcem delikatnie odsunął kołnierzyk niezapiętej na górne guziki koszuli, aby odsłonić więcej, jasnej skóry. Raphael wsunął dłonie w jego czarne włosy.

– Chcę, żebyś przestał za nim gonić – odpowiedział. – Jestem samolubnym, rozpuszczonym dzieciakiem. Narcyzem. Więc chcę, żebyś patrzył tylko na mnie. Ale nie jestem głupi – dodał, uprzedzając pytanie. – Wiem, co to oznacza, ale on na to zasłużył. Całe życie uciekał. Zawsze myślał tylko i wyłącznie o sobie.

Ahiga przymknął oczy i pochylił głowę, opierając nos o obojczyk chłopaka. Jego skóra była ciepła i sucha. Co trochę zaskakujące, pachniała mężczyzną, chociaż ze słodką nutą. A może tylko tak mu się wydawało.

– Ciągłe powtarzasz mi to samo. Wciąż jesteś niepewny – zauważył karcącym tonem. – Będzie, jak powiedziałaś. Nie musisz się obawiać.

Uniósł twarz, by pocałować podbródek Cherubina. Rozpiął kolejne guziki jego jasnej koszuli. Uniósł brwi w wyrazie zdziwienia, gdy rozsunął jej poły. Paznokciem palca wskazującego uderzył lekko w okrągły kolczyk, którym przebity był sutek chłopaka.

– Widzę, że ty też dzisiaj nie próżnowałeś – rzucił rozbawiony, masując okrężnymi ruchami palca wciąż zaczerwienioną, pomarszczoną teraz otoczkę sutkową. – A mówiłem, żebyś nie opuszczał dzisiaj hotelu. Nigdy mnie nie słuchasz. Same z tobą problemy.

Cherubin zachichotał ze zdenerwowania. Zagryzł dolną wargę, czując rozlewające się pod skórą dreszcze. Trochę bolesne, bo rana była jeszcze całkiem świeża.

– Bo ja się zaraz spuszczę – jęknął.

Miał już sztywnego, gdy stanął na środku pokoju. Kiedy patrzył na Ahigę rozpartego w fotelu w spowitym w półmroku wieczoru pokojowym hotelu, czuł to samo, co w jego gabinecie, gdy gangster go do siebie wzywał. Wtedy nie umiał jednak tego tak wyraźnie zdefiniować. I zbyt bardzo się denerwował, aby jakiegokolwiek inne emocje mogły objąć we władanie jego ciało.

Teraz jego penis napierał na materiał spodni, powodując wyraźne wybrzuszenie. Zaciśnął mocniej uda wokół kolan Ahigi, gdy szef dzinsów wsunął się między jego pośladki. Nie miał na sobie bielizny.

– Jednak z ciebie dzieciak – skomentował Ahiga, unosząc się z fotela. Musiał przy tym podeprzeć się o oparcie. Bolały go dziś plecy.

Umknęło to uwadze Cherubina, bo stracił równowagę i nieomal się przewrócił, gdy został tak gwałtownie zrzucony z kolan gangstera. Posłał mu oburzone spojrzenie. Jego cierpliwość też miała swoje granice. Jeśli dzisiaj też zostanie zyty, to albo się potnie albo tym razem naprawdę skoczy z tego balkonu.

– Na łóżko – polecił Ahiga.

Uśmiechnął się, gdy oczy Cherubina zaświeciły się jak dwie neonówki. Wyglądał jak pies śliniący się na widok parówki trzymanej w dłoni przez jego właściciela. A właśnie... Rozpiął swoją koszulę, która już po chwili znalazła się na podłodze. Po chwili pozbył się reszty garderoby i stał już przed Raphaelem, jak go bóg lub natura stworzyła. Z sapnięciem chwycił się za jądra. Czuł, że są pełne.

– No co tak sterczysz? – spytał Cherubina, który wciąż stał jak zahipnotyzowany w miejscu. Jego mina nie wyglądała teraz zbyt inteligentnie. – Przecież sam chciałeś. Tak czy nie? Ostatnia, szybka decyzja. Bo później już mało będzie zależało od twojej woli.

– Grozisz mi? – podłapał Raphael, odzyskując rezon.

Uśmiechnął się szeroko, błyskając idealnie białymi, równymi zębami. Męka związana z noszeniem aparatu przez całą podstawówkę dała swoje pozytywne efekty. Denerwował się, ale nie czuł strachu.

– Na łóżko – powtórzył Ahiga.

Cherubin wykonał polecenie, przedtem rozbierając się do naga. Usiadł na skraju łóżka, rozkładając szeroko nogi. Ahiga parsknął i rozbawiony pokręcił głową. Dzieciak był tak szalenie pocieszny.

– Nie ma w tobie za dużo wstydu, co? – spytał.

Cherubin pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko.

– No co ty... Chyba się tego po mnie nie spodziewałeś?

Ahiga podszedł do niego i nachylił się, by pocałować go w usta. Powstrzymał grymas. Naprawdę bolał go dziś kręgosłup. Bardziej niż ostatnimi czasy. Puścił więc chłopaka i sam położył się na plecach. Cherubin spojrział na niego zdziwiony. Wsunął się głębiej na łóżko i po lekkim zawahaniu, objął dłonią pobudzonego penisa mężczyzny.

– Dobrze kombinujesz – pochwalił Ahiga, przymykając oczy. – Sam sobie będziesz musiał wziąć to, po co tu przylazłeś.

Sięgnął do jego dłoni, tej która spoczywała na pościeli, i przyciągnął ją do siebie, aby ucałować jej wierzch.

– Jak romantycznie – skomentował rozbawiony Cherubin. – Sorry, że ci zburzę atmosferę.

Usiadł okrakiem na pokrytej tatuażami klatce piersiowej mężczyzny. Zdumiony i zachwycony tym, co poczuł, przez chwilę ugniatał twarde mięśnie. Podobało mu się. Bardzo. Chwycił dłoń Ahigi. Nakierował ją na swoje wejście.

– Zrób inspekcję. Starąłem się przygotować, ale nie mam w tym za bardzo doświadczenia.

Ahiga uniósł brew. Dzieciak naprawdę przyszedł tu z planem. To go jakoś niemalże rozczułało. Złapał go za ramię i pociągnął tak, że teraz miał jego jądra nad twarzą. Uniósł się lekko i przejechał po nich językiem. Czerwony, sztywny penis Cherubina, lekko odchylający się w prawo, wyprężył się jeszcze bardziej, jak i wszystkie jego mięśnie na to uczucie.

– Nie tu... Bo ja naprawdę zaraz... – jęknął.

– Jesteś młody. Pewnie nawet ci nie zmięknie.

– Może tak być! – Zaśmiał się.

Ahiga pomasaował jego biodro i drobny tyłek, napawając się gładkością skóry. Wsunął palec między pośladki chłopaka i powolnym ruchem, z pełną premedytacją, przemknął rowkiem aż do jego szparki, rysując skórę paznokciem.

Dziurka była rozluźniona. Skóra wokół zaś zupełnie gładka, zresztą podobnie jak krocze i jądra Cherubina, który najwyraźniej zafundował sobie depilację i lewatywę.

– No wsadź! – ponaglił Raphael. – Sam mówiłeś, że bliżej mi do diabła niż anioła, więc nie mam za dużo cierpliwości. A mój fiut to już na pewno.

Ahiga zamruczał rozbawiony. Wsunął dwa palce w Cherubina, dociskając je do ścianek, a drugą dłoń ścisnął jego ściągnięte jądra. Dzieciak krzyknął zaskoczony tym szybkim, niespodziewanym zagranieniem i doszedł, tryskając spermą na twarz i włosy Ahigi. Mężczyzna patrzył w górę z szerokim uśmiechem na utopioną w ekstazie twarz Raphaela, chociaż cześć obrazu przesłaniał drgający mu przed oczami, wypluwający kolejne dawki nasienia kutas dzieciaka.

– O... Boże!

Cherubin otworzył w końcu oczy, które trzymał kurczowo zaciśnięte, przeżywając najlepszy w życiu orgazm, mimo że właściwie jeszcze nic nie zrobili, i spojrział w dół, na twarz Ahigi. Chociaż był już cały czerwony, zarumienił się jeszcze bardziej, gdy ujrzał zdobiące ją plamy własnego nasienia. Mężczyzna uśmiechnął się szelmowsko i wystawił język, by najpierw przejechać nim po swoich górnych zębach, a potem zebrać nim to, co teraz parzyło w wargę.

– Smakuje? – parsknął Cherubin, patrząc na tę scenę jak zahipnotyzowany. Dopiero doszedł, a czuł, że zaraz znowu to się stanie.

– Bardzo. Same delicje.

– Wariat. To teraz moja kolej.

Cherubin przesunął się w dół jego ciała, by znów objąć udami Ahigę w pasie. Uśmiechając się jak bardzo niegrzeczny chochlik, sięgnął dłoń do włosów mężczyzny, by zetrzeć z nich trochę własnej spermy, a potem dodatkowo na nią napluł. Nawilżył swoje palce i włożył je w siebie. Znał już to uczucie i chciał go więcej. Chwycił się za jeden z pośladków i go odchylił. Przesunął się jeszcze bardziej, aż nie poczuł główki sztywnego penisa Ahigi ocierającej się o jego półdupek.

Spróbował się na niego nasunąć, ale ten tylko zahaczył o jego rowek, a potem odskoczył. To powtarzało się kilka razy. Skojarzyło mu się to z samolotem kilkakrotnie podchodzącym do lądowania. Drugą dłonią więc złapał za niego i zaczął się na niego nasuwać. Jęknął gardłowo, gdy poczuł jak główka pokonuje pierścień mięśni. Było mu tam tak nieznośnie gorąco i ciasno. Czuł, jak pot spływa mu po plecach.

Gdy zaczął się dalej nabijać na kutasa Ahigi, ten przejechał po jego udach palcami, zostawiając na jasnej skórze czerwone ślady po paznokciach.

– Tak... – sapnął gangster, wypuszczając powietrze z płuc. – Właśnie tak. Jesteś doskonały.

Cherubin uśmiechnął się szeroko zadowolony z siebie, widząc minę upojonego przyjemnością Ahigi. Teraz już niemal na nim siedział. Czuł jego kutasa bardzo głęboko. Miał chore wrażenie, że gdzieś ponad pępkiem. Dał sobie czas na dwa głębokie wdechy i zaczął się miarowo poruszać. Nie miał pojęcia, czy robi to dobrze, jednak miarowe posapywania Ahigi na to wskazywały.

Gdy poczuł jego dłoń na swoim penisie, z jego gardła wyrwał się pełen zaskoczenia dźwięk, który przypominał mu odgłos jakiegoś dzikiego zwierzęcia. Nie było to podobne do niczego, co kiedykolwiek w życiu słyszał.

– Nie, bo ja znowu zaraz... – zaprotestował nieskładnie.

Pierwszy jednak doszedł Ahiga, przyciągając przy tym Cherubina do siebie. Chwycił go za złotą czuprynę, zahaczając przy tym o kolczyki zdobiące zaczerwienione teraz uszy i pocałował mocno w usta. Mocniejszy, spazmatyczny uścisk na penisie wystarczył, żeby Raphael doszedł po raz drugi. Opadł na klatkę piersiową Ahigi i tak już zostali, przyciśnięci do siebie, aż nie zmorzył ich sen.

Ahiga poprawił marynarkę i wyciągnął zza fotela swoją laskę. Zbierało się na deszcz, plecy już dawno mu tak nie dokuczały. Nim wyszedł, pogłaskał wciąż śpiącego Raphaela po policzku. Nie miał siły na to, aby się pochylić i go ucałować.

– Śpij. Nim wstaniesz, będzie po wszystkim.

Na korytarzu czekał na niego Jack Hetfield i jeszcze kilku jego ludzi.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko ich namierzymy.

- Nie uciekli za daleko – odparł Jack.
- I to mnie dziwi. W tym Johnny był zawsze najlepszy.
- Ale wtedy chyba zawsze był sam, co? Teraz ma dodatkowy balast.

Zaczęło padać. Ściana deszczu była tak gęsta, że znacząco ograniczała widoczność. Johnny widział jedynie bombardowane wielkimi kroplami liście palmy rosnącej tuż przy chacie. Dalej była już tylko szarość. Przynajmniej owady przestały im dokuczać.

Odwrócił się, by spojrzeć na pokrytą kroplami potu twarz Dacnisa. Jej łagodne zazwyczaj rysy zniknęły wykrzywione w bolesnym grymasie. Wciąż gorączkował i majaczył.

Dopadli ich kilkanaście godzin temu na stacji benzynowej. Dacnis brał wtedy szybki prysznic w obskurnej łaźni, a on tankował samochód. Zauważył, jak grupa mężczyzn wchodzi do budynku, ale było już za późno. Przez chwilę chciał nawet uciec, był tego bardziej bliski, ale jednak ruszył ich śladem. Może gdyby się nie wahał... Może gdyby nie był takim tchórzem, wtedy by zdążył. To nawet nie byli ludzie Ahigi, czy Barbosy. Zwykła lokalna dzieciarnia, która miała chrapkę na złote łańcuchy błyszczące się na szyi Dacnisa. Gdy zauważyli Johnny'ego uciekli, popychając go przy tym na ścianę. Nawet nie zareagował. Dopadł do Dacnisa leżącego na poszarzałych płytkach łazienki. Jego krew mieszała się z wodą.

Teraz byli tu. W opustoszałej chacie. Johnny jeszcze nigdy nie czuł się taki słaby i bezbronny. Gdyby tylko był sam. Wtedy by go nie złapali, nie dogoniliby go.

Dotknął przemoczonych dredów Dacnisa. Wyglądał tak delikatnie, pogrążony we śnie. Niewinnie. Musiał go chronić. Przecież sobie obiecał. Zastygł, gdy usłyszał w oddali strzał. Już tu byli.

Nachylił się i ucałował usta Dacnisa drżącymi wargami. Zaśmiał się spazmatycznie, gdy zdał sobie sprawę, że jednak nie da rady. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach.

- Przepraszam – jęknął. – Przepraszam.

Zabrał swój plecak i wszedł w ścianę deszczu. Po chwili wchłonęła go całkowicie i zniknął. Po dwóch godzinach przedzierania się przez dżunglę, wyszedł na

ulicę. Deszcz przestał już padać, zza chmur wyłoniło się słońce. Musiał przymrużyć oczy, bo tak mocno świeciło.

Gdy jego wzrok się wyostrzył, ujrzał na tle zachodzącego słońca męską sylwetkę. Jakby stanął przed Sądem Bożym.

– Dawno się nie widzieliśmy, Johnny – odezwała się świetlista postać. – Wreszcie cię dogoniłem.

Nigdy nie zapomniał tego głosu.

Ahiga. Zebrał się w sobie, aby spojrzeć na jego twarz. Niemal taką samą, jak ją zapamiętał. Surową i nieszczerólnie piękną.

O dziwo poczuł ulgę. To był już koniec. Uśmiechnął się lekko na tę myśl. Wreszcie będzie mógł odpocząć. Uwolnić się od tych wszystkich, torturujących się myśli. Od swojego żalosego ja, którego nienawidził.

– A on gdzie jest? – spytał Ahiga, po czym zaczął się głośno śmiać. – Zostawiłeś go, co? Na moją pastwę. I uciekłeś... Jesteś żalosey. Tak strasznie, strasznie żalosey.

Wytarł łzę rozbawienia.

– Wiesz, myślałem, że coś poczuję, jak cię zobaczę. Że będę się wahał, bo ja cię tak strasznie kochałem. A tu nic. I może przez to bym cię puścił. Po prostu dałbym ci spieprzyć, bo nie jesteś nawet wart mojej uwagi, ale nie po tym co teraz odwaliłeś. Boże, jesteś tak strasznie żalosey, że aż brzydę się sam sobą. Tym, że uznałem cię za wartego mojego uczucia.

Wyciągnął broń i wycelował ją prosto w głowę Johnny'ego. Nie strzelił jednak.

– Nie, to by było zbyt proste. Właściwie oddałbym ci przysługę, a tak będziesz musiał z tym żyć.

W tym samym momencie rozległ się kolejny strzał. Huk odbił się w lesie echem.

Ahiga schował broń. Nie patrząc już na Johnny'ego, odwrócił się i ruszył w kierunku zaparkowanego nieopodal samochodu, przy którym czekali jego ludzie. Nie było wśród nich Jacka Hetfielda. Po paru krokach zatrzymał się i jeszcze raz spojrział na blondyna. Uśmiechał się przy tym szeroko.

– Bym zapomniał – rzucił i pokazał mu środkowy palec. – Od Cherubina.

Gdy został już zupełnie sam, upadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Wolałby, żeby Ahiga go po prostu zabił. Spojrzał w stronę lasu. Wiedział, że nawet nie zbierze się na to, żeby tam iść. Był przecież tchórzem.

Wstał o czwartej rano, by wyprowadzić owce na pastwisko. Dużo zarabiali na ręcznie tkanych tradycyjnych tkaninach. Oprócz biżuterii były to najpopularniejsze produkty kupowane przez turystów. Pilnując owiec, myślał o tym, że musi sprawdzić stan i wyposażenie hoganów, nim zacznie się sezon turystyczny. Uniósł głowę i spojrzał na niebo, na którym nie było nawet jednej chmury. Jeśli nie zacznie padać, będzie miał problem ze znalezieniem dobrej jakości gliny, którą obklejano ściany. Uśmiechnął się, gdy dojrzał kołującego wysoko orła.

Atsah.

Wrócił do domu późnym popołudniem. Był strasznie głodny. Popchnął drzwi i zdziwił się, gdy na korytarzu oprócz żeńskiej pary butów należącej do jego pracodawczyni i gospodyni, matki Atsah, zobaczył jeszcze jedną, męską.

Wiedział, do kogo należą.

KONIEC